



DWÓR HENRYKA VIII.

Stefanija M...




DWÓR HENRYKA VIII.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

W. Harrison Ainsworth.

Przekład z angielskiego.



OGÓLNEGO ZBIORU „WIECZORÓW POWIEŚCIOWYCH”
DODATKU DO BIESIADY LITERACKIEJ
TOM LXI.



WARSZAWA.
NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ



Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Марта 1890 года.



201813

KSIEGA I.
ANNA BOLEYN.

I.

Hrabia Surrey widzi Ducha Myśliwca.

Było to r. 1529 a dwudziestego panowania wielce miłościwego króla Henryka VIII. Wysmukły młodzieniaszek stał na tarasie zamku Windsor i spoglądał na cudowny krajobraz, ozłacany ostatnimi blaskami zorzy zachodniój; przed nim rozciągały się gęstwiny parku, jednego z najpiękniejszych w Anglii, gdzie tyle jest pięknych parków i ogrodów. Stuletnie dęby, wspaniałe buki i rozłożyste lipy królowały nad młodszém pokoleniem krzewin i zarośli splątanych z sobą. Ręka ludzka umiała nader umiejętnie wyzyskać piękności przyrody i uwydatnić je w sposób malowniczy a rozmaity. Tu zieleniła się obszerna polanka, na której stał olbrzymi dąb o potężnych konarach; tam krzewił się gaj, co może czasy Druidów pamiętał; dalej aleją bukową pomykało stado jeleni, żeby zniknąć w nieprzebytym gąszczu.

Pomimo wieczornój godziny park nie był jeszcze zupełnie osamotniony; z głębi lasu wychodził właśnie jeden z dojeżdżaczy, prowadząc na smyczy wielkie psy gończe; nieco bliżej kilku sokolników rozprawiało z sobą o zaletach łowieckich ptaków, u stóp tarasu minstrel przygrywał na lutni otoczony służbą dworską, która z wielkiem słuchała go zajęciem.

W jakąkolwiek stronę było wzrok obrócić, wszędzie malowniczy roztaczał się obraz. Na zachód od zamku leżało miasteczko Wind, złożone z niskich domków z czerwonej cegły, o spiczastych dachach i wystających gankach. Dalej wiała się rzeka niby srebrna wstęga, odbijając w jasnych wodach różnobarwne smugi zorzy zachodniej. Wśród gaju drzew bieleły się mury kolegium w Elon, a dalej, jeszcze dalej rozciągały się zielone łąki i uprawne niwy, wznosiły się schludne wioski i starożytne kościoły, okazałe dwory i wspaniałe opactwa.

Młodzieniaszek zadumał się i, wyjąwszy tabliczki, skreślił na nich kilkanaście wierszy. Mógł liczyć lat szesnaście najwyżej, ale był wysmukły i kształtnie zbudowany. Wszystko w nim zapowiadało pięknego i silnego mężczyznę: szeroka pierś i rozwinięte mięśnie, cera zdrowa choć delikatna jak u dziewczyny, regularne, wybitne rysy, czoło szerokie i myślące, ocienione kasztanowatemi kędziorami, spadające w lokach po obu stronach twarzy. Oczy miał śliczne, wielkie i ciemne, choć nieco tęskne; wyraz twarzy nad wiek poważny i by-

stry. Ubiór jego świadczył, że musiał należeć do wyższego stanu, bogaty był, smakowny i ciemny. Składał się na niego czarny atłas przerabiany złotymi nićmi i czarny aksamit wenecki, a zrobiony był obcisło według ówczesnej mody. Na głowie miał aksamitną czarną czapeczkę, ozdobioną perłami, złotą klamrą i białym piórem, a na ramionach krótki aksamitny płaszczyk, podbity pąsowym atłasem i spięty na złote, czarno emaliowane klamry. Rękojeść puginału i rapiru, które nosił u boku, były także ze złota bogato grawirowanego i miały pochwy z czarnego aksamitu.

W tej chwili dźwięki organów, towarzyszące pobożnym pieniom, doszły go z kaplicy św. Jerzego; odprawiano tam właśnie nieszpory i młodzieniec już w tamtą stronę kierował swoje kroki, kiedy zastąpił mu drogę wysoki mężczyzna, który wyszedł właśnie z prywatnych komnat królewskich. Sądząc po dzielnej postawie, olbrzymich czarnych wąsach i stalowym pancerzu, błyszczącym z pod czerwonego płaszcza, musiał to być wojskowy.

— Widzę, że piszesz wiersze, lordzie Surrey?— zaśmiał się, wskazując na tabliczki, które młodzieniec szybko ukrył na piersiach — chcesz zapewne współzawodniczyć ze Skeltonem, dworskim poetą, lub z twoim przyjacielem, Sir Tomaszem Wyatt. Może raczysz, milordzie, opuścić na chwilę towarzystwo muz niebiańskich i, zstąpiwszy na ziemię, osądzić, czy dobrze wypełniłem twoje rozkazy i przygotowałem wszystko godnie na przyjęcie Jego królewskiej mości.

— Przypuszczam, że nie zapomniałeś o stosowném pomieszczeniu dla mojej nadobnej krewnej, lady Anny Boleyn, kapitanie Bouchier? — zapytał hrabia ze znaczącym uśmiechem.

— Bądź spokojny, milordzie, żadna monarchia nie lepiej już mieszkać nie może — odrzekł kapitan, mrugając oczyma — przeznaczyłem dla niej komnaty zajmowane dawniej przez królową.

— To dobrze, a mieszkanie dla papieżkiego legata, kardynała Campeggio, czy gotowe?

Kapitan potwierdzająco skinął głową.

— A dla kardynała Wolseley?

— Naturalnie; chcąc oszczędzić Waszej cześci dalszych pytań, opowiem w krótkości wszystko com sprawił. W twojem imieniu milordzie, jako szambelana królewskiego, wezwałem dziekana i kanoników z kolegium św. Jerzego, marszałka, przełożonego nad służbą, i w mowie o tyle kwiecistej, o ile mi moje zdolności pozwalają, oświadczyłem im, że król bawiąc w Hampton-Court z kardynałami Campeggio i Wolseleyem, z którymi traktuje o rozwód ze swoją małżonką, Katarzyną arragońską, chce w zamku Windsor obchodzić uroczystość prześwietnego orderu Podwiązki. W tym celu Jego królewska mość życzy sobie, żeby pojutrze, to jest w dzień św. Jerzego, kaplica naszego patrona była jaknajpiękniej i najbogaciej przybrana. Na wielkim ołtarzu ma być zawieszony kosztowny szpaler, na którym misterną robotą wyobrażony jest św. Jerzy na koniu; wszystkie złote i srebrne naczynia ze skarbcza mają być na nim zastawione.

Kazalnica ma być pokryta karmazynowym adamaszkiem, haftowanym w złote lilie, równie jak tron królewski i baldachin; siedzenia dla kawalerów orderów muszą być wyłożone cienkiem suknem z ich herbami. To wszystko ma być gotowe na godzinę trzecią, *hora tertia vespertina*.

— Odetchnij, kapitanie—zaśmiał się lord Surrey.

— Zaraz skończę. Wezwałem mastępnie marszałka, żeby przygotował salę św. Jerzego na wielki bankiet, który zostanie wydany pojutrze, oraz na jutrzejszą wieczerzę. Dokonawszy tego wszystkiego, składam swój urząd zastępcy w wasze ręce, milordzie, i jestem gotów towarzyszyć wam z powrotem do Hampton-Court.

— Za godzinę dopiero pojedziemy. Przedtem chcę samotnie przejść się po parku.

— Ażeby szukać natchnienia, lub marzyć o wdziękach pięknej Geraldyny?—zaśmiał się kapitan. Ale nie chcę cię badać, milordzie, radbym tylko, żebyś unikał dębu Herna; mówią, że z nadejściem nocy duch myśliwca błąka się tam, ze swoim piekielnym orszakiem, i straszy ludzi. Skoro zadzwonią na gaszenie światła, muszę opuścić zamek i udać się wraz z twoimi ludźmi, milordzie, do gospody pod Podwiązkę. Tam będę czekał na Waszę cześć i razem powrócimy do Hampton-Court; księżyc wschodzi niezadługo, będziemy więc mieli przyjemną podróż.

— Poleć mię zacnemu oberżyscie, jegomości Bryan Bowntance, i każ sobie podać polewki winnej i grzanek.

— Już ja będę pamiętał o sobie. A niech Wasza cześć nie zapomni mego ostrzeżenia o duchu myśliwca; słyszałem o nim różne historye i za nic w świecie nie chciałbym być w nocy w sąsiedztwie dębu Herna.

Hrabia uśmiechnął się z niedowierzaniem i obaj rozstali się. Kapitan powrócił do zamku, a lord Surrey poszedł w stronę mostu zwodzonego, rzuconego przez fosę. Straż zapytała go o hasło i pozwoliła mu przejść furtką do parku.

Jakiś czas szedł lekkim i żwawym krokiem po miękkiej murawie; zatrzymał się dopiero pod sędziwym bukiem, w koło którego uwijały się króliki. Na widok człowieka skryły się szybko w swoich norach, ale młodzieniec nie zważał na nie i, rzucawszy się na ławeczkę darniową, zadumanym wzrokiem powiódł w około.

Słońce właśnie zaszło i różanym blaskiem oblało potężne mury zamku; każda z czterech wież znanych obecnie pod nazwą Brunswick, Carence, Chester i Wiktorya, odcinała się wyraźnie na rozjaśnionem tle nieba; poniżej nich rysowała się ciemna linia wałów.

Po krótkim wypoczynku, lord Surrey zwrócił się w przeciwną stronę i zatrzymał się na leśnej polance, z kąd przez wyciętą między drzewami perspektywę ukazało mu się południowe skrzydło zamku, z bastyonami z czasów Edwarda III, z mostem zwodzonym, bramą Henryka III i basztami Yorka i Lankastra. Pogasty już i rozplynęły się jaskrawe barwy zorzy, tylko na zachodzie niebo jaśniało

złotym odblaskiem i na tle jego rysowały się wysmukłe wieżyczki kaplicy św. Jerzego.

Orle oczy młodzieńca dojrzały orszak kapita-
na Bouchier, wysuwający się z bramy; podniesiono
most zwodzony i niebawem ozwał się dzwon wzy-
wający do gaszenia ognia i światła. Mrok i cisza
zaległy mury zamkowe, słychać było tylko miarowy
odgłos kroków sztyldwachów chodzących po
wałach.

Młody lord zamiast połączyć się z towarzy-
szami, poszedł w głąb parku i zapuścił się w doli-
nę zarośniętą cierniami i ostrokrzewem. Olbrzymie
konary dębów zwieszały się nad nią i chociaż
w otwartych miejscach półmrok panował jeszcze,
tu było już tak ciemno, że o dziesięć kroków nic
nie widział przed sobą. Szedł mimoto bez waha-
nia, odsuwając gałęzie tamujące mu drogę.

Nagle zastanowiło go sinawe światełko błysz-
czące wśród zarośli. Stanął zdumiony i u stóp ol-
brzymiego dębu ujrzał szczególne zjawisko: był
to niby człowiek, niby widmo odziane w skóry
zwierząt; na głowie miał zamiast hełmu czaszkę
jelenią z rogami, na lewém ramieniu ciężki zardze-
wiały łańcuch, płonący fosforycznym odblaskiem;
na prawém siedziała olbrzymia sowa, z oczyma
iskrzącemi jak węgle.

Młody hrabia, zabobonny jak wszyscy ludzie
ówcześni, nie wątpił ani na chwilę, że ma przed
sobą ducha i, żegnając się pobożnie, zaczął odma-
wiać modlitwy. Światło nagle zagasło, zabrzęcza-
ły łańcuchy i widmo zniknęło, śmiejąc się szatań-

sko. Raz jeszcze wśród gęstwiny ozwał się złowrogi głos puszczyka, potem jęk żałosny—i wszystko ucichło.

Młodzieniec przez chwilę stał jak wryty, ale przekonawszy się, że nikogo niema już pod dębem pobiegł tam skwapliwie. Księżyc już oświecał gęstwiny leśne i srebrne jego promienie przedzierały się przez liściaste sklepienie, rzucając drżące światło na ścieżkę wiodącą do drzewa. Był to ów sławny dąb, o którym dziwne krążyły podania: historia Herna, przekłętego myśliwca, ściśle była z nim związana.

Hrabia dochodząc do tego miejsca spostrzegł, że nie jest sam; u stóp drzewa siedział człowiek olbrzymiego wzrostu i atletycznej budowy ciała, ubrany w zwykłą odzież leśników królewskich, zielony kaftan, takąż czapkę i srebrną na piersiach blachę z godłem monarchy. Uzbrojenie jego stanowił łuk i szeroki nóż myśliwski; róg zakrzywiony wisiał mu na taśmie. Rysy miał grube, wyraz twarzy nieprzyjemny, oczy posępne, patrzące bystro z pod brwi czarnych i krzaczystych. U nóg jego leżał wielki ogar, który byłby się rzucił na młodzieńca, gdyby nie został wstrzymany przez swego pana.

— Czy widzieliście co?—zapytał leśnik.

— Widziałem Herna myśliwca, albo dyabła w jego osobie — odrzekł hrabia Surrey i opowiedział mu wszystko.

— A więc to był duch myśliwca — rzekł leśnik — co do mnie, nic nie słyszałem i nie widzia-

łem, ale pies mój położył się na ziemi i zaczął wyciął żałościwie; zaraz się domyśliłem, że się dzieje coś złego... Wielki Boże! co to jest?—krzyknął na widok psa, który z oznakami najwyższego przestachu zaczął się czołgać u nóg jego.

Hrabia wyteżył wzrok, ale nic nie zauważył; za to obłąkane oczy leśnika i bladość jego twarzy świadczyły, że dzieje się coś niezwykłego.

— Duch myśliwca!—szeptał drżącym głosem—okraża drzewo, patrzy na nas... Niech Bóg zlituje się nad nami!

— Nic nie widzę—rzekł Surrey — ale uchodźmy ztąd!

Leśnik zerwał się z przeraźliwym krzykiem i zaczął uciekać w głąb lasu; za nim pędził pies nie mniej wystraszony; młodzieniec zaledwie mógł im nadążyć. Zatrzymali się dopiero w znacznej odległości od zaczarowanego dębu.

— Nigdy jeszcze nie widziałem go tak blisko i wyraźnie—wyjąkał leśnik, ocierając spocone czoło — to okropne!

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — zapytał młody lord.

— Jestem leśnikiem i nazywam się Morgan Fenwolf—a wy?

— Jestem hrabia Surrey.

— Jaktó!—zawołał Morgan, kłaniając się nisko—syn jego wielmożności księcia Norfolk?

Hrabia potwierdzająco skinął głową.

— A więc ja widywałem często Waszę cześć

chłopięciem, cztery lub pięć lat temu, razem z synem królewskim, księciem Richmond?

— Bardzo być może, gdyż ostatni raz byłem w zamku Windsor cztery lata temu; potem oddano mię do Oxfordu, z kąd dopiero co powróciłem.

— Słyszałem, że i książe Richmond był w Oxfordzie—rzekł leśnik.

— Był razem ze mną w kolegium kardynała, ale on wcześniej ukończył nauki; starszy jest ode mnie o trzy lata.

— Czy Wasza cześć wraca do zamku? — zapytał Morgan.

— Nie, mój orszak czeka na mnie w gospodzie pod Podwiązką; jeżeli mię tam odprowadzisz, każe ci dać kufel dobrego piwa.

Leśnik skłonił się nisko i obaj zwrócili się w stronę miasteczka; szli w milczeniu, gdyż ani hrabia, ani Morgan nie byli usposobieni do rozmowy; straszne widmo, jakie się ukazało, nie mogło im wyjść z pamięci.

II.

W gospodzie pod Podwiązką.

Przy Thomes-Street, poniżej jednej z wież zamku, stała schludna gospoda utrzymywana przez wesołego jegomości nazwiskiem Bryan Bowntance. Dworzanie hrabiego stali przed gankiem, trzymając konie za uzdy; sam gospodarz tłusty i krępy, z łysą głową i jowialną twarzą, wyniósł im dzban szumiącego piwa.

— Wiwat! krzyknęli na ten widok.

— Chodźcie moi panowie—rzekł wesoły Bryan—spełnijcie kubek windsorskiego piwa za zdrowie dzielnego monarchy.

— Chętnie! — zawołał jeden — lubię go, bo to dobry pan. Niech żyje król Hal i piękna lady Anna Boleyn!

— Słyszałem, że król przyjeżdża jutro do Windsoru z panią Anną Boleyn, rycerzami i całym dworem — rzekł gospodarz, powtórnie napełniając kubek.

Zapytany skinął głową i duszkiem wychylił orzeźwiający trunek.

— Wesoło będzie w zamku — zachichotał Bryan — a i w mojej gospodzie wysuszą niejednego dzban smacznego piwa. Mój Boże! jak to czasy się zmieniają. Pamiętam, jak dziś, było to w r. 1501, dwadzieścia ośm lat temu, kiedy po ojcu objąłem tę gospodę. Panował wtedy świętej pamięci król Henryk VII i w tym właśnie roku ożenił najstarszego syna Artura z naszą obecną królową, Katarzyną arragońską. Królewicz wkrótce potem umarł a stary monarcha — Panie świeć nad jego duszą! nie chcąc jej dawać bogatej wdowiej oprawy, dał ją w małżeństwo młodszemu synowi, Henrykowi, naszemu miłościwemu panu. Ludzie powiadają, że nie było to szczęśliwe stadło i musieli mówić prawdę, kiedy teraz oto król stara się o rozwód.

— Nie tak głośno — przestrzegł go jeden z dworzan—oto nadchodzi nasz pan, hrabia Surrey.

— Mało mię to obchodzi—hardo odparł gospodarz—nic złego nie powiedziałem. Kocham mego króla i mam nadzieję, że papież zezwoli na rozwód.

W téj chwili z izby doszła niezwykła wrzawa i jakiś człowiek, wyrzucony za drzwi przez innych, wpadł z taką siłą na Bryana, że przewrócił go na ziemię. Był to młody, krępy mężczyzna, ubrany w skórzany kaftan z zawiniętymi rękawami, które odstaniały silne, muskularne ręce.

— Co to znaczy, Marku Fytton? — zawołał zdumiony i rozgniewany gospodarz, gramoląc się z trudnością—czyś się upił, czy oszalał?

— Łotr śmiał znieważać Jego królewską mość — rzekł inny gość wychodząc z izby — dlatego wyrzuciliśmy go z gospody.

Cienki jego kaftan z zielonego sukna, łuk i sajdak na plecach wskazywały, że musiał być łucz-
nikiem.

— Dobrzeście uczynili kapitanie Barlow—zawołał gospodarz.

— Dlaczego nie nazywacie mię księciem na dwóch stawach, ojczu Bryan? — rzekł łucz-
nik—od-
kąd Jego królewska mość żartem udzielił mi ten tytuł, nikt inaczej jak księciem mię nie nazywa.

— Przepraszam pokornie Waszę wielmożność; wiem, że król dał wam ten tytuł w nagrodę za odniesione zwycięstwo. Ale wracając do Marka Fyttona, cóż on takiego powiedział?

— Nie chcę słów jego powtarzać, dosyć, że wyraził się w sposób ubliżający o królu i pani Annie Boleyn.

— Sam nie wiedział co gadał—zauważył gospodarz — Marek Fytton jest wiernym poddanym królewskim, ale jak miarę przebierze w trunkach, to zaraz burdy wyprawia.

— Dzielnym jesteście człowiekiem, ojciec Bryan!—zawołał księżę na dwóch stawach—zawsze lubicie godzić zwaśnionych.

— Dajcie temu urwisowi szklanę piwa, niech wypije za zdrowie króla, życząc mu prędkiego rozwodu i nowój małżonki, a przyjmiemy go znów do naszego stołu.

— Nie dbam o wasze towarzystwo, fałszywy księżę!—zawołał Fytton—zrzuc no kaftan i spróbuj się ze mną, a ja cię nauczę podnosić na mnie rękę.

— Dobrze mówi!—odezwał się jeden z dworzan Surreya—warto, żeby król mianował go za to księciem.

— Albo kardynałem!—zawołał Marek Fytton—nie byłby pierwszym z naszego stanu, który takiego dostąpił zaszczytu.

— Znieważa kościół w osobie czcigodnego kardynała Wolseleya!—krzyknął oburzony łucznik—to zdrajca i bluźnierca.

— Wypij szklanę piwa za zdrowie króla! — wtrącił gospodarz, chcąc załagodzić spór między gośćmi—lepiejbyś trzymał język za zębami.

— Bodajem przepadł, jeżeli kroplę piwa przeknę za zdrowie króla, albo jego ulubienicy, Anny Boleyn! — zuchwale zawołał Marek — ale powiem wam za czyje zdrowie wypiję: niech żyje nasza pracowita królowa, Katarzyna Arragońska! Bodaj papież nigdy nie pozwolił na zerwanie tego małżeństwa!

— Oszalałeś chyba, Marku! — zawołał Bryan.

— To król raczej oszalał, kiedy chce poświęcić uczciwą swoją małżonkę dla grzesznej zalotnicy — hardo odparł Fytton — a wy podli najemnicy chlebiacie jeszcze tyranowi.

— Wszyscy święci niech się zlitują nad nami! — zawołał Bryan — to już pachnie zdradą i obrazą majestatu. Nie mogę dłużej bronić cię, Marku.

— Sambyś dostał się do więzienia — rzekł książę na Dwóch Stawach — słyszeliście wszyscy, że nazwał króla tyranem, chwytajcie go!

— Niech który spróbuje podnieść na mnie rękę! — hardo zawołał rzeźnik — dziś jeszcze uderzeniem pięści powaliłem wołu i zaręczam wam, że każdego w ten sposób uczęstuję.

Słyszając tę groźbę, wszyscy się cofnęli.

— Rozkazuję wam schwytać go w imieniu króla! — wrzasnął łucznik — jeżeli będzie się opierał, z pewnością zostanie powieszony.

— Zobaczmy! — ponuro odparł Marek.

— Poddaj się lepiej — radził jeden z dworzan Surrey.

— Nigdy!

Dworzanin mimoto chciał go schwytać, ale barczysty rzeźnik tak silny cios wymierzył mu pięścią, że napastnik padł jak długi na ziemię. Rozjątrzeni towarzysze rzucili się już do mieczy, ale wtem Moryan Fenwolf, który stał na uboczu wraz z hrabią Surrey, rzucił się z nienacką na Marka i schwycił go za gardło, kiedy tymczasem inni wiązali mu ręce.

— A więc to ty, Morganie Fenwolf, tak mi się przysłużyłeś?—rzekł skrępowany rzeźnik, dziko błyskając oczyma — teraz wierzę już wszystkiemu co o tobie mówią.

— A cóż o nim mówią?—zapytał hrabia Surrey.

— Że się zadaje z dyabłem i w nocy miewa schadзки z duchem Myśliwca—odrzekł rzeźnik—jeżeli ja mam być powieszony jako zdrajca, to on powinien być spalony jako czarownik.

— Nie zważaj na gadaninę tego łotra!—zawołał łucznik—znalazłeś się dzielnie i ja sam uwiadomię o tém króla. A teraz do zamku z tym ptaszkiem; spędzi noc w najgłębszym lochu, a jutro może będzie wisiał na szubienicy przy moście. Marsz!

Otoczono więźnia i pod strażą prowadzono go do zamku; młody hrabia, kapitan Bouchier i dworzanie Surreya szli za innymi, ciekawi jak się to skończy. Bramy zamku były już zamknięte, ale skoro straż została powiadomiona o celu przybycia tak licznej zgrai, otworzono furtkę i wpuszczono na dziedziniec głównejsze osoby. Tam oddano winowajcę oficerowi, który przydał mu zaraz dwóch żołnierzy z rusznicami. Przez sklepienie bramy i wewnętrzne dziedzińce zaprowadzono go do wieży przeznaczonéj na więzienie, długo jednak musiano pukać do nowych drzwi dębowych, zanim stary dozorca wyjrzał przez okienko i zapytał, czego żądają. Zadowolony z odpowiedzi otworzył ciężkie wrzeciądze i wpuścił wszystkich do obszernéj, wysokiej izby, z pułapem o wystających belkach dębowych. Z jednéj belki zwieszał się sznur z pętli-

ca; łatwo było zgadnąć do czego on służył. Na lewo strome schody wiodły na wyższe piętra więzy; na prawo było wejście do lochów.

Na żądanie zawziętego łucznika, postanowiono umieścić więźnia w lochu; wprowadzono go do sklepionego podziemia, opatrzonego w kajdany wmurowane w ścianę. Ciemno tam było i ponuro; mdłe światło lampki, którą dozorca trzymał w ręku, nie mogło rozproszyć mroku panującego w tych lochach.

— Noc spędzona tu w samotności bardzo dobrze wpłynęła na naszego więźnia — rzekł książę na Dwóch Stawach — przysięgłbym, że radby w tej chwili odgryść sobie język za niebaczne swoje słowa.

Rzeźnik nic nie odpowiedział i rzucił się na ławkę, stanowiącą jedyny sprzęt w podziemiu.

— Czy mam zostawić mu lampkę? — zapytał dozorca.

— Nie trzeba! — żywo zawołał łucznik — lepiej żeby w ciemności rozmyślał nad własnym szaleństwem.

Wszyscy się oddalili, postawiwszy straż przy drzwiach. Skoro ich wypuszczono z zamku, hrabia oglądał się, czy nie zobaczy gdzie Morgana Fenwolfa, ale nigdzie go widać nie było. Godzina była już spóźniona, dosiadł więc rumaka i wraz z kapitanem Bouchier i swymi dworzanami podążył, przez Datchet i Stainer, do Champton Court.

III.

Król przyjeżdża do Windsoru.

W dzień przyjazdu monarchy, wierne miasto Windsor świąteczny przybrało pozór. Od rana już zaczęła napływać ludność z okolicznych wiosek, około południa zaś przybyło dużo ciekawych z Londynu konno lub łodziami; wszyscy byli odświętnie odziani i gromadkami snuli się po ulicach, śmiejąc się i gawędząc. Pole Majowe ozdobione było kwiatami i zielenią, pokryło się mnóstwem kramów, gdzie można było dostać piwa i wódki, szynki i pieczonego mięsa, pieczywa i pasztetów, oraz rozmaitych towarów. Nie zapomniano też o rozrywkach wszelakiego rodzaju: tu przygrywali minstrele, tam kuglarze pokazywali sztuki, dalej bokserzy mocowali się z sobą, lub młodzi parobcy tańczyli z hołemi dziewczętami. Na jednym końcu pola rozpalono ogniska i pieczono przy nich dwa całe woły, których dostarczył burmistrz Windsoru; na drugim końcu ustawiono tarcze i z łuków strzelano do celu. Najzręczniejszym dotąd łucznikiem był kapitan Barlow, mianowany przez króla księciem Dwóch Stawów w chwili dobrego humoru; pokazało się jednak, że przewyższa go leśnik Morgan Fenwolf, który trzy razy rozszczepił jego strzały.

— Dzielnie mierzysz! — zawołał Barlow — nauczyłeś się tego chyba od samego Herna; opowiadają, że on jeden tylko téj sztuki dokazać umiał.

Fenwolf spojrział na niego z podełba i, odmówiwszy szklanki piwa, którą częstował go pobity współzawodnik, zniknął wśród tłumu.

Salwy z armat i odgłos dzwonów dały znać, że burmistrz i rajcowie miasta udali się wraz z oficerami załogi zamkowej na spotkanie króla, na most Datchet. W jednej chwili całe Pole Majowe opustoszało, zostali tylko ludzie przy rożnach, na których piekły się ćwierci wołów.

Przez bramę Henryka VII i most zwodzony, wyruszył z zamku wspaniały orszak. Najprzód postępowali czterej trębacze w barwie królewskiej, z trąbami na jedwabnych taśmach. Za nimi szło dwunastu halabardzistów w szkarłatnych sukniach, z cyfrą królewską H. B., haftowaną złotem na piersiach. Dalej maszerowała kompania łuczników w stalowych hełmach i pancerzach, z łukiem na plecach i błyszczącą dzidą w ręku. Po nich jechali sędziowie i rajcowie miejscy w szatach ze szkarłatnego sukna, a za nimi burmistrz Windsoru w aksamicie tejże barwy; dwóch giermków strojnych w biały i czerwony adamaszek postępowало przy jego wierzchowcu, niosąc w ręku buławy; otaczała go zaś straż miejska z berdyszami na ramieniu. Za nimi jechał szeryf hrabstwa ze swoim orszakiem.

Zkolei ukazało się dwudziestu sześciu giermków orderu Podwiązki; szli parami odziani w pąsowe płaszcze, na których wyszyte były godła Św. Jerzego, ale bez podwiązki. Za nimi postępowало trzynastu starszych kanoników w ciemno czerwono-

nych szatach, ze Św. Jerzym na szyi, potem dwunastu młodszych, a wreszcie dziekan kolegium w or-nacie.

W pewnej od duchowieństwa odległości ukaza-li się dostojnicy orderu Podwiązki: marszałek w czerwonym płaszczu w niebieskie kraty, hafto-wanym w złote lilie i lwy z koronami; w ręku niósł godło swego urzędu: czarną laskę ze srebrnym lwem na wierzchu. Potem pierwszy herold angielski w karmazynowej atlasowej szacie w także kraty i tak samo haftowanej jak marszałka; w ręku niósł berło i koronę a na głowie zamiast czapki miał także koronę. Zkolei pojawił się pisarz orderu, nader poważny urzędnik w czarnej szacie i płaszczu podbitym futrem. Potem kanclerz orderu w ciemno czerwonej aksamitnej szacie, ze złotą na ramieniu różą, którą otaczała także podwiązka sadzona per-łami. Na samym końcu postępował biskup Win-chester, prałat orderu w biskupiej mitrze i szacie z karmazynowego aksamitu; na prawém ramieniu wyhaftowany był Św. Jerzy i błękitna podwiązka ze złotem. Kompania halabardzistów zamykała orszak.

Wszystkie domy, obok których przeciągała ta wspaniała procesya, ubrane były zielenią, kwieciami, kobiercami i bogatymi makatami. Zaczny Bryan Bowntame, właściciel gospody pod Podwiązką, za-znaczył swoją wiernopoddanieczność wzniesieniem łuku tryumfalnego, na którym wśród wstęg i zieleni ja-śniała tarcza z cyframi: H. A. (Henryk i Anna).

Orszak okrążył zamek i spuściwszy się z góry,

szedł brzegiem rzeki aż do mostu w Datchet, gdzie miano czekać na króla. Przedtem dziekan, kanclerz orderu i biskup Winchester wsiedli w czółno i wodą popłynęli do mostu, przy dźwiękach muzyki minstrelów.

Tłumy ludu postępowały za orszakiem, głośno wykrzykując wiwaty. Dzień był ciepły i pogodny, niebo najczystszym jaśniało lazurem; Tamiza pokryła się mnóstwem bark i czółen, wśród których odznaczała się wspaniała łódź wioząca dostojników orderu, ozdobiona flagami i kwiatami.

Przy moście w Datchet rozbito namiot, ażeby znakomitsze osoby miały gdzie wypocząć. Pół godziny minęło od przybycia orszaku na miejsce, kiedy tuman kurzu, wznoszący się na drodze ku Staines, zwiastował zbliżenie się monarchy. Wszyscy uszykowali się według ułożonego porządku, ale okazało się, że nie był to król, lecz oddział jazdy z kapitanem Bouchier na czele. Kapitan skłonił się grzecznie przed burmistrzem Windsoru i oznajmił mu, że lady Anna Boleyn stanie tu za chwilę. Wolą jest królowką, ażeby tę damę odprowadzić ze wszystkimi należnemi jej honorami aż do bram zamku i tam oczekiwać na przybycie monarchy.

Burmistrz odpowiedział, że stanie się według królewskiego rozkazu i wraz z całym orszakiem uszykował się przy moście.

Niezadługo ozwały się trąby i na drodze ukazał się wspaniały poczet panów, rycerzy i szlachty, strojnych w złotogłów, sukno przetykane srebrem lub haftowany aksamit. Za nimi cisnęła się liczna

czereda paziów, giermków i pacholków w liberyi swoich panów. Na czele jechali książęta Norfolk i Suffolk, najwyżsi dostojnicy państwa: pierwszy miał bogatą szatę ze złotogłowi i ciężki łańcuch na szyi; drugi płaszcz z kosztownej materyi przetykanój srebrem, obłożony błękitnym aksamitem. Obaj nosili na szyi insygnia orderu Podwiązki, a rumaki ich miały piękne rzędy wysadzone drogiemi kamieniami. Obok nich jechał Sir Tomasz Boleyn, który z powodu rychłego wyniesienia córki w niesłychaną urósł dumę.

Tuż za nim cztery białe rumaki w długich adamaszkowych kapach, prowadzone przez paziów ubranych w biały i niebieski atlas, ciągnęły wspañiałą lektykę wybitą złotogłowiem. Baldachin nad nią był także ze złotogłowi, ozdobiony srebrnemi dzwoneczkami; niosło go czterech rycerzy, zmieniając się po drodze.

W téj lektyce siedziała Anna Boleyn, królowa wdzięków i młodości. Na spodniej szacie ze złotogłowi była wierzchnia ze śnieżnego atlasu, ozdobiona perłami i haftami; na tém miała płaszcz z białego adamaszku bramowany gronostojami. Sznur pereł uryańskich z brylantowym krzyżem lśnił na jój białej szyi, jasne włosy kryły się pod czarną aksamitną, czapeczką, haftowaną drogiemi kamieniami; na drobnych nóżkach były sandałki z błękitnego aksamitu, ozdobione brylantowemi gwiazdami.

Anna Boleyn była jeżeli nie najpiękniejszą, to niezaprzeczenie najpowabniejszą kobietą w całej

Anglii. Rysy miała kształtne i delikatne, choć niezbyt regularne, ale to właśnie dodawało im wdzięku; nosek orli o ruchomych nozdrzach, podbródek ślicznie zaokrąglony, lica jak alabaster białe z delikatnymi niby listek róży rumieńcami, szyję łabędzią jakby z marmuru wykutą. Wielkie jęj oczy błękitne nieprzepartego uroku, raz paliły jak ogień, to znów czarowały słodkiem spojrzeniem.

Piękność nie była jedyną zaletą Anny Boleyn: śpiewała jak anioł, grała wybornie na kilku instrumentach, tańczyła z lekkością sylfidy, umiała rozmawiać z rzadkim wdziękiem i dowcipem. Jeżeli do tych powabów dodamy jeszcze niepohamowaną zalotność i chęć podobania się, to łatwo sobie wyobrazić, jak niebezpieczną była ta kobieta.

Jeden ze współczesnych jęj mężczyzn, hrabia de Chateaubriand, w ten sposób o niej się wyraża:

„Anne Boleyn avoit un esprit si deslié, que c'estoit à qui l'ourvit desguiser; et si venoit-elle à poetiser, telle qu'Orpheus, elle eust fait les ours et rochers attentifs. Puis saltoit, balloit i dançoit toutes dances Angloises ou estranges, et en imagina nombre; puis savoit tous les jeux, chantoit comme une sirene, s'accompagnant du luth; harfoit mieulx que le roy David, et manioit fort gentilmente fleuste et rebee; puis s'accoustroit de tant et si merveilleuses façons, que ses inventions faisoient d'elle le parangon de toutes les dames les plus sucrées de la court, mais nulle n'avoit sa grâce.”

Taki obraz jęj talentów i zalet towarzyskich, z pominięciem wdzięków ciała, kreśli współczesny

szlachcic francuzki, znający ją dobrze z czasów jej pobytu na dworze francuzkim, na który przybyła jako dama dworu Maryi angielskiej, małżonki Ludwika XII, a późniejszej księżny Suffolk.

W tej chwili Anna czule spoglądała na jednego z rycerzy, niosącego baldachin z prawej strony; był to piękny wysoki młodzieniec, a czarny, obcisły ubiór korzystnie uwydatniał jego silną lecz kształtną postać.

— Lękam się, czy nie jesteś już zmęczony, Sir Tomasz Wyatt — przemówiła Anna słodkim i dźwięcznym jak muzyka głosem — pozwól, żeby cię wyręczył Sir Tomasz Arundel lub Sir John Hulstone.

Młodzieniec drgnął i zarumienił się na dźwięk tego głosu.

— Nie czuję znużenia, kiedy jestem blisko ciebie, pani — odrzekł cicho.

Anna z kolei się zapłoniła i podniosła do ust haftowaną chusteczkę.

— Gdybym dostał tę chusteczkę, zatknąłbym ją za mój hełm na przyszłych turniejach i wszystkich zwyciężyłbym współzawodników — rzekł Sir Tomasz.

— Będiesz ją miał — odpowiedziała Anna — lubię rycerskie zapasy i staram się zawsze dawać do nich zachętę.

— Uważaj, Sir Tomasz, bo cały baldachin spadnie — rzekł Sir Franciszek Weston idący z przeciwnej strony — niech cię wyręczy Sir Tomasz Arundel.

— Nie — odparł Wyatt — będę go niósł aż do mostu.

— Nie pilno ci dostać chustkę — rzekła Anna ze ślicznym dąsem.

— Krzywdzisz mię panil — zawołał młodzieniec — héj! stańcie! — krzyknął na paziów prowadzących konie — taka jest wola waszój pani.

— Wolą zaś moją, Willa Sommers, trefnisia królewskiego jest, żeby szli daléj! — krzyknął jakiś głos za rycerzem — jeżeli Sir Tomasz Wyatt chce nieść baldachin aż do mostu, to nikt nie ma prawa zabronić mu tego. Ruszajcie, ja wam każę!

Jednocześnie trefniś zbliżył się do Anny Boleyn i spojrział na nią tak znacząco, że piękna pani zamiast się sprzeciwić, rozśmiała się tylko i nie odwoływała rozkazu Willa Sommers.

Trefniś królewski miał pozór tak dziwaczny, że samą swoją osobą usposabiał wszystkich do wesołości; małego wzrostu a wielkiej głowy, miał wyraz twarzy złośliwy i dobroduszny zarazem; oczy jego błyszcząły dowcipem i przebiegłością, a kiedy otworzył usta i zaczął się śmiać na całe gardło, wszyscy musieli mu wtórować. Błażeńskie jego ubranie składało się z szerokiego kaftana z czerwonej materyi, naszywanego dziwacznie różnokolorowemi skrawkami i ściśniętego w pasie niebieską szarfą; w rękę miał róg, na głowie spiczastą czapkę z białem piórem. Zwykle towarzyszyła mu małpa, ubrana w pąsową suknię i kapturek; siadała mu na ramieniu i pocieszne wyprawiała figle, tym razem jednak nie było z nim tego śmiesznego zwierzątka.

Will Sommers był w wielkich łaskach u króla i pozwalał z nim sobie poufałości, które nikomu innemu by nie uszły bezkarnie. Z racji swego urzędu, miał o każdój porze wolny wstęp do prywatnych komnat królewskich; trzeba jednak przyznać, że nie nadużywał swego wpływu i nie szkodził nikomu. Umiał owszem uśmierzać gniew zapalczywego monarchy i prędzej zażegnawał burzę swemi żartami i dowcipami niż ją wywoływał. Nienawidził tylko kardynała Wolsey'a i przy każdój sposobności szydził z jego pychy i chciwości.

Tak ze względu na urząd trefnisia, jak na łaski okazywane mu przez króla, dworzanie cierpliwie znosili jego koncepta i docinki; tym razem jednak Sir Tomasz Wyatt uczuł się dotkniętym i, zwracając się do Willa, rzekł szorstko:

— Czego się mieszasz w sprawy, które do ciebie nie należą, podły błaznie?

— Właśnie że do mnie należą, mości Wyatt — odparł trefniś — chociaż błazen, mam jednak władzę większą niż pani Anna Boleyn; dowód, że stało się według mojej woli, nie według jej.

— Gdybym miał swobodne ręce, tobym cię przykładnie skarcił za twoje zuchwalstwo — rzekł rozjątrzony rycerz.

— Ale nie masz wolnych rąk, kumie! — zaśmiał się Will Sommers — jesteś przykuty do tego baldachinu, ha! ha! ha!... Zastanów się, mości Wyatt, jaką oddałem ci przysługę — szepnął mu do ucha — gdybyś w obliczu całego dworu dostał

tę chustkę z rąk lady Anny, z pewnością siedziałbyś jutro w Okrągłej Wieży zamku Windsor.

— Zdaje mi się, że masz słuszość, kumie — równie cicho odpowiedział Sir Tomasz.

— Radzę ci nie przyjmować wcale tego niebezpiecznego daru — szeptał dalej trefniś — najlepiej, żebyś sobie wybił z głowy tę piękną panią, inaczej może być źle z tobą. Nigdy nie należy drażnić lwa, pamiętaj o tém.

I nie czekając odpowiedzi poskoczył naprzód, pocieszne wyprawiając harce.

Poza lektyką Anny Boleyn postępował oddział halabardzistów królewskich, a poza nimi jechała kolebka wybita pąsowym złotogłowiem, w której siedziała stara księżna Norfolk i sędziwa margrabina Dorset. Dalej zwracał uwagę tęgi, dorodny młodzieniec, uderzająco podobny do króla i równie jak on butny i wesoły. Był to syn Henryka VIII i lady Talboys, jednej z najpiękniejszych kobiet swego czasu, która potrafiła bardzo długo utrzymać w swych więzach niestałego monarchę. Henryk czule kochał tego syna, obsypywał go łaskami i byłby więcej dla niego uczynił, gdyby śmierć nie była go zabrała w kwiecie wieku.

W tej chwili książę Richmond miał dopiero lat dziewiętnaście, ale wyglądał na dwadzieścia cztery. Bujny złoty wąsik i jasna broda zdobiły młodzieńcze jego oblicze, które śmiało się do ludzi i świata. Ubrany był pysznie w złotogłów i najprzedniejszy wenecki aksamit, rękojeść jego szpady i kopyta jego konia obsypane były klejnotami, a na białej

aksamitnej czapce błyszczał wielki szmaragd przytrzymujący kitę z piór strusich. Pomimo młodego wieku miał już na szyi łańcuch orderu Podwiązki. Kary jego rumak czystej krwi i wielkiego ognia, ubrany w bogaty rzęd nasadzany drogiemi kamieniami, był także darem królewskim.

Obok niego jechał hrabia Surrey na gniadym arabczyku, który miał na sobie purpurowy aksamitny czaprak ze złotemi frendzlami.

Oczy obu młodzieńców zwracały się wciąż na jadącą za nimi wspaniałą kolasę, wybitą srebrzystą materyą i ciągnioną przez cztery siwe rumaki. Siedziały w niej dwie młode i piękne damy, ale tylko jedna z nich miała przywilój ściągania na siebie miłosnych spojrzeń dwóch młodzieńców. Była to nadobna siedmnastoletnia dziewica o kruczych war-koczach, od których cudnie odbijała jej cera matowej białości. Z pod delikatnych czarnych brwi błyszczały wielkie aksamitne oczy, podłużne jak u egipcyanek, twarzyczka była owalna, rysy śliczne i regularne. Wdzięki jej podnosił strój bogaty i smakowny: biała atłasowa suknia haftowana złotem, z długimi, otwartemi rękawami, i czarny aksamitny kapelusz z białemi piórami.

Ta uroczą istotą zwała się lady Elżbieta Fitzgerald, córka Geralda Fitzgerald, dziewiątego hrabi Kildare, który ród swój wywodził od patrycyuszowskiej rodziny Geraldi z Florencyi. Król dla jej urody nazwał ją piękną Geraldyną i pod tém imieniem znaną jest w historyi oraz w poezyi dzięki swemu kochankowi hrabiemu Surrey, który

w prześlicznych strofach sławił jej wdzięki. Na prośbę swój matki, hrabiny Kildare, była wychowywaną razem z księżniczką Maryą, późniejszą królową angielską; teraz z woli króla była damą honorową Anny Boleyn.

Towarzyszka jej, lady Marya Howard, siostra hrabiego Surrey, liczyła najwyżej lat szesnaście i uosabiała w sobie typ piękności angielskiej. Wyszukła, jasnowłosa, modrooka, jak pączek róży świeża, wyglądała nader powabnie w sukni z błękitnego aksamitu haftowanej srebrem i takimże kapeluszu. Lady Marya kochała się skrycie w księciu Richmond, który przekładał jednak piękną Geraldynę; to jedno tylko pocieszało nieszczęśliwą w miłości dziewczynę, że lady Elżbieta ozięble przyjmowała księcia, zawsze wyróżniając hrabiego Surreya, jej brata.

Książę Richmond skorzystał z zakrętu drogi, żeby się zbliżyć do kolaski, w której jechała piękna Geraldyna.

— Muszę paniom opowiedzieć, co się przytrafiło zeszłej nocy hrabiemu Surrey w parku Windsor: przysięga, że widział na własne oczy ducha Myśliwca.

— W takim razie poproś go, książę, żeby sam opowiedział swoją przygodę — odrzekła piękna Geraldyna — pragnęłabym usłyszeć to z ust jego.

Książę lubo niechętnie skinął na młodzieńca, żeby się zbliżył do nich, a sam przejechał na drugą stronę kolaski, gdzie siedziała lady Marya Howard. Obie dziewice z wielkiem zajęciem wysłuchały opowiadania lorda Surrey.

— Boże nas strzeż od złych duchów! — zawołała piękna Geraldyna, żegnając się pobożnie — ale jaką jest historia tego przekłętego Myśliwca? dlaczego on został skazany na wieczne błąkanie się po lasach?

— Wiem o nim tyle tylko, że był strażnikiem leśnym, popełnił jakąś okropną zbrodnię i sam się powiesił na dębie, który dotąd zowie się dębem Herna. Za to został przeklęty i odtąd straszy ludzi.

— Ja zaś słyszałem, że to zły duch, który przybiera na siebie postać Myśliwca i zmusza leśników, żeby mu zaprzędawali swoje dusze — rzekł książę Richmond.

— To drugie podanie wydaje mi się prawdopodobniejsze — odezwała się lady Marya — mam nadzieję, że zły duch nie zażądał takięj rzeczy od ciebie, mój bracie? — zapytała, zwracając się do Surreya.

Hrabia przecząco potrząsnął głową.

— Gdyby Duch Myśliwca zażądał odemnie mojęj duszy, w zamian za spełnienie moich najdroższych życzeń, wątpię czybym odmówił — rzekł książę Richmond, patrząc czule na piękną Geraldynę.

— Cicho! z takich rzeczy nie należy żartować — surowo przerwał Surrey.

— Sądzę, że prędko pożałowałbyś twego szalonego kroku, książę — cierpko zauważyła lady Marya Howard — na układach z szatanem zawsze źle się wychodzi.

— Gdyby hrabia Surrey był moim bratem,

tobym mu zabroniła samotnych przechadzek po nocy — rzekła lady Fitzgerald do swojej towarzyszki.

— On jest bardzo samowolny i lekceważy moje rozkazy — z uśmiechem odparła lady Marya.

— Niech piękna Geraldyna mi tego zabroni, a z pewnością będę posłuszny — tkliwie rzekł hrabia.

— Muszę się sprzeciwić temu, gdyż mam zamiar z pomocą lorda Surrey zgłębić tajemnicę! — zawołał książe, zazdrośnie patrząc na przyjaciela — jak tylko staniemy w zamku, pošlę zaraz po leśnika, Morgana Fenwolf, żeby go wypytać o ducha Myśliwca, a dziś o północy Surrey i ja będziemy na niego czatowali przy dębie Herna.

Obie dziewice starały się odwieść ich od tego niebezpiecznego zamiaru, ale na próżno. Nagle zjawił się przed nimi zdyszany Will Sommers.

— Na miejsca, panowie, na miejsca! — krzyczał, wywijając czapkę — zbliżamy się już do mostu. Trzeba, żebyśmy ładnie wyglądali; kiedyindziej będziecie mogli rozmawiać z temi damami.

Młodzieńcy rozśmieli się z gorliwości trefnisia i, złożwszy nizki ukłon pięknym dziewczicom, powrócili na swoje miejsca.

Huczny odgłos trąb i bębnow połączony z okrzykami ludu powitał Annę Boleyn u mostu. Wystrzelono na wiwat z połowej armatki ustawionej na brzegu, a na ten sygnał ozwały się wszystkie działa zamkowe. Burmistrz złożył należyty hołd

przyszłej królowej i cały orszak puścił się w drogę do zamku.

Kiedy przed oczyma Anny Boleyn ukazały się wspaniałe mury Windsoru, serce jej wezbrało radością i dumą; ona wkrótce będzie tu panią i podzieli wszystkie zaszczyty ze swoim królewskim małżonkiem. Wzrok jej w tej chwili padł przypadkiem na sir Tomasza Wyatt, jadącego za nią w gronie rycerzy; westchnęła lekko, ale nie tajiła przed sobą, że bez wahania poświęci miłość dla ambicyi.

Naprzeciw gospody pod Podwiązką, jegomość Bryan Bowntance przyjął piękną panią niskim pokłonem; chciał nawet wystąpić z mową, ale słowa uwięzły mu w gardle, czém ogólną wywołał weselość.

Kiedy cały orszak stanął przed południową bramą, Anna Boleyn wysiadła z lekyki i, stojąc pod baldachinem, w gronie dam i rycerzy oczekiwała na króla. W tej chwili ozwał się znów wystrzał armatni, oznajmujący zbliżenie się monarchy. Książęta Norfolk, Suffolk i Richmond, hrabia Surrey i sir Tomasz Wyatt udali się natychmiast na jego spotkanie, ale zaledwie zjechali z góry, ukazał im się orszak królewski dążący już do zamku.

Przodem szło dwunastu trębaczy w barwie monarszej, grając głośną fanfarę; za nimi postępował oddział halabardzistów. Zkolei jechało dwóch giermków z gołemi głowami, w barwie kardynała York, wołając: „Z drogi panowie! Miejsce dla Jego Eminencyi!” Za nimi ukazał się dworzanin z wielką

srebrną laską, następnie drugi z kardynalskim kapeluszem, a wreszcie sam kardynał Wolsey na białej mulicy, okrytj czaprakiem z purpurowego aksamitu ze złotemi frendzlami. Miał na sobie purpurową atlasową szatę i takiż kapelusz; żółta cera jego nabrzęktj, niemilj twarzy rażąco odbijała od żywěj barwy sukni. Spoglądał ponuro przed siebie, nie zwracając uwagi na okrzyki ludu, czasem tylko, kiedy szmer niezadowolenia doszedł jego uszu, podnosił oczy i przeszywające rzucał na śmiałka spojrzanie. Przy jego boku jechało dwóch dworzan ze złocconemi berdyszami; dosyć było jednego skinienia, żeby pochwycili i skarcili zuchwalca, to też ludzie cofali się ze strachem, bojąc się narazić na gniew potężnego prałata.

Skoro przeszedł orszak Wolsey'a, ukazała się lektyka karmazynowym aksamitem wybita, w której siedział legat papieski, kardynał Campeggio, tak stary i schorowany, że nie mógł o własnej chodzić sile.

Wśród licznego pocztu szlachty, panów i dworzan jechał król Henryk VIII na olbrzymim dzianecie, pokrytym czaprakiem z purpurowego aksamitu z gronostajami. Miał na sobie obcisłą szatę ze złotogłowi, z napierśnikiem błyszczącym od drogich kamieni, i bogaty płaszcz purpurowy podbity gronostajami. Na szyi zwieszał się ciężki złoty łańcuch orderu Podwiązki.

Henryk liczył wtedy trzydziesty ósmy rok życia i pomimo zbytnej otyłości postawę miał wspaniałą, ruchy bardzo żywe. Piękne jego oblicze odzna-

czało się otwartością i humorem, który mu jednał serca poddanych; można mu było wiele zarzucić, ale nawet najzawziętszy nieprzyjaciel musiał przyznać, że od stóp do głowy był to prawdziwy monarcha.

Król wjechał do zamku przy odgłosie muzyki, huku dział i bębnow, którym towarzyszyły okrzyki zebranego ludu. Zeskoczywszy z konia, oddał go paziowi, a sam zbliżył się do Anny Boleyn, która szła na jego spotkanie.

— Witam cię w moim zamku Windsor, o najpiękniejsza pani — rzekł, ujmując jęj rękę — najgorętszým mojem życzeniem jest, ażebyś jaknajprędzej została tu panią.

Anna Boleyn zapłoniła się i spuściła oczy pod namiętnym wzrokiem królewskiego kochanka, a sir Tomasz Wyatt, stojący opodal, zrozumiał, że żadnej nie może mieć nadziei.

— Słyszałeś, Eminencyo? — rzekł Will Sommers do kardynała, który patrzył na tę scenę posępnym wzrokiem — ona ma tu być panią, a wtedy skończy się twoje panowanie.

Wolsey nie raczył odpowiedzieć ale na jego policzki wystąpił ciemny rumieniec gniewu.

Henryk tymczasem ujął rękę Anny Boleyn i prowadził ją do zamku, a za nim postępował dwór cały. Kiedy mijali wieżę Normandzką, łuczniczek zwany księciem na Dwóch Stawach zbliżył się do króla i ugiął przed nim kolano.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — wczoraj w nocy ująłem rzeźnika z Windsoru, który ośmielił

się znieważyc słowami Waszą Królewską Mość, oraz tę piękną i cnotliwą damę.

— Ha! przyprowadzić tu zaraz tego zuchwalca — zawołał Henryk.

Za chwilę Marek Fytton stanął przed obliczem królewskim, bynajmniej niestrwożony i niezmięszany.

— Ośmieliłeś się mówić ubliżająco o nas — rzekł Henryk — powtórz twoje słowa.

— Powiedziałem, że król chce porzucić swoją prawą małżonkę, Katarzynę Aragońską, a wynieść na tron tę oto ulubienicę, Annę Boleyn — śmiało odpowiedział rzeźnik — powiedziałem, że to jest niegodnie i miałem słusność.

— Bodaj ci wyrwano twój plugawy język za takie kłamstwo! — krzyknął król z wściekłością — héj! powiesić mi tego łotra na najwyższej wieży zamku, ażeby wszyscy moi poddani mogli widzieć, jak są karani zdrajcy.

— Wasza Królewska Mość słuszny wydała wyrok — rzekła Anna.

— Nie masz serca ani litości, piękna pani — rzekł nieustraszony rzeźnik — i ty kiedyś dostaniesz się w ręce kata i daremnie błagać będziesz o zmiłowanie tego tyrana! Mój los stanie ci wtedy w pamięci i pożałujesz słów, któreś teraz wyrzekła.

— Precz z nim! — krzyknął Henryk — ja sam wejdę na wieżę przekonać się, czy spełniono wyrok... Do widzenia, moja luba, trzeba dać nauczkę stronnikom Katarzyny.

Żołnierze wprowadzili już więźnia, a król z pa-

nami udał się na szczyt wieży Normandzkiej, żeby dopilnować spełnienia wyroku. W niespełna kwadrans później wzniesiono szubienicę i przywiązano do niej mocny sznur z węzłem na końcu.

— Héj! Morganie Fenwolfl— krzyknął rzeźnik z wierzchołka wieży — nie będziesz ty umierał tak spokojnie jak ja... Bóg niechaj strzeże królowę Katarzynę!

Były to ostatnie jego słowa, gdyż za chwilę zawisł w powietrzu, wśród okrzyków i gwizdań ludu.

IV.

Święto orderu Podwiązki.

Skoro król napasł oczy widokiem nieszczęsnej ofiary swój zemsty, zeszedł z wieży i udał się do wspaniałych komnat, gdzie nań oczekiwała Anna Boleyn, otoczona całym dworem i piękna jak marzenie w swoich szatach z atłasu i złotogłowiu. Henryk podał jej rękę i zaprowadził na koniec sali, gdzie pod baldachinem stały dwa krzesła na wywyższeniu. Uśmiech tryumfu rozpromienił jej oblicze, kiedy siadła na miejscu zajmowanem niegdyś przez Katarzynę Aragońską, ale radość jej wzrosła jeszcze po przemowie królewskiej.

— Panowie i milordowie — rzekł Henryk — znane wam są wątpliwości moje co do prawomoc-

ności mego małżeństwa z wdową po moim bracie, Katarzyną Aragońską. Im dłużej nad tém się zastanawiam, tém więcej jestem przekonany, że związek ten był nieważny, a choćbym nawet zapomniał o tém, ostrzegliby mię duchowni, którzy publicznie przemawiają przeciwko temu małżeństwu. Zapewniam was, panowie, że nie mam żadnej przyczyny skarżyć się na królowę; przeciwnie, zawsze oddaję sprawiedliwość jęj charakterowi, szlachetności i dobroci, i gdyby nie to nieszczęsne między nami pokrewieństwo, nigdybym nie pomyślał o zerwaniu łączących nas węzłów. Dziwicie się pewno, że dopiero po kilkunastu latach małżeństwa przyszła mi myśl rozwodu, ale niedawno dopiero oczy mi się otworzyły na grzeszność naszego stosunku; przytém kochałem szczerze królowę i z prawdziwą boleścią musiałem się rozstać z tak wierną i cnotliwą małżonką.

— Tyleś wycierpiał kumie — zauważył Will Sommers stojący za królem — że wart jesteś, aby cię policzono w poczet męczenników pod imieniem Św. Henryka.

Obecni z trudnością powstrzymali uśmiech, a król surowém spojrzeniem nakazał milczenie śmiałemu trefnisiowi.

— W obszernej rozprawie przedstawiłem pobudki mego postępowania — mówił dalej monarcha — skoro ją przeczytacie, nie będziecie już wątpili o słuszności moich skrupułów. Bo i cóżby się stało z tém królestwem, gdyby po mojej śmierci uznano nasze małżeństwo za nieważne? Zamieszki

i rozruchy wybuchnęłyby w kraju, jak to się stało po śmierci naszego miłościwego dziada, Edwarda IV. Ażeby zapobiedz takim nieszczęściom postanowiłem, choć z boleścią w sercu, rozwieść się z Katarzyną Aragońską i pojąć inną małżonkę, któraby mię obdarzyła dzielnym synem i dziedzicem państwa.

Szmerem zadowolenia przyjęto te słowa, a dwaj kardynałowie znaczące z sobą zamienili spojrzenia. Król to zauważył i, ujmując rękę Anny Boleyn, rzekł groźnie do Wolsey'a:

— Nie wątpię, że wszyscy pochwalicie mój wybór; co do ciebie zaś, piękna pani — dodał, zwracając się do Anny — na dowód względów, jakie mam dla twojej osoby, mianuję cię margrabiną Pembroke i przeznaczam ci dwa tysiące marek z mojego skarbu.

— Wasza Królewska Mość jest zbyt szczerą — rzekła Anna i, przykląkwszy, ucałowała rękę królewską.

— Bynajmniej, najdroższa, bynajmniej! — zawołał król, podnosząc ją z tkliwością — to tylko słaby dowód moich uczuć dla ciebie. Ty zaś, sir Tomasz Boleyn — dodał zwracając się do jej ojca — będziesz odtąd nosił tytuł wice-hrabiego Rochford. Mianuję cię przytem kawalerem orderu Podwiązki, którego oznaki dziś jeszcze otrzymasz.

Przyjąwszy podziękowania Sir Tomasza, Henryk zszedł z tronu i wraz z lady Anną udał się do innej komnaty, gdzie przygotowano dla nich lekki posiłek. Potem Anna wzięła lutnię i z takim wdziękiem śpiewała wesołe francuzkie piosenki

że król, wielki zwolennik muzyki, nie mógł wyjść z zachwycenia. Dwie godziny przeszły jak jedna chwila, aż szambelan musiał przypomnieć królowi, że czas na zebranie kapituły.

Henryk czule pożegnał się z Anną i udał się do swoich komnat, gdzie przybrano go w szatę z purpurowego aksamitu, haftowaną złotem i srebrem, oraz długi płaszcz z błękitnego aksamitu, obłożony białym adamaszkiem. Na lewém ramieniu wyhaftowana była perłami i złotem szeroka podwiązka, oraz dewiza orderu: „Honni soit qui mal y pense.” Purpurowa czapka królewska takim samym była ozdobiona haftem, na szyi zaś zawieszono królowi wielki łańcuch Św. Jerzego.

Tymczasem w komnatach zgromadzili się wszyscy kawalerowie orderu w swoich malowniczych szatach i, czekając na króla, uszykowali się we dwa rzędy. Skoro ukazał się monarcha, jeden z dworzan trzymający miecz królewski oddał go księciu Richmond, który niedawno otrzymał przywilej noszenia go na wszystkich uroczystościach i ceremoniach. Król postępował wolnym i majestatycznym krokiem, poprzedzany przez wielkiego herolda państwa i księcia Richmond z mieczem. Hrabia Surrey, sir Tomasz Wyatt i inni panowie nieśli ogon jego płaszcza. Na niski ukłon kawalerów orderu król odpowiedział, z wdziękiem i godnością uchylając czapki, a potem cały orszak opuścił komnaty zamkowe i udał się do kaplicy Św. Jerzego.

W sali kapituły wszystko już było przygotowane: tron dla króla, krzesła dla kawalerów orderu

i dostojników państwa, oraz stół karmazynowém sukniem pokryty, przy którym zasiedli: kanclerz orderu, prałat, pisarz i marszałek.

Skoro wszyscy zajęli swoje miejsca, król rozkazał księżętom Norfolk i Suffolk wprowadzić nowego kawalera, sir Tomasza Boleyn, a raczój lorda Rochford. Skłonił się on głęboko i wyraziwszy monarsze swoją wdzięczność za zaszczyt, jaki go spotkał, zasiadł na złożoném krześle. Wtedy powstał wielki herold państwa i tak do niego przemówił:

— Milordzie, zgromadzenie orderu Podwiązki przyjmuje cię za brata i towarzysza, w dowód czego ofiaruje ci tę podwiązkę, którą powinieś nosić ku czci i chwale przesławnego orderu.

Wtedy książe Suffolk zapiął mu na nodze podwiązkę, kanclerz miał do niego przemowę, król zaś włożył mu na szyję złoty łańcuch z wyobrażeniem Św. Jerzego. Nowy kawaler powstał z klęceczek, skłonił się królowi i obecnym, i zasiadł na swoim miejscu. Inwestytura była już skończona.

Następnie odebrano przysięgę od kawalerów mianowanych na ostatniém posiedzeniu kapituły, a w końcu odczytano listy od tych, którzy nie mogli przybyć na tę uroczystość. Ostatni list pochodził od Sir Tomasza Cheney i sprowadził chmurę niezadowolenia na oblicze monarchy. Henryk uważał go za stronnika Katarzyny i, zakląwszy głośno oświadczył, że odbierze mu prawo głosu i skarże na grzywny. Will Sommers, który i tu potrafił się dostać, szepnął mu wtedy na ucho, że sir Tomasz

Cheney jest gorącym zwolennikiem lady Anny, nie przybył zaś w skutek intryg kardynała Wolsey'a.

— Doprawdy! — rzekł król, marszcząc czoło — tego już zawiele. Trzeba posłać po sir Tomasza Cheney, muszę raz położyć temu koniec.

Po skończoném posiedzeniu, król z całym orszakiem opuścił salę kapituły i udał się do kaplicy Św. Jerzego na nieszpory. Na stopniach tronu stanął książe Richmond z mieczem, po prawicy hrabia Oxford jako pierwszy szambelan, a po lewicy hrabia Surrey wice-szambelan.

Jednocześnie przybyli obaj kardynałowie i z całą uroczystością odprawiono nieszpory. Kaplica jaśniejąca od świateł, złota i kosztownych makat, przepelniona rycerzami i dworzanami w barwnych szatach, wspaniały przedstawiała obraz.

Po skończoném nabożeństwie cały orszak w tym samym porządku powrócił do zamku, a król zaraz udał się do lady Anny przechadzającą się na północnym tarasie i nie opuścił jęj, dopóki nie wezwano go na wieczerzę z kawalerami orderu.

Nazajutrz, jako w dzień Św. Jerzego, patrona orderu, król z całym dworem pojechał konno na mszę do kaplicy; towarzyszyła mu lady Anna na białym rumaku, którym kierowała z takim wdziękiem i zręcznością, że oczarowany Henryk nie mógł oczu od nięj oderwać.

Nabożeństwo odbyło się z największą okazałością, a podczas niego, dziekan wydobyl ze skarbca srebrną puszkę zawierającą serce Św. Jerzego, dar cesarza Zygmunta dla króla Henryka V, i podał ją

do pocałowania królowi, oraz kawalerom orderu Podwiązki.

Do wielkiej uczyty, zastawionej w sali jadalnej ozdobionej cudnymi rzeźbami, zasiadł przy osobnym stole pod baldachinem król z dwoma kardynałami. Opodal przy długim stole zasiedli według urzędu wszyscy dostojnicy państwa, magnaci i kawalerowie orderu. Na jednej galeryi umieszczono minstrelki, którzy mieli przygrywać podczas uczyty; na drugiej zasiadła lady Anna z damami.

Paziowie w barwie królewskiej służyli biesiadnikom, stoły uginały się pod ciężarem półmisków srebrnych, na których dymiły się pieczenie sarnie, udźce jelenie, pasztety, drób i zwierzyna, nie licząc piramid z cukru, ciast i słodczy wszelkiego rodzaju.

Po pierwszém daniu powstał herold państwa i, zbliżając się do stołu monarszego wraz z marszałkiem i wielkim podczaszym, zawołał trzykrotnie: „Largesse!”

Wszyscy naraz z miejsca powstali i skoro herold wymienił po angielsku i po łacinie wszystkie tytuły królewskie, spełnili zdrowie miłościwego pana, Henryka VIII.

Po tej ceremonii król zwrócił się do legata, mówiąc:

— Teraz, Eminencyo, wypijemy zdrowie przyszłej królowej.

— Wasza Królewska Mość jeszcze nie jest rozwiedziona ze swoją obecną małżonką — odparł

kardynał Campeggio — jeżeli więc pozwolicie, wypiję zdrowie Katarzyny Aragońskiej.

— Jak wam się podoba — sucho odparł Henryk i, zwracając się w stronę Anny Boleyn, spełnił duszkiem puchar nalany przez podczaszego.

— Chciałbym, żeby to była trucizna — mruknął sir Tomasz Wyatt, patrząc ponuro na króla.

— Milczałbyś lepiej, kumie — rzekł Will Sommers, który stał opodal — pleciesz jak na mękach bez względu, że może cię kto podsłuchać i donieść o twoich życzeniach królowi. Powiadam ci, że lady Anna jest dla ciebie stracona; którażby kobieta opuściła króla dla zwyczajnego szlachcica? Najlepiej wybij ją sobie z głowy.

— Mości książę! — zawołał nagle do Richmonda — wolałbyś pewnie być na galeryi niż tu.

— A to dlaczego? — zapytał Richmond.

— Bo tam jest piękna Geraldyna — odpowiedział trefniś — ona jednak lubi kogoś innego więcej niż ciebie.

— Kogóż takiego? — z gniewem zapytał książę.

Trefniś się rozśmiał złośliwie i wskazał na Surreya.

V.

Pogoń za widmem.

Północ jeszcze nie wybiła na zamkowym zegarze, kiedy z bram Windsoru wysunęło się dwóch młodzieńców, kierując się ku dębowi Herna. Był

to książę Richmond i hrabia Surrey. Księżyc świecił jasno jak poprzedniej nocy i srebrzył wspaniałe gęstwiny parku. Niebawem stanęli koło przekłętego drzewa, ale oczekiwania ich zostały zawiedzione, gdyż wszędzie zupełna panowała cisza. Zapuscili się potem w głęboki wąwóz poniżej dębu, i tam jednak nic nie mąciło nocnego spokoju.

Książę Richmond zaczął wyśmiewać się z towarzysza.

— Duch Myśliwca istnieje tylko w twojej wyobraźni — żartował — widziałeś może jelenia zaplątanego w gałęzie dębu i wzięłeś go za widmo.

— O nie, to nie było złudzenie — odparł Surrey — ale patrz! patrz! — szepnął, ściskając go za ramię.

Jakiś jeździec na karym rumaku z błyskawiczną szybkością przez las pomykał. Odziany był w skóry zwierząt i zamiast hełmu miał na głowie czaszkę jelenią. Przed nim leciała sowa, a za nim dwa wielkie czarne ogary. Obaj młodzieńcy stanęli jak wryci i w niemém zdumieniu spoglądali na zaczarowaną postać, która nagle zniknęła wśród zarośli.

— Cóż o tém myślisz? — tryumfująco zapytał hrabia, ochłonawszy ze zdumienia — czy jeszcze powiesz, że to był wytwór mojej wyobraźni?

— To dziwne, to bardzo dziwne! — rzekł Richmond — szkoda, że nie mamy koni pod ręką, mogliśmy za nim pędzić.

— Chodźmy w głąb lasu, może go jeszcze ujrzymy.

Zapuscili się w gęstwinę i przedzierając się przez zarośla, doszli nareszcie do sadzawki ukrytej w jarze zarośniętym potężnymi dębami; Surrey wysunął się naprzód i spostrzegł nagle nad sobą tajemniczego jeźdźca. Krzyknął na towarzysza, żeby się pospieszył, ale na dźwięk jego głosu duch groźnie potrząsnął ręką i, chwyciwszy róg myśliwski, przyłożył go do ust. Naraz buchnęły z niego płomienie i obłoki dymu, w których zniknął koń, psy i jeździec.

Obaj młodzieńcy przeżegnali się pobożnie, ale skoro zeszli nad brzeg stawu, nie było już śladu zaczarowanego Myśliwca.

— Idźmy dalej! — rzekł zaciekawiony Richmond — może go znów spotkamy.

Szli znowu w kierunku w którym zniknęło widmo, ale nic nie mąciło głuszy leśnej, chyba szelest przemykającego się zwierza lub złowieszczy krzyk puszczyka. Ze wzgórza ocienionego stuletniami bukami, ukazał im się w oddali zamek oblany księżycowem światłem, a był to obraz tak czarujący i majestatyczny, że obaj młodzieńcy nie mogli oderwać oczu od niego.

Nagle uwagę ich zwróciła jakaś postać męzka, wysuwająca się z zarośli poniżej wzgórza. Był to człowiek wysokiego wzrostu i silnej budowy, ubrany w zwykłą odzież leśników królewskich. Richmond i Surrey niepostrzeżenie puścili się za nim w pogoń, podejrzewając, że jego pojawienie się tu w tej porze musi być w związku z tajemniczym Myśliwcem.

Nie zawiodły ich te przypuszczenia. Z poza dębu Herna wysunęło się nagle widmo i, przemówiwszy kilka słów do leśnika, skoczyło na karego rumaka. Leśnik dosiadł drugiego, który stał w pogotowiu, i obaj popędzili w wąwóz wraz z psami. Niezadługo rozległ się odgłos rogu i szczekanie ogarów; wspaniały jeleń pomknął z gęstwiny, za nim goniły psy i dwaj jeźdźcy na karych rumakach. Po chwili wszystko zniknęło w głębi lasu, a dwaj młodzieńcy zdumieni i przerażeni wrócili nad ranem do zamku.

VI.

Dar pięknej Geraldyny.

Surrey i Richmond postanowili zachować w tajemnicy swoje przygody, ale kiedy nazajutrz rano ukazali się na pokojach, bladeść ich twarzy i pomieszanie świadczyły, że musiało przytrafić im się coś niezwykłego. Zaciekawione panie zarzuciły ich pytaniami.

— Nigdy jeszcze nie widziałam cię w tak milczącym i smutnym usposobieniu, hrabio — rzekła piękna Geraldyna do Surreya — musiałeś całą noc spędzić przy pracy, albo też widziałeś ducha Myśliwca. Przyznaj się, że byłeś zeszłej nocy w lesie?

— Nic nie przyznaję i niczemu nie zaprzeczam — wymijająco odpowiedział hrabia.

— Musiałeś widzieć coś strasznego — badała dalej dziewica.

— Wiesz pani chyba, że kto jest w stosunkach z piekielnymi mocami, musi zachować to w tajemnicy, — nie pytaj mię więc o nic — z przymuszonym uśmiechem rzekł Surrey.

— Ależ ty żartujesz, Henryku! — zawołała przestraszona lady Marya Howard — nieprawdaż, książe?

— Nie mogę pani nic powiedzieć—tajemniczo odparł Richmond.

— Podniecacie moję ciekawość — rzekła piękna Geraldyna — kto wie, czy i ja wraz z lady Maryą nie wybiorę się téj nocy do lasu, ażeby ujrzeć owe widmo.

— Ja nie pójdę za nic w świecie! — zawołała lady Marya, wdrygając się — umarłabym ze strachu, gdybym miała spotkać się z duchem Myśliwca.

— Obawa pani byłaby płonną — grzecznie zauważył Richmond — obecność dwóch istot tak pięknych i czystych, jak lady Marya Howard i lady Elżbieta Fitzgerald, odstraszyłaby moce piekielne.

Lady Marya podziękowała mu słodkim spojrzeniem, zato piękna Geraldyna rozśmiała się lekko i rzekła:

— Piękność i cnota nietyłe by nas zabezpieczyły ile relikwia, którą noszę na sobie. Jeden z moich przodków, Luigi Geraldini z Florencyi, dostał ją od pewnego mnicha kuszonego przez szatana.

— Chciałbym jój moc wypróbować — zawołał Surrey.

— Będziesz ją miał, milordzie, ale dam ci ją pod warunkiem, że nigdy się z nią nie rozłączysz.

Zdjęła z szyi mały krzyżyk złoty na takimże łańcuszku i podała go hrabiemu.

— Krzyżyk zawiera właśnie tę cenną relikwię — rzekła poważnie — noś ją i niechaj niebo cię zachowa od wszelkiego złego.

Białe lica Surreya żywym zapłonęły rumieńcem.

— Oddam ją chyba z życiem! — zawołał, przyciskając do ust drogą pamiątkę.

— Połowę mego mienia dałbym za taką łaskę — chmurnie rzekł Richmond i poszedł do lady Anny.

— Stracisz przyjaciela, Henryku — zauważyła lady Marya — nie widziałeś, jak straszne rzucił na ciebie spojrzenie.

— Nie dbam o to — dumnie odparł Surrey — gdyby nawet król był moim współzawodnikiem, nie wyrzekłbym się pięknej Geraldyny.

— Dzielnie powiedziane — rzekł Sir Tomasz Wyatt, który zbliżył się właśnie i usłyszał śmiałe słowa młodzieńca — daj Boże, żebyś nigdy nie był w takim położeniu.

— Mój brat jest bardzo młody i nie umie jeszcze panować nad sobą — żywo wtrąciła lady Anna, patrząc znacząco na hrabiego — nie trzeba zwracać uwagi na jego słowa.

W tej chwili stanął przed nimi Will Sommers.

— Lady Anna Boleyn cię wzywa, sir Tomaszu Wyatt — rzekł, mrugając na niego z porozu-

mieniem — ciebie zaś, hrabio Surrey, król właśnie potrzebuje... Radzę ci nie zrywać z Richmondem — dodał cicho — możesz źle wyjść na tém.

Król rozkazał młodzieńcowi przygotować wszystko do turnieju, który miał się nazajutrz odbyć w zamku; następnego dnia naznaczone było wielkie polowanie w lasach Windsoru.

Książę Richmond, ochłonawszy z gniewu, zbliżył się znowu do hrabiego Surreya i obaj przyjaciele wyszli razem na taras, rozmawiając o zdarzeniach ubiegłej nocy.

— Zdaje mi się, że leśnik, którego widzieliśmy razem z duchem Myśliwca, to Morgan Fenwolf — rzekł hrabia — wartoby się dowiedzieć, gdzie spędził noc ubiegłą. Spytajmy się o jego mieszkanie właściciela gospody pod Podwiązką.

Richmond zgodził się na to i obaj udali się do miasta. Bryan Bowntance siedział właśnie na ławce przed gospodą i na widok dostojnych gości zerwał się szybko, niskim witając ich pokłonem. Na zapytanie gdzie mieszka Morgan Fenwolf odpowiedział, że dom jego stoi nad rzeką niedaleko mostu i ofiarował się pokazać im drogę, na co chętnie się zgodzili.

— Co to za człowiek ten Morgan Fenwolf? — zapytał Surrey — czy znasz go dobrze?

— Znam go oddawna — z pewnem wahaniem odpowiedział Bryan — i nie wierzę temu, co ludzie o nim mówią?

— A cóż mówią? — ciekawie podchwycił Richmond.

— Jestem pewny, że to plotka wymyślona przez złe języki — odrzekł oberżysta — powiadają, że Morgan wdaje się z szatanem, czy też z duchem Myśliwca, co na jedno wychodzi.

Richmond spojrział znacząco na przyjaciela.

— Mówią, że w lasach Windsoru dziwne rzeczy po nocy się dzieją — ciągnął dalej Bryan — co do mnie, nigdy nic nie widziałem, ale też nie poszedłbym tam za nic w świecie. Będąc chłopięciem, słyszałem historią o Hernie, który ukazuje się w borze po zachodzie słońca, myślę jednak, że to bajka wynaleziona dla odstraszenia złodziei zwierzyny.

Tymczasem stanęli przed domem leśnika. Była to niska drewniana chata nad rzeką, a zastali w niej tylko starą, pomarszczoną wiedźmę, która złowrogiem objęła ich spojrzeniem.

— To matka Morgana — rzekł Bryan.

— Gdzie jest wasz syn? — zapytał Surrey.

— Poszedł do lasu — szorstko odpowiedziała stara.

— Dawno? — zagadnął książę.

— Przed wschodem słońca, jak zwykle.

— Czy zeszłą noc spędził w domu?

— Nieinaczéj, mogę panom pokazać izbę w której sypia.

Otworzyła drzwi do przyległej izdebki, której okno wychodziło na rzekę. Stało w niej łóżko, wisiały sieci, łuki i oszczepy.

— Musiałeś się pomylić — szepnęła Richmond do Surreya — to nie był leśnik.

— Jestem przekonany, że ta czarownica kłamie — równie cicho odrzekł hrabia. — Król będzie polował tu pojutrze — odezwał się głośno — chciałem waszemu synowi wydać odpowiednie polecenie, ale kiedy go niema, to innego poszukam leśnika.

Wrócili do zamku, ale skoro noc nadeszła, dosiedli koni i potajemnie udali się znów do lasu. Zagadkowe widmo taką wzbudzało w nich ciekawość, że przemogła nawet nad obawą spotkania się ze złym duchem. Daremnie jednak jeździli w rozmaitych kierunkach, spokój i cisza w leśnych panowały gęstwinach. Kilka godzin tak minęło, kiedy nagle doszedł ich z oddali stłumiony odgłos rogu.

— To przeklęty Myśliwiec! — zawołał Surrey — spieszmy w tamtą stronę!

Ujrzeni niebawem posępny orszak pomykający doliną, ale mimo wszelkich usiłowań nie mogli go dognać. Rumaki zmęczone szybkim biegiem, w końcu ustawać zaczęły i obaj młodzieńcy radzi nieradzi musieli zaprzestać pogoni. Przejeżdżając obok dębu Herna, spostrzegli nagle martwe ciało wiszące na gałęzi.

— Co to jest! — krzyknął — czyżby Morgan Fenwolf się powiesił?

Wkrótce jednak się przekonali, że to nie był leśnik lecz nieszczęśliwy Marek Fytton, powieszony z rozkazu króla.

— Wracajmy — rzekł po chwili Richmond wdrygając się — dosyć mam przygód na dziś. W tym lesie dzieją się rzeczy, których umysł ludzki pojąć nie może.

VII.

Przerwana schadzka.

Nazajutrz rano wzniesiono szranki na głównym dziedzińcu zamkowym i kosztownymi makatami ozdobiono balkon, na którym zasiadła lady Anna z damami. Henryk VIII celował we wszystkich rycerskich zapasach i tym razem pozostał zwycięzcą, pomimo że współzawodnikiem jego był książę Suffolk, znany z dzielności i wprawy. Kilka kopij skruszyli bez żadnego rezultatu, dopiero w ostatniej gonitwie król trafnym uderzeniem zrzucił hełm z głowy księcia—podobno umyślnie źle przymocowany—i dostał za to szarfę haftowaną własnymi rączkami pięknej Anny.

Henryk po tém zwycięztwie zaniechał dalszych zapasów i udał się na balkon, zostawiając wolne pole młodszym rycerzom. Zkolei następowały gonitwy do pierścienia. Pierwszy wyjechał w szranki sir Tomasz Wyatt, ale wbrew zwyczajowi oko jego było mniej pewne i dłoń mniej zręczną niż zwykle, po daremnej więc próbie ustąpił miejsce księciu Richmond. Młodzieniec wspaniale przybrany w atłas i złotogłów skłonił się przed piękną Geraldyną, pędem wypuścił rumaka i — chybił, czem był mocno upokorzony.

Zkolei wystąpił hrabia Surrey na karym arabszczyku, który jak dziecko posłusznym był każdemu drgnięciu jego dłoni. Nie spojrział nawet na balkon

królewski i, schyliwszy się, zerwał w biegu pierścień wśród okrzyków i oklasków całego tłumu. Wtedy dopiero podjechał ku balkonowi i na włóczni podał pierścień spłonionej Geraldynie. Król, choć nieco strapiiony niepowodzeniem syna, powinszował hrabiemu Surrey zasłużonego tryumfu, a lady Anna Boleyn także dołączyła pochwalnych słów kilka.

Po skończonym turnieju cały dwór udał się na śniadanie, a potem przyglądano się strzelaniu z łuków do tarczy. Hrabiemu Surrey udało się zbliżyć nieznacznie do pięknej Geraldyny i szepnąć jej błagalnie:

— Po niesporach w kaplicy Św. Jerzego, wracaj pani przez korytarze klasztorne. Proszę cię o chwilę rozmowy na osobności.

— Nie mogę tego przyrzec — odrzekła piękna Geraldyna i podążyła za lady Anną.

Prosbę młodzieńca, cichym wymówioną szeptem, usłyszał jednak trefniś królewski i z drwiącym uśmiechem zbliżył się do Richmonda.

— Nie tęgo spisałeś się dziś w szrankach, kumie — rzekł urągliwie — Surrey zręczniejszy od ciebie.

— Milcz, przeklęty błaznie! — zawołał rozjątrzony książę — dosyć się już najadłem upokorzenia.

— Ha! ha! ha! kto inny zdmuchnie ci pannę z przed nosa — natrzasał się trefniś — słyszałem, jak sobie naznaczali schadzkę.

Richmondowi oczy się zaiskrzyły; pochwycił go za ramię i, cisnąc z całej siły, rzekł zdławionym od gniewu głosem:

— Mów wszystko co wiesz, bo inaczej połamię ci kości!

— Słyszałem tylko, jak Surrey ją prosił, żeby wracała z nieszporyw przez klasztorne korytarze — odpowiedział przestraszony Will Sommers.

— Jeżeli skłamałeś, nawet powaga mego ojca nie zdoła uchronić cię od kary — rzekł Richmond puszczając go.

Obaj przyjaciele unikali się wzajemnie przez resztę dnia; Surrey nie mógł się zwierzyć księciu ze swoich nadziei i zamysłów, książę dyszał gniewem i zazdrością.

Zamiast iść na nieszpory, Richmond zaczął się w klasztornych korytarzach, czekając na piękną Geraldynę. Z kaplicy Św. Jerzego dochodziły go dźwięki hymnów i uroczyste tony organów; wreszcie wszystko ucichło, nieszpory zapewne się skończyły, nikt jednak nie nadchodził.

Zniecierpliwiony książę chciał już się oddalić, kiedy wtém nadbiegł zdyszany trefniś i kiwnął na niego z porozumieniem.

— Ostrożnie, kumie, bo ich spłoszysz — szepnął.

Zaprowadził go aż do kolumny, poza którą było niewielkie zagłębienie. Stała tam piękna Geraldyna z głową wspartą na ramieniu Surreya, który obejmował ją czule.

— Widzisz? — tryumfująco rzekł trefniś — nie skłamałem przed tobą.

Richmond sięgnął do miecza.

— Nie żądaj tego odemnie nigdy, Henryku —

mówiła dziewica cichym głosem — pierwsza to i ostatnia schadzka. Gdybym wiedziała, że twoje serce nie zmieni się z latami...

— Nigdy! — gorąco zapewnił Surrey — przysięgam, że zawsze kochać cię będę.

— I ja także przysięgam, że będę twoją, lub niczyją — uroczyście rzekła piękna Geraldyna.

— Chciałbym, żeby cię słyszał Richmond! — zawołał hrabia — wyrzekłby się wszelkiej nadziei.

— Słyszał, ale mimoto nie wyrzeka się nadziei — odezwał się Richmond, wychodząc z poza kolumny.

Piękna Geraldyna krzyknęła i wyrwała się z objęć hrabiego.

— Postąpiłeś niegodnie szpiegując nas! — gniewnie zawołał Surrey.

— Trzeba być szpiegiem, żeby podejść czułą parę — z goryczą odparł Richmond. — Lady Elżbieta Fitzgerald lepiej by uczyniła, nie słuchając miłosnych słówek płochego młokosa, który zapomni o swoich przysięgach, zanim się brody dochowa.

— Płochy młokos przekona cię, książe, że jest mężczyzną i potrafi pomścić obelgę! — groźnie zawołał Surrey.

— Ciesz mi się to — dumnie odparł Richmond — lady Elżbieta Fitzgerald zechce powrócić do swoich komnat; trefniś królewski ją odprowadzi. Tymczasem my się rozprawimy.

Wybiegli na korytarz i wkrótce rozległ się szcęk broni. Piękna Geraldyna krzyknęła strwo-

żona, a Will Sommers z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

— Gdybym był wiedział, że takie będą skutki mojego żartu, nie byłbym nic mówił — mruknął — co tu począć? Te wartogłowy nie pomną, że w obrębie mieszkania królewskiego nie wolno miecza dobywać.

— Biegnij po straż co żywo! — zawołała lady Elżbieta — oni gotowi się pozabijać.

Trefniś poskoczył co tchu i powrócił za chwilę, prowadząc za sobą oficera i kilku halabardzistów.

— Panowie! — zawołał oficer — rozkazuję wam zaprzestać walki.

Ale zawzięci młodzieńcy nie chcieli go słuchać i trzeba ich było siłą rozdzielić.

— Jesteś moim więźniem, lordzie Surrey — rzekł oficer — zechciej oddać mi szpadę.

— Na zasadzie jakiego prawa? — zapytał hrabia.

— W obrębie mieszkania królewskiego nie wolno miecza dobywać, a przytém wyciągnąłeś go przeciw synowi króla. To pachnie zdradą stanu, muszę cię więc aresztować.

— Ależ ja sam go wyzwalem! — zawołał Richmond, ochłonawszy z gniewu.

— To nic nie znaczy, ja muszę spełnić mój obowiązek — odparł oficer.

— Biegnę do ojca — rzekł książę — za chwilę będziesz wolny, hrabio.

Oddalił się szybko, a tymczasem straż zaprowadziła lorda Surrey'a na odwach.

VIII.

Łowy królewskie.

Czwartego dnia po przyjeździe króla do zamku Windsor, wszyscy leśnicy i dojeżdźdźcze, nie licząc łowczych i strzelców, zebrali się wczesnym rankiem w wielkiej alei parku. Na obszernej polance wzniesiono drewnianą altanę ubraną kwiatami i zielenią, gdzie miała zasiąść lady Anna z damami.

Niedaleko od altany była zagroda, w którą napędzono zwierzynę rozmaitego rodzaju. Były tam lisy, zajęce i króliki, płochliwe sarny i rącze danieli, ale wszystko to było tak wystraszone, że nie myślało toczyć z sobą walki. Najwspanialszym jednak ze wszystkich był wielki jelen z rozłożystymi rogami, zwany królewskim jeleniem, który kilkakrotnie już wymykał się myśliwym. Schwycił go Morgan Fenwolf, a była to zdobycz tak cenna, że sam wielki łowczy powinszował mu jój. Wzbudziło to zawiść w towarzyszach, którzy szemrali między sobą, że wszystko jest łatwem dla tego, który duszę dyabłu zaprzedał. Inni jednak wzięli stronę Morgana i utrzymywali, że to czego dokonał, nie miało w sobie nic nadzwyczajnego i nie przechodziło siły pojedynczego człowieka.

Potem wszyscy zasiedli do śniadania, złożonego z chleba, wędlin, zimnego mięsa i piwa. Kiedy tak się posilali, rozprawiając o duchu Myśliwca, w alei nagle ukazały się dwie osoby, które ogólną

uwagę zajęły. Jedną z nich był krzepki i czerstwy starzec z siwemi włosami, w odzieży leśników królewskich, drugą cudnej urody dziewczyna w błękitnej spódniczce i pąsowym gorsecie, z pod którego wychodziły rękawy i koszulka z najcieńszego płótna.

— To stary Tristram Lynwood ze swoją wnučką — rzekł jeden z łowczych — jak mi Bóg miły, dawno tak pięknej nie widziałem dziewczyny.

— To kąsek królewski — zauważył drugi — ale nawet miłościwy pan nie ma w swoim zamku tak cudnego kwiatka.

— Strzeż się, Gabryelu — upomniał go pierwszy — mógłby kto powiedzieć, że ubliżasz urodzie pani Anny Boleyn.

— Nie mam zamiaru jój ubliżać — odparł Gabryel Lapp — myślę jednak, że gdyby król zobaczył to nadobne dziewczę, ostygłby dla pani Anny.

— Milczałbyś lepiej — ostro wtrącił Morgan Fenwolf — jaki masz powód mniemać, że miłościwy pan byłby gotów przeniewierzyć się pani swego serca?

— Oho! Morgan Fenwolf jest zazdrosny — sztydził Gabryel — wszyscy wiemy, że piękna Mabel Lynwood wpadła ci w oko.

— Tak, tylko że ona nie chce patrzeć na niego! — zawołał jeden z leśników i wszyscy zaśmiali się chórem.

Morgan Fenwolf spojrział na nich z ukosa i poszedł ku zbliżającej się parze. Stary Tristram

serdecznie dłoń mu uściskał i, wypytawszy się o szczegóły obławy, zawołał:

— Dzielnym jesteś myśliwcem, Morganiel! Chciałbym, żeby Mabel miała o tobie tak dobre jak ja wyobrażenie.

Ale urodziwe dziewczę udało, że nie słyszy słów dziadka.

— Rad jestem, że zobaczysz królewskie łowy, Mabel — rzekł do niej Morgan.

— Nie jestem ciekawa łowów, tylko króla — odparła żywo.

— Nie każda dziewczyna przyznałaby się do tego, zauważył Morgan, marszcząc brwi posępnie.

— To dowodzi, że jestem szczerza niż inne — odrzekła Mabel — ale co to za straszny człowiek zbliża się ku nam?

Obaj mężczyźni odwrócili się i spostrzegli wysuwającą się z gęstwiny wysoką dziwaczną postać o śniadój cerze i czarnych jak kruk włosach, które spadały mu na twarz i zasłaniały niemal oczy.

— Co cię tu sprowadza, Tristrampie Lynwood? — zapytał ostro.

— To samo co i ciebie, Walenty Hagthorne — odparł starzec — chciałem zobaczyć łowy królewskie.

— To zapewne wasza wnuczka? — ciągnął dalej Walenty.

— Nieinaczéj — odrzekł Lynwood.

— Jest bardzo urodziwa, ale posłuchaj mojej rady, bracie, i wracaj z nią do domu. Znasz króla, jeżeli ją zobaczy, dużo złego może z tego wynikać.

— Hagthorne dobrze radzi — wtrącił Fenwolf — lepiej żeby Mabel wróciła do domu.

— Ale ja nie chcę! — żywo zawołała dziewczyna — obiecałeś mi dziadku, że będę mogła zobaczyć łowy królewskie; proszę cię, nie słuchaj tego straszego człowieka.

— Bądź spokojna, Mabel — łagodnie rzekł starzec — zostaniesz tu ze mną.

— Pamiętaj, że pożałujesz tego! — zawołał Hagthorne i skinąwszy na Morgana, zniknął z nim w głębi lasu.

Tristram udawał, że się śmieje z przestroóg Walentego, ale całe to zajście przykre na nim sprawiło wrażenie. Dziewczyna za to nic sobie z tego nie robiła i stała dumnie wśród licznego koła strzelców i leśników, z których każdy usiłował zaskarbić sobie jej względy.

Rosa jeszcze nie obeschła na murawie, kiedy z zamku wyjechał orszak królewski, kierując się ku wielkiej alei parku. Różnobarwne stroje błyszcząły w promieniach rannego słońca, wesole głosy rozlegały się po lesie, a między nimi wyróżniał się srebrzysty śmiech lady Anny. Król jechał obok niej otoczony dworzanami i tonął w jej twarzy rozkochanym wzrokiem.

Kiedy stanęli przed altaną, pomógł jej zsiąść z konia i podał misterny łuk prześlicznej roboty.

— Sądzę że nie będzie zaciężki dla twoich rączek — rzekł troskliwie.

— O bynajmniej! — zawołała z uśmiechem — chciałabym, żeby to były strzały Kupidyna, zaraz-

bym się postarała przeszyć serce Waszej Królewskiej Mości.

— Byłby to trud daremny, gdyż serce moje już zostało przeszyte — odparł Henryk. — Zamiast myśleć o zadawaniu nowych ran, moja luba, po-winnabyś goić te, które już zadałaś.

Wielki łowczy stanął obok altany i zatrąbił; na ten znak otworzono zagrodę, napędzając zwierzynę ku królowi. Pierwszy biegł daniel, ale zanim minął altanę, strzała, wypuszczona z białej dłoni Anny Boleyn, przeszła mu serce. Ze wszystkich stron zagrzmiały wiwaty na cześć pięknej łowczyni, a Henryk był tak oczarowany, że ugiął przed nią kolano i ucałował jej rękę. Nie chcąc narażać swojej sławy oświadczyła, że nie będzie już strzelać, a wtedy król wziął łuk z ręki dworzanina i celnymi strzałami położył trupem kilkanaście sztuk zwierzyny.

Zbliżała się pora obławy i Henryk spytał Anny, czy chce w niej wziąć udział, skinął na masztalerzy, żeby przyprowadzili rumaki. W tej chwili oczy jego padły na śliczną Mabel, stojącą opodal z dziadkiem; zdumiony nadzwyczajną jej urodą, patrzył na nią z zachwytem i zwracając się do Gabryela Lapp, zapytał o jej nazwisko.

— Zowie się Mabel Lynwood, proszę Waszej Królewskiej Mości — odrzekł Gabryel — jest wnuczką starego Tristrama Lynwood, który był leśnikiem jeszcze za miłościwego pana Henryka VII; mieszka w Black Nest, koło jeziora.

Wtem Anna Boleyn spostrzegła piękną dziewczynę i, chcąc od niej odwrócić uwagę króla, rzekła niecierpliwie:

— Czas na obławę, Najjaśniejszy Panie; nie wiem, co zatrzymuje tak długo Waszą Królewską Mość.

— Ależ nic, moja luba, nic — spiesznie odpowiedział Henryk.

— Mamy w zagrodzie wspaniałego jelenia — odezwał się Gabryel Lapp — czy miłościwy pan każe go wypuścić?

— Owszem — odrzekł król.

Gabryel pospieszył do zagrody, a tymczasem król pomógł dosiąść rumaka Annie Boleyn, nieco zadąsanéj, i sam wskoczył na siodło, czekając na zwierzynę.

Jeleń odzyskawszy swobodę, przewrócił Gabryela i puścił się ku lasowi. Za nim biegły ogary ujadając gwałtownie, a w ślad za psami pędził cały orszak myśliwych z królem na czele.

Szlachetne zwierzę uciekało co sił; przestrzeń dzieląca je od ogarów zwiększała się, co chwila; można było przypuścić, że skoro raz wpadnie w gęstwiny leśne, daremna będzie za nim gonitwa. Król spostrzegłszy to, kazał księciu Suffolk i kilku innym panom skręcić na lewo i zabiedz mu drogę, a sam wraz z lady Anną stanął na wzgórzu, z kąd mógł śledzić cały przebieg polowania.

Jeleń, psy i myśliwi zniknęli naraz w gąszczu i tylko zdaleka dochodził stłumiony odgłos grania ogarów. Henryk już się niecierpliwił i wątpił o skutku

pogoni, kiedy wtem hałas zaczął się przybliżać i niezadługo z zarośli wypadło ścigane zwierzę, prosto kierując się ku wzgórzom. Lady Anna chciała ustąpić mu z drogi, ale jeleni doprowadzony do rozpaczki, jak wściekły rzucił się na nią.

Anna krzyknęła przerażona i, wyciągając ręce do sir Tomasza Wyatt, zawołała:

— Ratuj mnie, ratuj!

Sir Tomasz Wyatt pochwycił ją w objęcia, ale tymczasem jeleni powtórnie rzucił się naprzód i byłby Annę może przebił rogami, gdyby celny strzał z ręki Morgana Fenwolf, stojącego pod drzewem, nie powalił go trupem na miejscu.

Anna Boleyn uniknęła wprawdzie jednego niebezpieczeństwa, ale zato naraziła się na drugie, może groźniejsze. Król widział, jak wyciągnęła ręce do sir Tomasza Wyatt i zmarszczył brwi posępnie. Nie spytawszy się nawet, czy jest raniona, zatrąbił do odwrotu i w chmurném milczeniu powrócił do zamku wraz z całym orszakiem.

IX.

Na włosku.

Wypadek na łowach przejął otuchą serca stronników Katarzyny Aragońskiej, a strwożył niemało przyjaciół Anny Boleyn. Zaraz po jej powrocie do zamku ojciec udał się do niej i gorzko

jój wymawiał, że swoją nieroztropnością naraża na szwank całą przyszłość. Anna brała to jednak bardzo lekko i zapewniała ojca, że ze strony króla był to chwilowy tylko wybuch zazdrości.

— Dziś wieczór jeszcze ujrzysz go u stóp moich, ojcze — dodała.

— Jesteś zbyt zarozumiała, moja pani! — gniewnie zawołał lord Rochford — nie mierz Henryka tą samą miarą, co zwykłych swoich wielbicieli.

— Jesteś w błędzie, mój ojczel — żywo odparła Anna — król zakochany niczém się nie różni od swoich poddanych; trzymam go na pasku i nie puszcę tak łatwo. Możesz być pewnym tego.

— Trzymasz na pasku tygrysa i strzeż się, żeby ci się nie wyrwał, moja córko — rzekł lord Rochford — Henryk żadnego nie znosi jarzma, a upór jego nie ma granic. Jeżeli sprawdzą się twoje nadzieje i zasiądziesz istotnie na tronie angielskim, bądź baczna i przebiegła; los Katarzyny Aragońskiej niech ci służy za przestrożę.

— Katarzyna nie umiała przywiązać go do siebie — odpowiedziała Anna — ze mną on się nigdy nie rozwiedzie.

— Strzeż się, żeby nie znalazł innego sposobu pozbycia się ciebie — mówił lord Rochford. — Jeżeli chcesz utrzymać go u nóg swoich, musisz pilnie zważać na każde jego słowo, każde mrugnięcie powiek, szanować jego kaprysy, ulegać wszelkim zachciankom, a przede wszystkim nie okazywać zazdrości.

— I pod tym względem mylisz się, ojcze — przerwała Anna — Henryk nie lubi, żeby schlebiano jego kaprysom; może właśnie dlatego mam taką nad nim władzę, że nigdy nie truchlałam przed nimi. Masz słuszność, że nie powinnam okazywać zazdrości, zresztą sądzę, że król nie da mi do tego powodu.

— Nie ufaj temu zbyt — przestrzegał ojciec — ale przedewszystkiem sama unikaj wszelkiego pozoru płochości. Mam nadzieję, że sir Tomasz Wyatt będzie usunięty ze dworu, gdyby jednak został, nie pozwalaj mu zbliżać się do siebie.

— Biedny sir Tomasz! — westchnęła Anna — on mię tak kocha.

— Ale czemuż to jest w porównaniu z miłością króla! — zawołał Rochford — słuchaj mię dziewczyno i nie myśl o nim więcej.

— Postaram się pójść za twoją radą, ojcze; uspokój się i bądź pewny, że dziś jeszcze dowiodę, jaką mam władzę nad królem.

Zaledwie lord Rochford wyszedł, kotara zasłaniająca skryte drzwi zadrżała lekko i z poza niej ukazał się sir Tomasz Wyatt. Zaryglował drzwi, a potem ukląkł u nóg Anny.

— Co to znaczy? — krzyknęła strwożona — jakim sposobem dostałeś się pan do tego pokoju?

— Przez tajemne schody — odrzekł, ujmując jej rękę.

— Powstań i uchodź ztąd natychmiast! — zawołała błagalnie — pomyśl, na co mię narażasz! Gdyby cię król tu zastał, niczem nie zdołałabym

go przekonać o swojej niewinności. O! nie kochasz mnie chyba, jeżeli mogłeś to uczynić.

— Ja cię nie kocham, Anno, ja cię nie kocham! — powtórzył z goryczą; — słowami nie potrafię wyrazić ci mojej miłości, ale chętnie dałbym głowę pod miecz katowski, żeby cię o tém przekonać. Gdyby nie ta miłość, wyszedłbym ztąd w obliczu całego dworu, ażeby Henryk cierpiał takie katusze zazdrości, jakich ja doznaję.

— Ależ ty nie uczynisz tego, drogi Tomaszul! — zawołała z trwogą.

— Bądź spokojna, nawet zemstę poświęcę miłości.

— Wyjdź ztąd, sir Tomaszul — błagała Anna — nie powinnam słuchać cię dłużej.

— Po raz ostatni może cię widzę, Anno, nie wypędzaj mnie od siebie — namiętnie prosił Wyatt — czyś zapomniała o tych rozkosznych chwilach, jakieśmy spędzali z sobą, czyś zapomniała o przysięgach, któreśmy zamieniali?

— Nie zapomniałam o niczém, ale nie powinnam przyznawać się do tego — smutnie odparła Anna — idź już, idź! Truchleję, żeby cię kto nie zobaczył.

— Anno — ponuro rzekł sir Tomasz — myśl o szczęściu Henryka doprowadza mnie do szaleństwa. Czuję, że gotów byłbym go zabić.

— Milcz! — krzyknęła przerażona.

— A jeżeli go nie zabiję, to przynajmniej chcę mu zadać najsroższą męczarnię, jaka może

być dla kochającego serca mężczyzny, chcę, żeby widział niewierną kochankę w objęciach innego.

— Tyś chyba szalony! — z rozpaczą zawołała Anna — dawniej byłeś innym, lepszym i szlachetniejszym, dawniej nie byłbyś postąpił tak niegodnie.

— Kto postąpił niegodnie, ty czy ja? — rzekł dziko sir Tomasz, mierząc ją roziskrzonym wzrokiem—kto poświęcił miłość dla ambicyi? kto zwodzi króla kłamaną czułością? Bo ty mię kochasz, Anno, i byłabyś szczęśliwszą w moim skromnym pałacu w Allington, niż we wspaniałym zamku Windsor.

— Przestań! na Boga! — błagała, składając ręce.

— Padniesz ty ofiarą jego srogości — gwałtownie mówił Wyatt; — jeżeli nie uszanował żony, z którą dwadzieścia ośm lat przeżył, to nie uszanuje i ciebie. Wkrótce znudzą mu się twoje wdzięki, inna piękność go oczaruje, a wtedy odepchnie cię od siebie, albo, jak wspominał twój ojciec, znajdzie inny sposób pozbycia się niemiłej małżonki. Wtedy będziesz żałowała, żeś nie poszła za głosem twego serca.

— Zlitujże się nademną! — z płaczem wołała Anna.

— Rad jestem, że widzę łzy twoje — rzekł niewzruszony Wyatt — i ty cierpisz także.

— O nie sądzić mię tak surowo! — łkając mówiła — każda kobieta na mojem miejscu postąpiłaby tak samo.

— Nie sądzę — odparł Wyatt ponuro — ale

każdy mężczyzna zemściłby się na tobie jak ja się zemszczę. Zginiesz, Anno! Znasz Henryka i wiesz, że chwila w której mię tu zastanie, będzie wyrokiem śmierci dla ciebie.

— Jeżeli ja zginę, to i ciebie taki los spotka! — zawołała, tracąc głowę.

— Owszem, zginiemy razem, tego tylko pragnę — zaśmiał się gorzko.

— Tomaszu! — krzyknęła Anna, padając przed nim na kolana — na twoją miłość dla mnie zaklinam cię, odejdz, nie gub mię nieszczęsną!

Wyatt nie ruszał się z miejsca.

— O Boże! zmiłuj się nademną! — jęknęła Anna, załamując ręce.

Przez kilka chwil w komnacie złowrogie zapanowało milczenie; ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy, spoglądał na nią ponuro, niewzruszony jęzami i rozpaczą.

Nagle kotara się odchyliła i z poza niej wybiegł hrabia Surrey blady i pomieszany.

— Ty tu, milordzie? — zawołała Anna, zrywając się.

— Przybywam, żeby cię uratować, pani — mówił spiesźnie hrabia — jeden z paziów widział mężczyznę wchodzącego do twojej komnaty i doniósł o tém królowi. Dowiedziałem się o tém od ojca, którego Henryk powołał do siebie. Idzie tu z całym orszakiem, a ja tymczasem przybiegłem przez tajemne schodki, żeby cię przestrzedz. Uciekaj, sir Tomaszu, uciekaj!

Wyatt się nie ruszył. W przyległej komnacie słyhać już było kroki i gniewny głos króla.

— Chcesz mię zgubić? — ze stłumionym jękiem szepnęła Anna.

— Sama się zgubiłaś — odparł ponuro.

— Czego się ociągasz, sir Tomasz, — rzekł Surrey, chwytając go za ramię — uchodź, bo inaczej cię zabiję!

— Uczyniłbyś mi wielką łaskę, młodzieńcze — odparł Wyatt z goryczą — odchodzę, Anno, bo nie chcę, żebyś przezemnie ginęła. Bodaj piekło pochłonęło twego królewskiego kochanka!

I zniknął za kotarą.

— Otwieraj! — krzyczał Henryk, wstrząsając klamką — do stu piorunów otwieraj, bo drzwi wyłamie.

— O Boże! co począć? — z rozpaczą mówiła Anna.

— Otwórz pani i zdaj się na mnie — odrzekł Surrey — ocaleę cię, choćby kosztem własnego życia.

Uścisnęła mu rękę z wdzięcznością i chwiejnym krokiem poszła otworzyć. Hrabia tymczasem ukrył się za kotarą.

Do komnaty wpadł rozjątrzony król, a za nim weszli księżęta Richmond, Norfolk i Suffolk.

— Gdzie ten zdrajca, ten niegodziwiec? — krzyknął Henryk, rozglądając się wokoło.

— Co to znaczy? — z udanym oburzeniem zapytała Anna — dlaczego Wasza Królewska Mość wdziera się gwałtem do mojej komnaty? Czyż nie mogę mieć chwili samotności?

— Ha! co za bezczelność! — zawołał król, przesywając ją wzgardliwém spojrzeniem — wszak słyszeliście sami głos mężki w téj komnacie. Gdzie jest sir Tomasz Wyatt?

— Niema go tu — odpowiedziała niezmiészana Anna.

— Zobaczmy! — zawołał Henryk, nie posiadając się z gniewu — a jeżeli sir Tomasza Wyatt tu niema, to jakiś inny kochanek być musi, bo samą pani nie jesteś.

— A gdyby tak było istotnie? — spokojnie odparła Anna.

— Przyznajesz się więc, jak mi Bóg miły! — krzyknął król groźnie — gdzie jest ten zdrajca, ten nikczemnik?

— Nie jest ani jednym, ani drugim — rzekł Surrey ukazując się nagle.

— Hrabia Surrey! — zawołał zdumiony Henryk — zkądże się tu wzięłeś i pocoś tu przyszedł?

— Przedewszystkiem muszę błagać Waszą Królewską Mość, ażebym ja tylko był karany, gdyż lady Anna niczemu nie winna. Gwałtem dostałem się do jéj komnaty.

— W jakim celu? — zapytał król surowo.

— Przyszedłem ją prosić, żeby się wstawiła za mną do Waszój Królewskiej Mości i wyjednała mi pozwolenie na małżeństwo z lady Elżbietą Fitzgerald.

— Czy to prawda? — zapytał król, zwracając się do Anny Boleyn.

Ona skinęła tylko głową.

— Ale dlaczego drzwi były zaryglowane? — podejrzliwie badał Henryk.

— Ja sam je zamknąłem i oświadczyłem lady Annie, że jej nie wypuszczę, dopóki się nie zgodzi na moją prośbę.

— Na Matkę Najświętszą! naraziłeś się na wielkie niebezpieczeństwo — rzekł król surowo.

— Niech Wasza Królewska Mość raczy zważać na jego młodość! — z niepokojem zawołał książę Norfolk.

— Przebacz mu, Najjaśniejszy Panie przez wzgląd na mnie — wstawiał się Richmond.

— Nie śmiem się spodziewać, żeby mu król przebaczył przez wzgląd na mnie — dodała Anna Boleyn.

— Zuchwalstwo jego musi być jednak ukarane — rzekł Henryk, namyślając się — skazuję cię, lordzie Surrey, na dwumiesięczne więzienie w Okrągłej Wieży zamku Windsor.

— Najjaśniejszy Panie! — błagalnie zawołał Richmond, zginając kolano.

— Tak będzie jak powiedziałem — chłodno odparł król — hrabia powinien być szczęśliwym, że tak lekką odniesie karę. Richmond, zabraniam ci myśleć o pięknej Geraldynie; wołą jest moją, żeby na jakiś czas oddaliła się ze dworu.

— Stanie się według rozkazu Waszój Królewskiej Mości — rzekła Anna — ale...

— Niema żadnego ale, kiedy ja mówię — przerwał król stanowczo — wyjaśnienie dane przez

Surreya brzmi dość prawdopodobnie, ale mnie powiedziano, że sir Tomasz Wyatt tu jest.

— A jest — odezwał się Will Sommers, wskazując palcem na młodego szlachcica, który w téj chwili przyłączył się do dworzan.

— Byłem właśnie w mojej komnacie, kiedym się dowiedział, że Wasza Królewska Mość mię wzywa — rzekł sir Tomasz, zbliżając się.

— Czy jesteś zadowolony, Najjaśniejszy Panie? — zapytała Anna.

— Niewątpliwie, moja luba — odpowiedział król — sir Tomasz Wyatt, chcę cię wysłać w poselstwie do mojego kuzyna, króla francuzkiego. Wyjedziesz jutro.

Wyatt skłonił się w milczeniu.

— Życie twoje i téj pięknej pani wisiąło na włosku, kumie — szepnął mu trefniś do ucha — u Franciszka w Paryżu będzie ci o wiele zdrowiej niż w Windsorze.

— Żegnam was, panowie — rzekł król do dworzan — winniśmy się usprawiedliwić przed lady Anną z naszego niesłusznego oskarżenia.

Dworzanie oddalili się natychmiast, a hrabiego Surrey odprowadzono pod strażą do Okrągłej Wieży.

Anna Boleyn nieprędko dała się przejednać. Król musiał długo prosić i całować białe jej ręczęta, zanim wreszcie zgodziła się udać się z nim do galeryi, wychodzącej na taras. W jednym jej końcu był oszklony ganek i ławeczka wzorzystym pokryta kobiercem; tam Henryk zaprowadził An-

nę i najczulszemi słowy starał się przebłagać obrażoną.

Tymczasem wieść o zejściu między kochankami doszła do uszu kardynała Wolsey'a, który postanowił skorzystać z tego, żeby przedstawić królowi list od Katarzyny Aragońskiej. Nie znalazłszy go w prywatnych komnatach, poszedł do galerii, gdyż od szambelanów dowiedział się, że król tam pewno przebywa w tej chwili. Zdaleka już usłyszał głosy Henryka i Anny i, zbliżywszy się niepostrzeżenie, ujrzał króla zapatrzonego czule w zadąsane lica swjej ulubienicy.

— Nie pozwolę Waszjej Królewskiej Mości całować moich rąk, chyba, że mi przysięgniesz nigdy nie okazywać zazdrości — mówiła Anna.

— Przysięgam ci, najdroższa! — zawołał król.

— Gdybyś mię kochał istotnie, Najjaśniejszy Panie, starałbyś się o przyspieszenie rozvodu — rzekła Anna.

— Uczyniłbym to chętnie, moja luba, ale z tymi kardynałami nie mogę trafić do ładu — odpowiedział zakłopotany Henryk.

— Wolsey miał się odezwać, że i za dwa lata nie skończy się ta sprawa — mówiła Anna — w takim razie lepiej byłoby zaniechać jej zupełnie. Miłość moja dla Waszjej Królewskiej Mości przez ten czas ostygnie.

— Najcierpliwszy człowiek nie zgodziłby się na taką zwłokę — rzekł Henryk z uśmiechem — bądź spokojna, moja śliczna, to nie potrwa tak długo. Czy już zgoda między nami?

— Jeszcze nie — odparła Anna — przebaczę Waszój Królewskiej Mości pod jednym tylko warunkiem...

— Mów, pod jakim? — zawołał król, topniejąc pod urokiem jój spojrzenia.

— Mam prosić cię o wielką łaskę, Najjaśniejszy Panie — mówiła Anna — ale jeżeli mi jój udzielisz, sam na tém zyskasz najwięcej. Oddał od siebie człowieka, który nadużywa twoich względów, chciwością i przekupstwem zniechęca do ciebie serca twoich poddanych, a wreszcie sprzeciwiając się rozwodowi, staje na przeszkodzie twemu szczęściu.

— Chyba nie myślisz o Wolsey'u? — zapytał król niepewnym głosem.

— Zgadłeś, Najjaśniejszy Panie — rzekła Anna.

— Wolsey nieraz zasłużył na moje niezadowolenie — mówił król — ale jego wierność...

— Nie ufaj mu, Najjaśniejszy Panie! — przerwała Anna — jest ci wiernym tylko do czasu, bo wyobraża sobie, że tobą rządzi.

Zanim Henryk odpowiedział, kardynał ukazał się na progu.

— Przynoszę Waszój Królewskiej Mości pismo od królowej — rzekł, podając mu papier.

— Podśłuchiwałeś nas! — zawołał król surowo.

— Słyszałem tyle tylko, ile mi trzeba, żeby się upewnić, jakiego wroga mam w lady Annie Boleyn — odparł Wolsey.

— Jestem gotowa zawrzeć pokój z Waszą Eminencyą — odezwała się Anna; — przyspiesz

rozwód, co jest w twojej mocy, a będę ci najwerniejszą przyjaciółką.

— Zbyt dobrze znam wartość twojej przyjaźni, milady, ażebym miał ją lekceważyć — odrzekł kardynał; — uczyniłbym wszystko, żeby cię zadowolić, ale to nie odemnie zależy, tylko od Jego Świątobliwości, papieża Klemensa VII.

Błyskawica gniewu mignęła w błękitnych oczach Anny.

— Posłuchaj mojej rady, Najjaśniejszy Panie, i otrząśnij się raz z papieskiego jarzma — rzekła do króla; — zgorzone spojrzenie Waszjej Eminencji nic mię nie obchodzi. Chcięj pamiętać moje słowa: jeżeli postarasz się o przyspieszenie rozwodu, jestem twoją przyjaciółką; inaczej wojna między nami, wojna na życie i śmierć.

— Nie odwołuj się do mnie, kardynale — rzekł Henryk, z uśmiechem patrząc na rozrozumienione oblicze swojej ukochanej — ja będę trzymał jej stronę.

— Czy Wasza Królewska Mość zechce przejrzeć to pismo? — zapytał Wolsey, podając mu znów list Katarzyny Aragońskiej.

— Zanieś go do mojej komnaty, ja zaraz tam nadejdę — rzekł król, żegnając go skinieniem ręki. — No i cóż, moja luba — dodał, nachylając się do Anny — czy już nie masz żalu do mnie?

— Nie; kocham cię jak dawniej, Najjaśniejszy Panie — z czarującym odpowiedziała spojrzeniem — ale jestem pewna, że nie będę królową, dopóki Wolsey zachowa swoje stanowisko.

— Utraci je więc, bo tyś mi droższa nad wszystko! — zawołał z zapalem.

— Niebezpiecznego mam w niej wroga—mru-
czał kardynał do siebie—muszę się jej pozbyć, bo
inaczéj mię zgubi. Trzeba znaleźć jaką rywalkę,
ale gdzie? Słyszałem, że królowi podobała się cór-
ka leśnika, może przy jej pomocy uda mi się od-
dalić ztąd Annę Boleyn.

KSIĘGA II. DUCH MYŚLIWCA.

I.

Sir Tomasz Wyatt zawiera sojusz z duchem Myśliwca.

Następnego dnia sir Tomasz Wyatt otrzymał od króla listy wierzytelne i instrukcye.

— Miłościwy pan życzy sobie, żebyś jaknajspieszniej udał się do Paryża, sir Tomaszu — rzekł dworzanin.

— Stanie się według woli Jego Królewskiej Mości — odrzekł Tomasz. — Lepiej że odjadę — mówił do siebie po odejściu dworzanina — bo gdybym miał dłużej na nią patrzeć, popełniłbym jaki czyn szalony. A jednak kiedy pomyślę, że Henryk będzie zawsze przy niej, będzie się poił czarem jój uśmiechu i słodkim dźwiękiem jój głosu, czuję, że mię wściekłość ogarnia. Nie, ja zostanę! ja się zemszczę!

Czyjaś ręka odsunęła w téj chwili oponę zasłaniającą drzwi i do komnaty wszedł kardynał Wolsey. Wyatt spuścił oczy przed jego przenikliwym wzrokiem.

— Nie miałem zamiaru podsłuchiwać — rzekł spokojnie kardynał — ale mówiłeś tak głośno, sir Tomasz, że mimowoli słyszałem twoje niebaczne słowa. Nie chcesz zatem jechać do Paryża? opierasz się woli królewskiej? Wolałbyś tu zostać i zemścić się na niewiernéj kochance. Ha! jeżeli tak, to ja ci dopomogę.

Sir Tomasz dziko błysnął oczyma i ścisnął mocniej rękojeść szpady.

— O ile mi się zdaje — ciągnął dalej Wolsey — byłbyś gotów życie swoje poświęcić...

— Dla zemsty! — wybuchnął młodzieniec — zgadłeś kardynale, ja dyszę tylko zemstą...

— Będziesz ją miał i straszna, ale nie będę tait przed tobą, że okupisz ją ceną swéj głowy.

— Nie dbam o to — ponuro odparł Wyatt — zazdrość i nienawiść stłumiły we mnie wszelkie inne uczucia; tylko krew może ugasić to pragnienie zemsty, które mię pożera. Powiedz mi, w jaki sposób mam go zamordować.

— Zamordować go! — ze zgrozą powtórzył kardynał — tybyś chciał targnąć się na świętą osobę monarchy, nędzniku! Boże mię skarż, jeżeli pozwolę tknąć jeden włos z jego głowy! Ja nie myślałem o zbrodni lecz o zemście; wybaw króla z sideł téj przewrotnéj syreny, a całemu krajowi oddasz wielką przysługę. Jedno słowo z ust twoich,

jeden list otworzy oczy królowi i będzie wyrokiem śmierci dla niej.

— Nie, ja nie mam serca jęj gubić!—zawołał Wyatt — kocham ją, pomimo, że mię zdradziła. Wczoraj była w mojęj mocy, a jednak w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi do spełnienia zemsty.

— A więc ty byłeś w jęj komnacie! — z radością zawołał kardynał — bądź spokojny, sir Tomaszu, ja teraz wszystko biorę na siebie. Zasłużona kara nie minie tęg obłudnej kobiety, która zdradza was obu.

— Strzeż się, Eminencyo! — rzekł Wyatt stanowczo — ja się zaprę tego, co powiedziałem w chwili uniesienia. Nawet tortury nie zmuszą mię do oskarżenia Anny Boleyn. Pod wpływem namiętności byłbym w stanie zabić króla, ale jęj nic złego uczynić nie mogę.

— Szkoda czasu na rozprawę z takim jak ty szaleńcem! — sarknął Wolsey — życzę ci szczęśliwej podróży. Skoro wrócisz, zastaniesz pewno Annę Boleyn królową angielską.

— A ciebie w niełasce, panie kardynale—złośliwie dokończył Wyatt.

Wolsey spojrział na niego mściwym wzrokiem i wyszedł w milczeniu.

Wyatt długo chodził po komnacie w ponurych zatopiony myślach, a potem udał się do Okrągłej Wieży, gdzie był osadzony hrabia Surrey. Kilka chwil ubiegło, zanim go wpuszczono do więźnia, a tymczasem z zamku wyruszył wspaniały orszak, na czele którego jechał Henryk VIII i Anna Bo-

leyn. Piękna pani była uśmiechnięta, rozpromieniona i zalotnie spoglądała na króla, który nic prócz niej nie widział.

Wyatt odwrócił się z westchnieniem i pospieszył do obszernej sklepionej izby, przeznaczonej na więzienie dla hrabiego. Pod oknem siedział właśnie młodzieniec, przy stole zarzuconym książkami i papierami; przy nim leżała lutnia, a dalej nieco różne astronomiczne narzędzia. Był tak zatopiony w pracy, że nie słyszał łoskotu drzwi otwieranych; dopiero na głos sir Tomasza odwrócił głowę i powstał, żeby powitać gościa.

— Jakże się miewa moja piękna kuzynka, lady Anna? — zapytał z uśmiechem.

— Pojechała właśnie z królem na łowy do parku—chmurnie odrzekł Wyatt—trzymała na ręku pięknego sokoła, którego jój niegdyś dałem. Jutro wyjeżdżam do Francyi, ale przedtem muszę cię prosić o przebaczenie za moje szaleństwo, za które ty pokutujesz teraz.

— Nie trap się moim losem — zaśmiał się Surrey — jestem bardzo rad z tego, co się stało. Czy widzisz, jakich mam towarzyszy w mojej samotni? Homer i Wirgiliusz, Petrarca i Dante; byłbym niewdzięczny, gdybym się skarżył na brak towarzystwa.

— Jesteś istotnie godzien zazdrości — westchnął sir Tomasz — wiesz, że piękna Geraldyna cię kocha i będzie ci wierną. Przebaczasz mi więc, że byłem sprawcą twego uwięzienia?

— Nie mam ci nic do przebaczenia — prze-

rwał Surrey — rad jestem, że miał sposobność oddać przysługę mojej nadobnej krewnej. Usłuchaj mojej rady, sir Tomasz, i zapomnij o niej; na dworze francuzkim nie braknie ci rozrywek.

— A ty hrabio, czy zapomnisz o pięknej Geraldynie? — spytał Wyatt.

— Nigdy! — żywo zawołał Surrey — ale to co innego. Lady Elżbieta Fitzgerald przysięgła być moją albo niczyją.

— To samo przysięgała mi lady Anna Boleyn, i widzisz, jak dotrzymała przysięgi! — z goryczą rzekł sir Tomasz — kobiety tak łatwo zapominają. Obyś nigdy nie doznał tych katuszy, przez jakie ja przechodziłem!

— Nie lękam się niczego — zapewniał Surrey.

— Strzeż się Richmonda — rzekł Wyatt — jest uparty i namiętny jak jego ojciec.

— Richmond jest mi przyjacielem i wie, że niczego nie może się spodziewać od pięknej Geraldyny. Był u mnie dziś rano i bardzo żałował, że nie będziemy mogli śledzić dalej tego tajemniczego zjawiska, zwanego duchem Myśliwca.

I opowiedział sir Tomaszowi wszystko, co widzieli i słyszeli w lasach Windsoru.

— To bardzo dziwne — rzekł Wyatt — bierze mnie ochota zapoznać się samemu z tém widmem.

— Nie radziłbym ci tego — ostrzegął Surrey — nie jesteś usposobiony do walki z szatanem.

Wyatt nic nie odpowiedział i, pożegnawszy się z hrabią, wrócił do siebie. Musiał jeszcze wydać rozporządzenia co do jutrzejszej podróży i wyprawić

przodem swój orszak, z którym nazajutrz rano miał się dopiero połączyć. Stary jego sługa zauważył dziwną jego bladość i wzburzenie; prosił, żeby mu było wolno towarzyszyć panu. Wyatt, zwykle tak łagodny i względny, szorstko odrzucił tę prośbę.

— Pan musisz być chory — nalegał niezrażony tą odmową sługa — masz ogień w spojrzeniu i usta spalone gorączką. Usłuchaj mojej rady i zamiast do Francyi, udaj się lepiej do swego cichego zamku w Allington.

— Przestań, Adamie, ja muszę jechać — przerwał Wyatt niecierpliwie — idź i pakuj moje rzeczy.

— Nie gniewaj się pan na mnie, ale ja nie mogę cię opuścić — mówił Adam, składając ręce — służyłem twemu ojcu i przez wzgląd na niego mam obowiązek czuwać nad tobą. Wyglądasz jak człowiek, który zamierza uczynić jakiś krok rozpaczliwy.

— Bądź spokojny, nic złego nie mam na myśli — z przymusem zaśmiał się Wyatt — weź te papiery przysłane mi dziś przez króla i pilnuj ich jak źrenicy oka. Będę jechał sam przez las w nocy, wolę zatem nie mieć ich przy sobie. Powiedz masztalerzowi, żeby mi osiodłał wierzchowca przed północą.

— Chryste Panie! — zawołał stary sługa, drżąc jak liść osiny — chcesz jechać nocą przez lasy Windsoru, sir Tomaszu? Ależ nie wiesz chyba, że książę Richmond i hrabia Surrey widzieli tam orszak Herna z samych złożony szatanów. O nie jedź dziś, drogi panie zgubisz i ciało i duszę!

— Dosyć już tego! — przerwał Wyatt niecierpliwie — czyń tak, jak ci rozkazałem. W Rochester złączę się z wami.

— Może już nigdy oczy moje nie ujrzą cię, panie — jęknął stary sługa, odchodząc.

Słowa jego uczyniły jednak pewne wrażenie na młodzieńcu; zawahał się przez chwilę, ale zazdrość i nienawiść zwyciężyły głos rozsądku i na godzinę przed północą Wyatt opuścił zamek. Wiedząc, w którym skrzydle są pokoje Anny Boleyn, zatrzymał się, żeby po raz ostatni spojrzeć na mieszkanie ukochanej kobiety. Wchodziła właśnie do swojej komnaty prowadzona przez króla, który objął ją w pół jedną ręką, a drugą pieścił jej dłoń prześliczną. Oczy jego szukały jej spojrzenia, usta miłosne szeptały słowa. Serce nieszczęsnego młodzieńca ogarnął szal zazdrości. Widział, jak Henryk wycisnął gorący pocałunek na ustach Anny; młodzieniec rzucił się w tył, jak gdyby go ukłuło jadowite żądło żmii.

Król tymczasem życzył dobrej nocy pięknej Annie i wyszedł, oglądając się kilkakrotnie. Ona z uśmiechem szczęścia i tryumfu zwróciła się do swoich niewiast a skinieniem dłoni kazała im zasłonić okna. Ciężkie firanki opadły i zakryły wszystko przed oczyma Wyatta.

Młodzieniec biegł jak szalony ku fosie, zamierzając może samobójstwem skrócić swoje męczarnie, kiedy wtém na drugim jej brzegu ujrzał wśród ciemności wysoką postać mężką, czarnym płaszczem otuloną.

— Stój! — rzekł nieznajomy grobowym głosem—jeżeli chcesz się widzieć z duchem Myśliwca, to jedź do lasu i zatrzymaj się pod dębem Herna.

— Ty jesteś Herne! — zawołał Wyatt — poco mam cię szukać tak daleko? Rozmówmy się teraz.

Ale ciemna postać zniknęła już w mroku, nie odpowiedziawszy słowa.

Młodzieniec dosiadł rumaka i popędził do lasu. Głowę miał w ogniu i czuł, że wszystkie pulsa biją mu jak młotem; gniew, zazdrość i nienawiść mąciły mu zmysły. W téj chwili nie byłby się cofnął przed całą gromadą szatanów.

Chmury zasłaniały niebo, w gęstwinach leśnych ciemno było i ponuro. On gnał jednak na oślep bez względu na gałęzie, które tamowały mu drogę, bez względu na wzgórza i głębokie rozdoły. Stał na koniec pod drzewem przeklętém i nagle ogarnęło go uczucie trwogi. Złowieszcza cisza panowała dokoła, ani jeden promyk światła nie przebijał się wśród ciemności; widać było tylko na gałęziach olbrzymią sowę z oczyma iskrzącymi jak węgle, a dołem wśród zarośli przemykały się żmije. Rumak pędzący dotąd jak wicher stanął naraz i zaczął chrapać z oznakami najwyższego przestachu; Wyatt chciał odmówić modlitwę, ale skołała mu na ustach.

Między korzeniami olbrzymiego dębu głęboka czerniała jama, na pół ukryta wśród krzaków. Zaledwie młodzieniec zeskoczył z konia, z owéj jamy zaczął się wydobywać dym i płomień, a wśród nich ukazała się ciemna, wysoka postać z hełmem

w kształcie czaszki jeleniej. Strwożony rumak wyrwał się z ręki Wyatta i, pędząc na oślep, pogrążył się w poblizkiem bagnie.

— Czego żądasz? — spytało widmo.

— Jeżeli jesteś tym, za którego się podajesz, to powinieneś wiedzieć czego żądam — śmiało odparł młodzieniec.

— Wiem: chcesz się pomścić na swoim współzawodniku i odzyskać utraconą kochankę.

— Dałbym moją duszę za to! — zawołał Wyatt.

— Przyjmuję. Anna Boleyn będzie twoją. Podaj mi rękę.

Ujął jego dłoń i, ściskając ją jakby żelaznemi kleszczami, pociągnął go ku drzewu. W jednej chwili zarzucono mu na głowę gęstą czarną zasłonę i zaniesiono w głąb podziemia.

II.

Zamiary kardynała Wolsey.

Zawiedziony w swych nadziejach przez Wyatta, kardynał nowego jął się planu i postanowił zwrócić ku innéj kobiecie serce niestałego monarchy. Powiedziano mu, że królowi wpadła w oko piękna córka leśnika, należało więc przedewszystkiém przekonać się, czy prosta wieśniaczka istotnie będzie mogła ubiegać się o palmę wdzięków z tyle sławioną Anną Boleyn.

Wolsey nie miał zwyczaju odkładać na później wykonania swoich zamiarów, zaraz więc następnego poranku wsiadł na muła i puścił się w drogę do lasu w towarzystwie swego trefnisia, Patch'a, i drugiego dworzanina. Pogoda była prześliczna, krajobraz malowniczy, a z poza stuletnich drzew parku ukazywały się wspaniałe mury i wyniosłe wieże zamku Windsor.

— Przez tyle lat rządziłem władcą tego królestwa — mruknął do siebie kardynał — czyż mogę teraz pozwolić, żeby mi go odebrała kobieta?

Droga wiodła nad brzegiem rozległego bagna zarośniętego sitowiem.

— Nie chciałbym przejeżdżać tędy po nocy — rzekł głośno Wolsey do swego trefnisia — jakże tu pusto i ponuro... Na Boga! co to jest?

Z sitowia wyszła nagle jakaś barczysta postać męzka z rozczochranym włosiem; niespodziewanym pojawieniem się tak przestraszyła muła, że ten omało nie zrzucił kardynała.

— Kto jesteś łotrze i co tu robisz? — zawołał rozgniewany Wolsey.

— Jestem leśnikiem i nazywam się Morgan Fenwolf, proszę Waszój cześci — odrzekł zapytany, zdejmując czapkę — czatowałem tu w sitowiu na ptactwo wodne.

— Na Judasza Iskaryotę! — zawołał trefniś — to ten sam człowiek, który zabił królewskiego jelenia na ostatniem polowaniu.

— I ocalił życie Annie Boleyn — dokończył kardynał — czy jesteś pewny tego?

— Tak pewny, jak Wasza Eminencya kanonizacyi — odrzekł złośliwy trefniś.

— Musiał cię suto wynagrodzić król i lady Anna — rzekł kardynał, zwracając się do leśnika.

— Nie dano mi ani szeląga — posępnie odparł Morgan.

— Hm! — mruknął Wolsey — Patek, daj temu człowiekowi sztukę złota.

— Zdaje mi się, że byłbym więcej zasłużył na łaskę Waszój cześci, gdybym był pozwolił jeleniowi czynić co mu się podobało — zauważył Morgan, ociągając się z przyjęciem pieniędzy. Nie chciałem nikogo obrazić, ale powiadają, że Wasza cześć i lady Anna bynajmniej nie są w przyjaźni.

— Kłamią, a najlepszy dowód, że cię wynagrodziłem za jej ocalenie — surowo odparł Wolsey. — Powiedz mi, gdzie jest chata starego Tristrama Lynwood?

— Po tamtej stronie bagna, o pół godziny drogi ztąd — objaśnił Morgan zdumiony tém pytaniem — ale starego niema w domu, poszedł do zwierzyńca.

— To może zastanę jego wnuczkę; ma być podobno bardzo ładna?

— Nie znam się na piękności — chmurnie odparł leśnik.

W pół godziny później oczom kardynała ukazał się czarujący krajobraz: wielkie jezioro rozlewało w dal swoje wody, błyszczące jak zwierciadłana szyba malownicze jego brzegi zarośnięte

były lasami i objęte szmaragdową murawą, wodne ptactwo z krzykiem i świergotaniem snuło się po jego powierzchni.

Nad brzegiem jeziora stała chatka z omszonym dachem, napół ukryta pod zwojami bluszczu i splątanych gałęzi głogu. Na rozkaz kardynała, Patek zeskoczył z konia i zapukał do drzwi, ale choć dobijał się długo i głośno, żadnej nie otrzymał odpowiedzi.

Zniecierpliwiony Wolsey już chciał zawracać, kiedy wtem na wodach jeziora ukazało się czółno, kierowane wprawną dłonią młodej dziewczyny. Kardynał domyślił się odrazu, że to musiała być Mabel Lynwood, i zachwycony jej urodą, nie mógł oczu oderwać od tego wdzięcznego obrazka. Drobne, rzeźbione rysy, płeć jak u brzoskwini, pełne pąsowe usta, wielkie oczy barwy lazuru, ciemne włosy z odbłyсками złota i bronzu, kibić silna lecz kształtna — wszystko to składało całość, która mogłaby oczarować najwybredniejszego znawcę.

I ona spostrzegła gości a po ubraniu Wolseya domyśliła jego stanu; bynajmniejś tém niez mieszana, lekko wyskoczyła z łodzi i przywiązawszy ją, niskim ukłonem powitała kardynała.

— Zowiesz się Mabel Lynwood, piękna dziewczyno? — uprzejmie zagadnął Wolsey.

— Nieinaczéj — odrzekła — przypuszczam, że mam zaszczyt mówić z Jego cześcią kardynałem Wolsey?

Kardynał skinął głową i ciągnął dalej łaskawie:

— Przejeżdżałem tędy i chciałem się na własne oczy przekonać, czy prawdą jest to, co opowiadają o twojej urodzie; widzę teraz, że rzeczywistość o wiele przenosi opisy.

Mabel zarumieniła się i spuściła oczy.

— Chciałbym, żeby ją król widział w tej chwili — pomyślał Wolsey — panowanie Anny Boleyn byłoby skończone... Dawno mieszkasz w tej chacie? — zapytał dziewczęcia.

— Dziadek mój, Tristram Lynwood, mieszka tu od lat pięćdziesięciu, ale ja dopiero przebywam w tych stronach od kilku tygodni — odpowiedziała Mabel. — Przedtém chowałam się w klasztorze Chertsey.

— A twoi rodzice? — ciekawie badał kardynał.

— Oboje już nie żyją — westchnęła dziewczyna — ojciec mój zginął na polowaniu przebity rogami przez jelenia, a moja matka wkrótce potem umarła z rozpacz. Dziadek oddał mię do klasztoru, ale teraz mię odebrał, bo jest sam jeden i nie ma nikogo, coby zarządzał gospodarstwem. Z żalem opuszczałam Chertsey; zakonnice były dla mnie bardzo dobre, zwłaszcza siostra Anastazy.

— Biedne dziecię, jesteś więc sierotą — rzekł kardynał, słuchając z zajęciem jej opowiadania. — Powiedz mi, czy widziałaś króla?

— Widziałam go na polowaniu — odrzekła Mabel z rozjaśnionymi oczyma — wygląda jak prawdziwy pan, a uśmiecha się tak miłe i słodko, że człowiekowi serce rośnie kiedy patrzy na niego.

— Rad jestem, że ci się podobał—rzekł Wolsey wesoło — przyznam ci się teraz, że to z ust jego słyszałem pochwały twojej piękności.

— Czy być może! — zawołała, kraśniejąc z radości.

— Nie dziwię się wcale, żeś go oczarowała — roześmiał się kardynał — a teraz żegnaj mi, piękna dziewczyno, niech cię Bóg błogosławi i wszyscy Święci czuwają nad tobą. Kto wie, czy nie jesteś powołaną do wielkich przeznaczeń; w każdym razie pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela.

— Nie wiem, jak podziękować Waszej cześci za tyle łask i względów! — zawołała uradowana Mabel — chyba siostra Anastazyja wspominała o mnie.

— Znalazłaś ty potężniejszego opiekuna niż siostra Anastazyja—odrzekł Wolsey, oddalając się.

Tego samego dnia wieczorem była wielka uczta w zamku i kardynał zasiadł jak zwykle po prawej stronie monarchy, legat papieski zaś po lewej. Wśród rozmowy Wolsey rzekł do króla, że przejeżdżając przez las widział tak cudną dziewczynę, jakiej mu się nie zdarzyło jeszcze spotkać.

— Na Boga! któż to mógł być? — zawołał zaciekawiony Henryk.

— Jest to dziewczę niskiego rodu, wnuczka leśnika — odrzekł kardynał — ale kto wie, czy Wasza Królewska Mość nie widział jej na polowaniu?

— Teraz przypominam ją sobie. Na Św. Jerzego! śliczna istota.

— Nie znam kobiety, którąbym mógł z nią porównać! — zawołał Wolsey — gdybyś ją był dziś widział płynącą czółnem, Najjaśniejszy Panie, wziąłbyś ją za syrenę lub rusałkę, tylko że żadna syrena ani rusałka nie była tak piękną.

— Musi to być istne cudo, kiedy z takim zapalem wyrażasz się o niej, kardynale — zauważył Henryk — gdzież ona mieszka?

— W chacie nad jeziorem; jest to wnuczka Tristrama Lynwood, leśnika Waszój Królewskiej Mości.

Henryk na inny przedmiot zwrócił rozmowę, ale Wolsey nie wątpił, że udało mu się wzbudzić jego ciekawość. Nie omylił się w istocie, gdyż zaraz po uczcie król skinął na księcia Suffolk i rzekł doń półgłosem:

— Jutro o zmroku chcę nieznacznie wysunąć się z zamku, przebrany za kupca; będziesz mi towarzyszył, książę.

— Czy to miłosna jaka wyprawa? — po cichu zagadnął Suffolk.

— Być może — odrzekł Henryk — jutro dowiesz się więcej.

Trefniś kardynała, Patek, podsłuchał tę rozmowę i powtórzył ją swemu panu.

III.

Goście w chacie leśnika.

Stary Lynwood późnym wieczorem powrócił do domu i, dowiedziawszy się od wnuczki o bytności kardynała, z niezadowoleniem potrząsnął głową.

— Szkoda, że nie posłuchał rady Walentego Hawthorne i był z tobą na tém polowaniu—rzekł—boję się, czy co złego z tego nie wyniknie.

— A cóż złego może wyniknąć, dziadku? — żywo zawołała Mabel—owszem, bardzo szczęśliwie się stało. Oto kardynał Wolsey przyrzeka mi swoją łaskę i opiekę, i sam nawet król mię zauważył.

— Wolałbym, żeby jego oczy były padły na kogo innego — mruknął Lynwood.— Czy widziałaś dziś Morgana Fenwolf, Mabel?

— Nie, i bardzo jestem z tego rada — odparło zadąsane dziewczę.

— Widzę, że go nie lubisz — zauważył dziadek — a szkoda, bo to dzielny leśnik i kocha cię szczerze, Mab.

— Właśnie dlatego ja go nie cierpię! — zawołała.

— No, dosyć już o tem, podaj mi wieczerzę, bo głodny jestem jak wilk.

Dziewczyna postawiła przed nim miskę zupy i różne zimne mięsiwa, ale sama nic nie jadła, zajęta wyłącznie myślą o królu i świetnym losie, jaki jój przepowiadał kardynał. Nazajutrz rano stary

Lynwood poszedł jak zwykle do lasu, Mabel została więc sama i, śpiewając, krzątała się po izbie. Wtém drzwi się otworzyły i na progu stanął Morgan Fenwolf. Towarzyszył mu jakiś nieznajomy mężczyzna wspaniałej i szlachetnej postawy. Rysy jego odznaczały się niepospolitą pięknnością, ale twarz była tak blada, jak gdyby z tamtego powracał świata.

Młody leśnik prosił o pożyczenie łódki na kilka godzin, na co Mabel chętnie się zgodziła. Zajęła ją nadzwyczajnie postać nieznajomego, który nie spojrział nawet na nią; miała ochotę zapytać Morgana o jego nazwisko, ale nie śmiała, wyszła tylko na brzeg, żeby popatrzeć za nimi. Nieznajomy siedział na przodzie łódki i, spostrzegłszy piękną dziewczynę, utkwiał w niej swoje wielkie, smętne oczy.

Zmrok już zapadał, a Morgan nie powracał z łódką; zato Tristram przyszedł do domu i bez zdziwienia wysłuchał opowiadania wnuczki.

— Czy Morgan nie powiedział nazwiska tego pana? — zagadnął.

— Nie, zapomniałam spytać go o to, ale jak żyję nie widziałam tak pięknego mężczyzny.

— Piękniejszy od króla?

— Nie można ich porównywać z sobą, Król jest tęgi, rumiany i wesoły, a ten ma smukłą postać, blade oblicze i takie smutne czarne oczy.

— Musiałem go już widzieć—rzekł Tristram—ale tymczasem dawaj wieczerzę, dziewczyno, bom głodny jak wilk.

Mabel podała dziadkowi pieczeń baranią, chleb, słoninę na węglach przysmażoną i dzban miodu. Starzec jadł i pił z apetytem, nie zapominając o ulubionym psie, który leżał u nóg jego. Po wieczery, dziewczyna przyrzuciła drew do ognia i, krzątając się po izbie, nuciła jakąś piosenkę głosem tak czystym i dźwięcznym jak srebrny dzwoneczek. Wtem zastukano do drzwi. Stary leśnik zbudził się z drzemki, a pies groźnie zawarczał.

— Leżeć, Hubert! — zawołał Tristram — to musi być Morgan.

Ale zamiast Morgana, we drzwiach ukazało się dwóch obcych ludzi. Jeden z nich był tęgi i wysoki, wspaniałej postawy i rumianego oblicza, które w połowie kryła rudawa broda i czarna aksamitna czapka nasunięta na oczy. Miał na sobie kaftan łośiowy i długi płaszcz ciemny. Towarzysz jego nie różnił się od niego ani wzrostem, ani ubiorem.

— Dobry wieczór, przyjacielu — rzekł pierwszy — jesteście kupcy z Guildford; zapóźniliśmy się w drodze i chcielibyśmy u was odpocząć, a jeżeli można dostać jaką przekąskę.

— Bardzo chętnie, moi panowie — odrzekł stary leśnik — wątpię tylko, czy w mojej ubogiej chacie znajdziecie coś godnego siebie.

— Nie lękaj się, przyjacielu, nie jesteśmy wybredni. Czy to wasza córka, ta piękna dziewczyna?

— Nie, to moja wnuczka.

— Jak mi Bóg miły, tak urodziwej dziewczki niema chyba ani w Londynie, ani na zamku w Windsorze. Cóż ty na to, Karolu?

— Nie śmiałbym tego powiedzieć głośno, Henryku — rzekł tamten, śmiejąc się — powiadają bowiem, że król srogo karze tych, którzy ośmielają się ubliżać wdziękom Anny Boleyn.

— Zawstydzacie tylko dziewczynę, moi panowie, chwalc ją w oczy — przerwał Tristram — zakrzętnij się, Mabel i pomyśl o wieczerzy dla gości.

Dziewczyna w milczeniu nakryła stół białym obrusem i postawiła przed nimi kawał baraniej pieczeni, smażoną słoninę, placek własnej roboty i dzban miodu. Obaj nieznanymi zajadali z wielkim apetytem, ale ten którego zwano Henrykiem, coraz to podnosił oczy na piękną Mabel, pochlebne prawiąc jej słówka.

— Na Pannę Najświętszą! — zawołał, siadając przy kominie — nigdy jeszcze nie widziałem tak nadobnej dziewczyny. Oczarowałaś mnie, śliczna Mabel.

Blask ognia oświecił w tej chwili jego twarz rumianą i stary Tristram mimowolnie zaczął mu się przyglądać.

— Dlaczego tak pilnie patrzysz na mnie, przyjacielu? — zapytał gość.

— Przypominacie mi bowiem jedną bardzo dostojną osobę; wielki to zaszczyt zaiste być do niej podobnym.

— Mówicie pewno o królu — zaśmiał się Henryk — nie pierwszy to raz ludzie zwracają uwagę na to podobieństwo.

— A wy jesteście bardzo dumni z tego — za-

wtórował mu Tristram — spojrz-no, Mabel, na tego pana i powiedz do kogo on jest podobny? — dodał, zwracając się do wnuczki, która w téj chwili wróciła z nowym dzbanem miodu.

— Do nikogo—odrzekła dziewczyna, nie podnosząc oczu.

— Doprawdy? — rzekł Henryk z uśmiechem, głaszcząc ją pod brodę — spojrz tylko na mnie, a zaraz powiesz. Jako żywo, gdybym był królem, wolałbym ciebie niż Annę Boleyn.

— Czy naprawdę tak myślicie? — żywo zagadnęła Mabel, rumieniąc się pod ognistém wejrzeniem mniemanego kupca.

— Naprawdę — oświadczył Henryk.

— Gdybyście byli królem, tobym wcale o wasze słowa nie dbała; dziadek powiada, że nasz miłościwy pan co miesiąc kocha inną, ba! i nawet częściej.

— Twój dziadek jest niegodnym kłamcą! — obruszył się Henryk — zawsze słyszałem o królu, jako o wzorze stałości; nieprawdaż, Karolu?

— O z pewnością! — przywodził towarzysz, uśmiechając się złośliwie.

— Słyszysz, piękne dziewczę?—rzekł Henryk—jemu można wierzyć. Tymczasem naléj mi miodu, wypijemy za twoje zdrowie.

Drzwi chaty otwały się bez szelestu i stanął w nich Morgan Fenwolf. Spojrzał ciekawie na nieznanych gości, ale oni byli tak zajęci dziewczyną, że nie spostrzegli go nawet. Wysunął się więc cicho,

lecz pozostał w pobliżu, dręczony zazdrością i podejrzeniami.

— Musimy iść w dalszą drogę — rzekł ten, którego zwano Karolem — noc się już zbliża.

— Chętniebym tu pozostał i przespał się na ławie przy ogniu — odpowiedział Henryk — ale dziś jeszcze musimy być w zamku. Oto nasza zapłata za wieczerzę — dodał, kładąc sztukę złota — jutro będziemy wracać tędy, przygotujcie nam kapłona i rybę.

— I w hojności jesteście podobni do króla — rzekł Tristram, kłaniając się.

— Niebezpieczną drogę macie panowie przed sobą — zauważyła Mabel — mówią, że w parku są rabusie i złe duchy.

— Ani ja, ani mój towarzysz nie lękamy się rabusiów — oświadczył Henryk — od tego mamy silne ręce i miecze przy boku, a co się tyczy złych duchów, najlepszym przeciwko nim talizmanem będzie jeden twój pocałunek.

Pochwycił ją w ramiona i pocałował kilkakrotnie.

— Stójcie! stójcie! — gniewnie zawołał stary leśnik — nadużywacie mojej gościnności.

— Nie obrażaj się, przyjacielu — zaśmiał się Henryk — szukam właśnie żony, a wasza wnuczka bardzo mi się podobała.

— Nie tak łatwo ją dostać — mruknął Tristram — jestem wprawdzie biednym leśnikiem, ale moje dziecko jest mi tak drogie, jakby królewską było córką.

— Słusznie, słusznie — rzekł Henryk — dobranoc, moja śliczna... Słuchaj, Suffolku! — zawołał z uniesieniem, kiedy wyszli z chaty — ta dziewczyna to anioł! Ona musi być moją, przysięgam!

— Nie będzie, póki ja żyję! — mruknął Morgan, ukryty w zaroślach.

Przy nim stał człowiek wysokiego wzrostu, z hełmem rogatym na głowie.

— Pamiętaj, że jemu nic złego stać się nie może, weźmiemy go tylko w niewolę — rzekł grobowym głosem — a teraz do sir Tomasza. Musimy przeciąć im drogę, zanim się dostaną do swoich rumaków.

IV.

W i d z e n i e.

Trzeciego dnia po uwięzieniu hrabiego Surrey'a, przeniesiono go do Wieży Normandzkiej, do obszernej kwadratowej izby z widokiem na dziedziniec. Od swoich strażników hrabia dowiedział się, że piękna Geraldyna została wysłaną do królewskiego pałacu w Ercenwich, nie frasował się jednak jej odjazdem, pewny, że i tak nie mógłby jej zobaczyć. Nazajutrz powiedziano mu, że książę Richmond opuścił zamek, ale nie wiadomo dokąd się udał. Zazdrosne podejrzenie wkradło się do duszy młodzieńca, starał się jednak zagłuszyć te myśli i z większą niż kiedy gorliwością zabrał się do pracy.

Noc już oddawna zapadła, ale hrabia nie myślał o spoczynku, zajęty przekładem Eneidy. Północ właśnie biła na wieży, kiedy podniósł oczy od roboty i ujrzał nagle przed sobą jakąś milczącą, nieruchomą postać. Zjawisko to o tak niezwyklej porze i w niewytłumaczony przybyłe sposób, mogło najodważniejszego przerazić człowieka. Oblicze jego było blade i ponure, wzrok gorejący, na głowie miał spiczastą czarną czapkę.

— Kto jesteś?—wyjąkał wreszcie Surrey, jak przykuty do miejsca.

— Przyjaciel—odrzekł nieznajomy grobowym głosem.

— Duch czy człowiek? — badał młodzieniec.

— Przyjaciel — powtórzyło zjawisko.

— Poco tu przybyłeś?

— Ażeby cię wyzwolić.

— Czego w zamian żądasz?

— Powiem ci to później, skoro będziemy w lesie.

— Próżno mię kuszisz! — zawołał Surrey — poznaję cię! Tyś duch Myśliwca, Herne.

Nieznajomy zaśmiał się szatańsko, aż krew zastygła w żyłach młodzieńca.

— Masz słuszność, lordzie Surrey, jam jest Herne.—A teraz chodź ze mną, sir Tomasz Wyatt już należy do mojej bandy.

— Kłamiesz, zły duchu! Sir Tomasz jest we Francji.

— Tyś kłamcą, lordzie Surrey; za kilka chwil możesz go zobaczyć.

— Nie wierzę ci — stanowczo rzekł młodzieniec — sir Tomasz jest dobrym chrześcianinem i szlachetnym rycerzem, nie chciałby więc łączyć się z szatanem.

Herne znowu zaśmiał się złowrogo.

— Wszakże sir Tomasz ci powiedział, że pójdzie mojej żądać pomocy. Zaprzedał mi swoją duszę dla Anny Boleyn.

— Ależ ty nie masz nad nią żadnej władzy! — zawołał Surrey, wzdrygając się.

— Wkrótce dowiesz się o tém, a teraz pytam się po raz ostatni: chcesz-li iść ze mną?

— Nie chcę gubić mojej duszy — oświadczył hrabia.

— Możesz być o nią spokojny — odparło widmo — nie żądam twojej duszy, lecz twojej osoby; jesteś mi potrzebny. Wrócisz tu, zanim brzask rozjaśni niebo i nikt nie będzie wiedział o twojej wycieczce. Chodź, albo porwę cię gwałtem.

• — Nie będziesz śmiał mię dotknąć, dopóki mam na sobie tę świętą relikwią — rzekł Surrey, kładąc dłoń na piersiach.

Herne zaśmiał się urągliwie.

— Ta relikwia nie obroni cię jednak od rywala — rzekł szyderczo — wierzysz w miłość i stałość pięknej Geraldyny, nieprawdaż?

— Wierzę! — zawołał Surrey.

Widmo znów wybuchnęło przeciągłym śmiechem.

— Milcz, szatanie! — krzyknął rozjątrzony młodzieniec.

— Śmieję się z twojej łatwowierności—odrzekł Herne—czy chciałbyś widzieć, co w tej chwili robi pani twoich myśli?

— Próżno starasz się zbudzić podejrzenie w mojej duszy; nie wierzę ci, zły duchu.

— A więc przekonam cię — rzekł Herne — tylko zdejm relikwią z siebie i połóż na stole.

Surrey wahał się jeszcze, ale urągliwy śmiech Herna podziałał na niego, jak ostroga na rumaka.

— A więc dobrze! — zawołał i, zdjawszy złoty krzyżyk z relikwiami, dar pięknej Geraldyny, położył go na stole.

— Zgaś światło! — rozkazał duch.

Ciemność zaległa komnatę, po której wnet rozszedł się lekki obłok dymu. Wśród niego ukazał się obraz, oświecony dziwnym blaskiem, a przedstawiający młodą dziewicę, u stóp której klęczał rycerz.

— Oto jest wierność niewieścia! oto przyjaźń mężka! — z tryumfem zawołał Herne — wszak poznajesz piękną Geraldynę i swego druha księcia Richmond?

— Kłamiesz!—wybuchnął Surrey—nie uwierzę w zdradę Geraldyny, choćbyś całe piekło powołał na świadka!

Herne zaśmiał się strasznie i zniknął wśród kłębow dymu. Surrey zapalił lampę i z gorączkowym pośpiechem zaczął szukać złotego krzyżyka; nigdzie jednak nie mógł znaleźć i przekonany, że duch Myśliwca pochwycił go zdradziecko, wyrzucał sobie gorzko swoją nieroztropność i łatwowierność.

V.

Piekielna gonitwa.

Kiedy zdjęto opaskę z oczu sir Tomasza Wyatt, stał on w obszernej pieczarze, podpartej grubemi słupami drewnianemi. Jedna pochodnia płonąca u stropu nie mogła rozproszyć panujących tu ciemności; widać było jednak wązkie korytarze, prowadzące zapewne do innych jaskiń, a w głębi czerniała woda. W pośrodku pieczary na złomach kamieni ustawionych, jak dawne Druidów ołtarze, siedział duch Myśliwca otoczony swoim orszakami.

Oszołomiony Tomasz Wyatt nieprędko zdołał przyjść do siebie.

— Dlaczego przywiodłeś mię tu szatanie? — zapytał wreszcie, odzyskując mowę.

— Ażeby cię przyłączyć do mojej bandy! — zabrzmiał grobowy głos Herna.

— Nigdy! — zawołał Wyatt — pamiętaj o naszym układzie.

— Kto wchodzi ze mną w układy, cofnąć się już nie może. Ale bądź spokojny, ja słowa dotrzymam i zanim trzy dni upłyną, Anna Boleyn będzie twoją. A teraz dalej na łowy! nigdy, nawet przy boku króla takiój nie miałeś gonitwy, sir Tomaszu.

Zatrąbił w róg, a na ten odgłos z bocznych jaskiń wyprowadzono psy i konie. Herne miał już dosięść karego rumaka, kiedy wtem z góry ozwał się stłumiony łaskot, jak gdyby stukanie w drzewo.

Herne słuchał przez chwilę, a potem zawołał:
— To nasz brat, Morgan Fenwolf! Czekajcie tu na mnie.

Skoczył na stos kamieni i, uchwyciwszy za łańcuch zwieszający się z góry, zniknął w szczelinie, której Wyatt poprzednio nie zauważył. Wkrótce jednak powrócił tą samą drogą, a z nim razem spuścił się Morgan Fenwolf. Na znak dowódcy, wszyscy, nie wyłączając Wyatta, dosiedli koni, które nie miały ani siodła, ani uździenic. Herne pierwszy rzucił się w wodę czerniejącą na końcu jaskini i w kilka chwil później wypłynął na brzeg jeziora. Gęste krzewy i zwieszające się nad wodą drzew gałęzie, zupełnie zakrywały wejście do pieczary.

Cały orszak puścił się teraz cwałem po gładkiej murawie. Koń Wyatta pędził tuż obok Herna, który wyjął z za pasa flaszkę i podał ją towarzyszowi.

— Napij się, sir Tomaszu — zachęcał — to cię rozgrzeje po kąpieli i doda ci sił do biegu.

Młodzieniec skwapliwie poniósł do ust flaszkę z mocnym napojem, bez względu na szyderczy uśmiech Herna, który nic dobrego nie wróżył. Skutek tego napoju był istotnie zadziwiający: towarzysze Herna wydali mu się nagle nadprzyrodzonymi stworzeniami, konie przybrały w jego oczach fantastyczne rozmiary, gałęzie drzew zmieniły się w syczące i ruchome węże. Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach, paląc go niby ogniem, pragnął pędzić w dal bez wytchnienia, na żadne nie zważając przeszkody.

— Szlachetny jeleni kryje się w tój dolinie, wodzu — rzekł Morgan Fenwolf — widziałem go dziś rano.

— Daléj na niego! — krzyknął Herne i po chwili ozwało się ujadanie psów, które wytropiły zwierzę z legowiska. Wtedy rozpoczęła się piekielna gonitwa: wszyscy pędzili na oślep za jeleniem, który daremnie wymykał się przed pościgiem, kryjąc się w najgęstsze zarośla, w najbardziej niedostępne knieje. Doprowadzony do ostateczności, odwrócił się nagle i rzucił się na psy, bodąc je rogami; jeden z ogarów padł nieżywy, ale inne nie puściły łupu, a tymczasem Herne zeskoczywszy na ziemię, podpełznął ku jeleniowi i wbił mu nóż w serce.

Wesoły odgłos rogu obwieścił zwycięstwo myśliwych. Jedni wzięli się zaraz do poćwiertowania jelenia, inni nazbierali suchych gałęzi i rozniecili ogień, na którym wnet upieczono upolowaną zwierzynę. Najdelikatniejsze kawałki dostały się wodzowi i sir Tomaszowi Wyatt, a przytem znalazł się także chleb i butelka dobrego wina.

Po spożyciu wieczerzy, Herne rozkazał zanieść do pieczary pozostałe mięso i, dosiadłszy rumaka, puścił się wraz z orszakiem w pogoń za wytropioną z zarośli łanią. Biedne zwierzę długo umykało przez aleje i gęstwiny, a wreszcie dobiegłszy jeziora, rzuciło się w wodę. Pogonił za niem Herne i, zwróciwszy je na brzeg, celnym strzałem powalił na ziemię. Sir Tomasz pędził ciągle przy jego boku, ale już mu sił brakowało do tój piekielnej gonitwy. Widząc to Herne, znów poczęstował go tym samym

co w pierw napojem; sir Tomasz wysączył go do kropli i padł jak martwy na ziemię.

Kiedy odzyskał zmysły, leżał na pościeli w nizińskiej i ciemnej jaskini; dopalająca się pochodnia rzucała posępny blask na wilgotne i nagie ściany, na stół pokryty resztkami mięsa i chleba. W przyległym korytarzu dało się słyszeć stąpanie i przy łożu stanął Morgan Fenwolf.

— Nareszcie przyszedłeś pan do siebie—rzekł z lekkim przekąsem.

— Cóż mi było? — zapytał zdziwiony Wyatt.

— Przez trzy dni leżałeś w gorączce i pociłeś niestworzone rzeczy.

— Przez trzy dni! — mruknął Wyatt — ten zdradziecki szatan obiecał, że ona będzie moją za trzy dni.

— Bądźcie spokojni, Herne dotrzyma słowa—rzekł Fenwolf—a tymczasem chcesz pan przejechać się ze mną po jeziorze? Muszę zobaczyć, czy dużo ryb złapało się w sieci.

Wyatt zgodził się na to i obaj zapuścili się w wązki przesmyk, którym po omacku dostali się do wyjścia, zawalonego wielkim kamieniem. Fenwolf odsunął go i naraz ujrzeli światło dzienne i wody jeziora błyszczące w słońcu jak srebro. Fenwolf zasunął otwór kamieniem, ukrytym wśród spleśnianych zarośli, i poszedł wraz z towarzyszem do chaty starego leśnika prosić o pożyczanie łodzi. Wyatt nie spojrział nawet na piękną Mabel i dopiero zoczywszy ją na brzegu, zapytał Morgana o jej nazwisko.

Długo żeglowali w milczeniu po przejrzystych wodach jeziora, coraz to piękniejsze krajobrazy przesuwaly się przed nimi, ale Wyatt, dręczony żalem i wyrzutami sumienia, nieczuły był tego dnia na piękności natury. W gorzkich zatopiony dumaniach nie zauważył, że zapuścili się w wąską zatokę, ocienioną z obu stron odwiecznymi drzewami, których potężne korzenie plątały się z nadbrzeżnymi krzewami i sitowiem. W przeciwieństwie do jasnych i przejrzystych toni jeziora mroczno tu było i ponuro. Wyatt nakoniec ocknął się z zamyślenia i, obejrzawszy się wokoło, zawołał niechętnie:

— Dlaczego tu jesteśmy?

— Zaraz się pan dowiesz — mruknął Fenwolf.

— Zawróć, bo ja tego chcę! — rozkazał Wyatt.

Ale Fenwolf spojrzął na niego z podełba i dalej kierował się ku brzegowi. Młodzieniec chciał mu odebrać wiosło, lecz w tej chwili dwoje silnych rąk ujęło go z tyłu i jednym zamachem na ląd wyrzuciło. Wokoło rozległ się śmiech szatański: Herne z całą swoją bandą czyhał już na niego w zaroślach.

— Nie miałeś ochoty złączyć się z nami — urągał wódz — ale daremne są twoje usiłowania, należysz do nas i nigdy już wyzwolić się nie zdołasz.

— Biada mi! — jęknął Wyatt.

— Niewiastom zostaw próżne jęki i narzekania — pogardliwie zauważył Herne — czas zabrać się do czynów. Dzisiejszej nocy król będzie w twoim ręku.

— Ha! — wykrzyknął Wyatt, w którego piersi zbudziły się wszystkie furye zazdrości.

— Za cenę życia możesz zażądać od niego, żeby ci odstąpił praw swoich do lady Anny. Będiesz miał wszelką moc nad nim.

— Przyniekasz mi to? — z uniesieniem zawołał Wyatt.

— Przyniekam i dotrzymam. A teraz jedź razem z Morganem Fenwolf i zaufaj mu zupełnie. Zobaczymy się w nocy.

Wyatt wrócił do łodzi i obaj z Morganem popłynęli na drugi brzeg jeziora; tam przybili do lądu i, posiliwszy się mięsem i chlebem przywiezionym w koszyku, zasnęli na miękkiej murawie. Zmierzchało już, kiedy jakaś ręka dotknęła ramienia sir Tomasza i znany mu głos zawołał:

— Wstawaj, sir Tomaszu i idź za mną; za godzinę oddam króla w twoje ręce.

VI.

N a p a d.

Król Henryk i Suffolk opuściwszy chatę leśnika, szli jakiś czas brzegiem jeziora, a potem skręcili w zarośla. Król był w wybornym humorze i nie taił wcale uczucia, jakie w nim wzbudziła nadobna dziewczyna.

— Jestem bardzo wdzięczny kardynałowi, że mi o niej powiedział — rzekł wreszcie.

— Uczynił to w tym celu, ażeby odwrócić serce Waszj Królewskiej Mości od Anny Boleyn — zauważył Suffolk.

— Wszystko mi jedno, w jakim celu to uczynił — popędliwie zawołał Henryk — chodzi mi tylko o skutek, a wyznam ci szczerze, że jestem oczarowany. Czyś ty widział kiedy taką świeżość cery, taki blask oczu, taki karmin ust, takie kształty cudowne? Ona musi być moją!

— Wasza Królewska Mość jest lepszym odepnie znawcą niewieściej piękności, nie będę się zatem sprzeczał — ze śmiechem odrzekł Suffolk — muszę jednak przyznać, że nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać tyle wdzięku i urody w jednej osobie.

Tak rozmawiając schodzili ze wzgórza, kiedy wtem usłyszeli szelest za sobą i jakaś postać niewieścia wśród drzew zamajaczyła. Król zatrzymał się mimowoli, ale jakież było jego zdziwienie, kiedy w biegnącej ku niemu dziewczynie poznał piękną Mabel.

— Chwała Bogu, że znajduję nareszcie Waszą Królewską Mość! — zawołała zdyszana.

— Jakto, więc poznałaś mię, filutko!

— Odrazu poznałam — rzekła, spuszczaając oczy — kto raz cię widział, Najjaśniejszy Panie, już tak łatwo o tobie nie zapomni.

— Na Św. Jerzego! żadna dama nie potrafi zręczniejsz pochlebiać od ciebie — zawołał Henryk, chwytając ję rękę.

— Puść mię, Najjaśniejszy Panie — prosiła Mabel — mam ważnych udzielić wam wiadomości.

Kiedyście odchodzili, otworzyłam okno po cichu, żeby wyrzeć za wami i...

— I słyszałaś pewno, co powiedziałem do księcia Suffolk, że musisz być moją, najdroższa — przerwał Henryk z zapalem.

— Słyszałam, że Waszój Królewskiej Mości zagraża niebezpieczeństwo — rzekła Mabel — złoczyńcy chcą wam przeciąć drogę.

— Mniejsza o nich! — niedbale zawołał król — drogo zapłacą za swoje zuchwalstwo; iluż ich jest?

— Dwóch, ale jeden z nich to duch Myśliwca, Herne; poznałam go po hełmie z jeleniami rogami. Mówił, że zamierza was schwytać, a z nim pewno będzie cała jego banda; nie dacie jój rady, o panie.

— To dziewczę słusznie mówi — odezwał się Suffolk — możeby lepiej uniknąć spotkania.

— Chętnie dałbym im nauczkę, ale pójdę za twoją radą — odpowiedział Henryk — jutro zato zrobimy na nich obławę, jak na wilków.

— Gdzie są wasze konie, Najjaśniejszy Panie? — zapytała Mabel.

— U stóp pagórka, przywiązane do drzewa — odpowiedział Henryk; — koło Snow-hill czekają na mnie dworzanie.

— Tędy więc! — zawołała Mabel, biegnąc przodem.

Zatrzymała się wreszcie i, wskazując na wąską ścieżkę wijącą się wśród zarośli, rzekła zdyszana:

— Niech Wasza Królewska Mość idzie tą ścieżką, a potem zwróci się na prawo od wielkiego buku; ztamtąd niedaleko do Snow-hill.

— Sam nie trafię — zawołał król, usiłując ją zatrzymać, ale wyrwała mu się i zniknęła w zaroślach.

— Nie traćmy czasu, Najjaśniejszy Panie — nalegał Suffolk—niebezpieczeństwo grozi, spieszmy połączyć się z dworzanami.

Henryk uznał słuszność téj rady i obaj w milczeniu szli ścieżką wśród zarośli, aż wreszcie doszli do wielkiego buku, o którym wspominała Mabel. Księżyc właśnie zeszedł i rzucał fantastyczne światło na polankę, na której słały się cienie drzew, rysujące się na niej ciemnymi liniami. Suffolk często oglądał się wokoło, ale nic nie widział podejrzanego. Zeszli już z pagórka i stanęli na chwilę pod olbrzymim dębem, z kąd wspaniały widok roztaczał się na jezioro. Henryk nieco zmęczony zatrzymał się pod drzewem i, ocierając spocone czoło, rzekł ze śmiechem do towarzysza:

— Wiesz, Suffolk, żeśmy postąpili jak tchórze; na słowo jednéj dziewczyny uwierzyliśmy w baśń o duchu Myśliwca, który jakoby miał względem nas jakieś złe zamiary. Ależ jeżeli ten Herne jeszcze żyje, to musi mieć najmnień sto pięćdziesiąt lat, legenda bowiem mówi, że żył za czasów Ryszarda II. Chciałbym go jednak zobaczyć...

— A więc patrz! — zabrzmiał jakiś głos ponury.

Henryk odwrócił się i ujrzał stojącą pod dębem czarną wysoką postać, ze straszném obliczem i czaszką jelenią na głowie. Zjawiała się ona tak nagle, że król drgnął mimowolnie.

— Kto jesteś? — zapytał.

— Herne, duch Myśliwca. Witaj w mojem państwie, bracie mój. Tyś panem w zamku, a ja w lesie.

— Jestem panem zamku, lasu i całego królestwa! — zawołał król — precz z mojej drogi, szatanie! W imieniu świętej naszej wiary, której jestem obrońcą, rozkazuję ci się oddalić!

Duch zaśmiał się urągliwie.

— Jeżeli podniesiesz na mnie rękę, będziesz zgubiony — rzekł.

— Precz! w imię Trójcy Świętej! — zawołał król, zamierzając się mieczem.

Ale w téjże chwili obłok dymu otoczył widmo i król z przerażeniem opuścił rękę. Rozległ się złowrogi odgłos rogu i wnet z gęstwiny wyskoczyła gromada dziwacznie ubranych postaci.

— Całe piekło, widzę, sprosileś ku pomocy, ale ja się was nie boję! — zawołał Henryk — ty ze mną, Suffolk?

— Aż do śmierci! — odpowiedział książę, wyciągając miecz z pochwy.

Tymczasem jeden z towarzyszy Herna zbliżył się do króla, żądając, żeby się poddał.

— Czy wiesz, do kogo przemawiasz, psiel — zawołał rozjątrzony Henryk.

— Wiem, jesteś królem.

— A więc na kolana, zdrajco, i błagaj o łaskę!

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się tamten — tobie raczej przystoi błagać o łaskę, tyranie. Naszym panem jest Herne.

— A więc szukaj go w piekle! — krzyknął Henryk, i jedném uderzeniem szabli powalił go o ziemię.

Cała czereda z wrzaskiem i piskiem otoczyła króla, usiłując go pochwycić.

— Ha! psy! ha! zdrajcy! — wołał Henryk, zręcznemi ciosy ścieląc w koło siebie napastników — i wy śmiecie podnosić rękę na naszą świętą osobę! Ja was nauczę!

Wobec oporu króla, któremu dzielnie pomagał Suffolk, banda cofać się zaczęła. Wtem ogromny czarny pies rzucił się na księcia Suffolk i ugryzł go w ramię; mimo bólu, książę nie stracił jednak przytomności i przebił psa mieczem.

— O, tego ci nie daruję! — krzyknął jeden z napastników, tęgi chłop w masce, rzucając się na Suffolka z nożem.

Książę odbił cios i, powaliwszy na ziemię przeciwnika, zdarł maskę z jego twarzy; był to Morgan Fenwolf.

Tymczasem królowi groziło niemałe niebezpieczeństwo; broniąc się od psów, które na niego wypuszczono, poślizgnął się i upadł. Jeden z napastników już godził w niego nożem, kiedy gwałtowny cios powalił go trupem. Król zerwał się natychmiast, a cała czereda straciwszy ochotę do dalszej walki, umknęła w zarośla. Henryk odwrócił się, żeby ujrzeć swego wybawcę i na jego widok osłupiał ze zdumienia.

— Na Boga! — krzyknął — ciebież to widzę, sir Tomaszu Wyatt?

— Tak, to ja — odrzekł zapytany.

— Cóż ty tu robisz? Powinieneś być w Pa-
ryżu.

— Wróciłem, żeby się pomścić — brzmiała
posępna odpowiedź.

— Na kim?

— Na tobie — odparł Wyatt.

— Ha! nikczemny zdrajco! — krzyknął Hen-
ryk — to ty nasadziłeś na mnie zbójców! ty za-
przedałeś się szatanowi, ażeby mię pochwyć?

Wyatt milczał, ponuro spoglądając na króla.
Z gęstwiny wybiegła w tej chwili jakaś postać
niewieścia i, rzucając się na kolana przed królem,
zawołała błagalnie:

— Daruj mu, Najjaśniejszy Panie! Byłam tu
blizko i widziałam, że nie należał do napastników.
Wtedy dopiero miecz z pochwy wydobył, kiedy
wasze życie było w niebezpieczeństwie. On ocalił
Waszą Królewską Mość.

— Ocaliłem go dlatego, żeby z mojej zginął
ręki — rzekł Wyatt.

— Słyszysz, sam przyznaje się do zdrady.
Na kolana, nędzniku! — zawołał rozjątrzony Henryk.

— On niewinien, Najjaśniejszy Panie! On was
uratował od zbójckiego noża! — prosiła Mabel.

— Zkądże się tu wzięłaś, dziewczyno? — nie-
chętnie zapytał król.

— Byłam niespokojna o Waszą Królewską
Mość i dlatego szłam w oddali za wami — odrzekła
pomieszana Mabel.

— Wracaj do domu, bo jeszcze co złego może

cię spotkać w tym lesie. Wyatt — rzekł surowo, zwracając się do milczącego młodzieńca — byłeś niegdyś wiernym moim sługą, co znaczy ta zmiana?

— Wydarłeś mi ukochaną kobietę, a ja dla odzyskania jój zaprzedałem moję duszę.

— Przebacz mu, przebacz, panie! — błagała Mabel.

— Nie rozumiem cię — rzekł król po chwili — ale ja wiem, co to są męki zazdrości. Tyś ocalił mi życie, ja w zamian przebaczam ci, sir Tomaszu.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Wyatt.

— Suffolk — rzekł król, zwracając się do księcia, który trzymał za gardło Fenwolfa — czy słusznie uczyniłem, przebacząc mu?

— Uderz teraz! — szepnęła jakiś głos tuż nad uchem Wyatta — twój rywal jest w twojej mocy.

— Nie mam zamiaru namawiać do surowości mego króla — odrzekł Suffolk — Wyatt mógł się targnąć na wasze życie, gdyby był chciał.

— Sir Tomaszu — rzekł Henryk z powagą — przebaczam ci, ale rozkazuję, ażebyś natychmiast udał się w drogę do Paryża. Jeżeli jutro będziesz jeszcze w obrębie tego lasu, pójdiesz niezwłocznie do więzienia.

Wyatt ukląkł i chciał ucałować rękę monarszą, ale król ją wyrwał, mówiąc:

— Nie, nie teraz, po twoim powrocie dopiero.

Wyatt skłonił się i odszedł, a w téj chwili ozwał się jakiś głos wśród gałęzi dębu:

— Z nim już skończyłeś, ale ze mną jeszcze nie!

— A teraz, moja śliczna, pójdziesz z nami do zamku — rzekł król do dziewczęcia.

— O nie, Najjaśniejszy Panie, muszę wracać do chaty, bo dziadek byłby o mnie niespokojny — odpowiedziała Mabel i lekko, jak sarna, poskoczyła w stronę jeziora.

— Czy mam dobić tego łotra? — zapytał Suffolk, wskazując na Fenwolfa.

— Bynajmniej, dowiemy się od niego, kto kierował tą napaścią — rzekł król — widzisz, psie jeden, napróżno zaprzedałeś się szatanowi; teraz on cię opuścił.

Fenwolf milczał, patrząc z podełba na monarchę.

— Wyznaj wszystko co wiesz — rozkazał król.

— Ani się waż! — zabrzmiał jakiś głos z góry.

Rozjątrzony Henryk podniósł głowę, ale nic nie mógł dojrzeć wśród gęstego liści sklepienia.

— Każę przetrząsnąć jutro ten las i powiesić każdego podejrzanego człowieka! — krzyknął — dam ja ci radę, duchu Myśliwca.

— Ho! ho! — rozległ się urągliwy śmiech wśród gałęzi.

Henryk wyciągnął miecz i jak wściekły poskoczył ku drzewu.

— Daj pokój, Najjaśniejszy Panie — przekładał Suffolk — widno przecież, że mamy do czynienia ze złym duchem. Trzeba zawezwać księży i biskupów do pomocy.

— Ho! ho! — zaśmiał się znowu głos wśród gałęzi.

W oddali ukazało się kilku jeźdźców. Była to część orszaku, który nie mogąc doczekać się króla, udał się na poszukiwanie. Nadjechali żywo na głos monarchy, a na ich czele był kapitan Bouchier.

— Daj mi swego konia, kapitanie — rzekł Henryk — a sam z kilkoma ludźmi pozostań tu na straży, dopóki nie przyślę oddziału żołnierzy. Niech się nie ruszą ztąd do jutra i chwytają każdego ktoby się tu ukazał.

— Rozkazy Waszej Królewskiej Mości będą spełnione — odpowiedział Bouchier.

Dwóch ludzi związało Fenwolfa i pod strażą odprowadziło do więzienia zamkowego.

VII.

U c i e c z k a.

W pół godziny później do celi więziennéj wszedł książę Suffolk w towarzystwie kanonika, który miał wypowiadać i przygotować na śmierć więźnia.

— Mam obowiązek oznajmić ci, że zginiesz jutro — rzekł książę — król chce ukarać cię przykładnie, a taki sam los czeka twoich towarzyszy zbrodni. Miłościwy Pan ma jednak litość nad twoją duszą i dlatego przysłała ci tego świętobliwego męża, ażebyś na spowiedzi wyznał przed nim swoje winy i uniknął wiekuistego potępienia.

— Na nic mi się spowiedź nie przyda — pośpnie odparł Fenwolf — gdybym nawet chciał, nie umiałbym się modlić.

— Nie gub się ostatecznie, mój synu — przekładał kanonik — pomnij, że nawet okropna kaźń jaka cię czeka, nie zdoła zmazać twoich grzechów, jeżeli nie będziesz szczerze za nie żałował.

— To wszystko napróżno — mruknął Fenwolf.

— Nie tracę nadziei, że zdołam cię namówić — rzekł kanonik — wszak pozwolicie, książe, żebym spędził noc na modlitwie przy tym grzeszniku? — dodał, zwracając się do Suffolka.

— Owszem, wydam zaraz odpowiednie rozkazy.

— Wrócę tu za godzinę i jestem pewny, że mi się uda zmiękczyć twoje serce.

Kanonik, pożegnawszy się z księciem, udał się w stronę kaplicy. Nagle usłyszał za sobą spieszne kroki i, odwracając się spostrzegł wysokiego mnicha, który podążał za nim. Był to O. Franciszkanin w szarym habicie, przewiązany grubym sznurem; spuszczone kaptur krył jego oblicze, tak, że widać było tylko przenikliwe oczy.

— Czy do mnie macie jaki interes, bracie? — zapytał kanonik, zatrzymując się.

— Nieinaczej, przewielebny ojcze — odrzekł mnich, schylając głowę — przybywam właśnie z opactwa Chertsey; przed chwilą dowiedziałem się od straży, że osadzono w więzieniu człowieka oskarżonego o stosunki z szatanem.

— To wszystko prawda — potwierdził kanonik.

— Powiedziano mi także, że zamierzasz spędzić

z nim noc na modlitwie, przewielebny ojczy, otóż prosiłbym, żeby mi było wolno was zastąpić. Niedawno udało mi się wyrwać ze szpon szatańskich dwie grzeszne dusze; mam nadzieję, że i tę potrafię ocalić.

— W takim razie chętnie powierzam ci to zadanie, mój bracie — rzekł kanonik — uprzedzam cię tylko, że będziesz miał ciężką sprawę z tym człowiekiem.

— Tém większa chwała dla mnie, jeżeli zdołam go nawrócić — odparł mnich — może zechcecie nakazać straży, żeby mię puściła do więzienia?

Kanonik chętnie zgodził się na to i obaj zawrócili w stronę wieży Curfew, gdzie osadzono Fenwolfa. Leżał on na ziemi ze związanemi rękoma i nogami, kiedy otworzyły się drzwi i do celi wszedł strażnik, wiodąc za sobą O. Franciszkanina.

— Wstawaj, łotrze! — zawołał — oto ten świętobliwy zakonnik zamierza spędzić z tobą noc na modlitwie.

— Niech gdzieindziej odmawia sobie swoje pacierze — ponuro rzekł Fenwolf — ja ich nie potrzebuję.

— Wolałbyś pewnie, żebym ci przyprowadził Herna — zaśmiał się strażnik — nic z tego, bratku.

— Zostaw światło i zamknij drzwi za sobą — rozkazał O. Franciszkanin — ja się podejmuję uratować od zguby duszę tego człowieka.

Strażnik postawił lampę na podłodze i wyszedł, zostawiając ich samych.

— Czy żałujesz, bracie, za swoje grzechy? — zapytał mnich.

— Żałuję tylko, że zawierzyłem złemu duchowi, który mię opuścił w ostatniej chwili—sarknął Fenwolf, odwracając się.

— A mnie zawierzysz, jeżeli przyrzeknę cię ocalić?

— Ty i twoi bracia macie zwyczaj przyrzekać więcej niż możecie dotrzymać.

— A więc, spójrz na mnie i przekonaj się! — zawołał mnich odmiennym zupełnie głosem.

Fenwolf drgnął i żywo podniósł głowę. Mnie-many O. Franciszkanin zrzucił kaptur i odstąpił szpetne oblicze, szatańskim wykrzywione uśmiechem.

— A teraz wierzysz w to, że Herne nigdy w nieszczęściu nie opuszcza swoich towarzyszy? — zapytał surowo.

— Ale jak my się ztąd wydostaniemy? — niepokojnie zauważył Fenwolf, oglądając się wokoło.

— O mnie się nie trwóż, ale tobie przyjdzie to trochę trudniej — odparł Herne — czy pamiętasz to tajemne przejście, którym dostaliśmy się do celi, żeby zabrać ciało Marka Fyttona?

— Pamiętam, ale ta cela nie łączy się z tamtą.

— Tak, ale ztąd także jest wyjście na ten podziemny korytarz; zaraz się o tém przekonasz.

Herne zaczął kolejno uderzać kijem o kamienie i, natrafiwszy na jeden, który wydawał dźwięk odmienny niż inne, zaczął go podważać nożem. Kamień wreszcie odskoczył, odsłaniając wązki i ciemny otwór.

— Oto jest droga do wolności — rzekł Herne, rozcinając sznury krępujące Morgana — popętasz tym otworem aż do podziemnego korytarza; wyjście założone jest kamieniem, który odsuniesz z łatwością. Dalszą drogę już wiesz. Pamiętaj iść ostrożnie, bo za murem stoją strażę. Jeżeli ci się uda umknąć szczęśliwie, to staraj się dostać do pieczary pod bukiem.

— A z tobą co się stanie?

— Nie troszcz się o to — niecierpliwie odparł Herne — dalej, w drogę!

Fenwolf nie zwlekał dłużej i, trzymając się wskazówek Herna, szczęśliwie wydostał się z kryjówki. Ztamtąd umknąć w głąb lasu i skryć się do pieczary pod bukiem, było już łatwą rzeczą. Herne tymczasem zastonił otwór kamieniem i, zapuściwszy kaptur na twarz, zaczął pukać do drzwi.

— Czego żądasz, wielbny ojcze? — zapytał strażnik.

— Otwórz, mój synu, a dowiesz się — odrzekł mniemany mnich.

Strażnik odrydlował drzwi i wszedł do celi.

— A gdzie jest więzień? — zapytał, oglądając się wokoło.

— Uciekł — spokojnie odpowiedział Herne.

— Co? — wrzasnął zdumiony strażnik — jakim sposobem?

— Herne go uwolnił. Powtórz to wszystkim i powiedz coś widział.

Nagły blask rozjaśnił celę, a wśród obłoków dymu stała wyniosła postać ducha w myśliwskiej

ze skór odzieży. Strażnik krzyknął i padł zemdlony na ziemię.

W kilka minut później wszyscy widzieli, jak z więzienia wyszedł O. Franciszkanin w szarym habicie i, przepuszczony przez strażę, spokojnie udał się ku miastu.

VIII.

P o g o ń.

Skoro strażnik przyszedł do siebie, pospieszył opowiedzieć wszystko, co się stało jednemu ze starszych, który natychmiast udał się z tém do króla. Henryk nie spał jeszcze, lecz rozmawiał z księciem Suffolk i księciem Norfolk. Dowiedziawszy się o ucieczce więźnia, wpadł w okropny gniew, kazał zamknąć strażnika w téj saméj celi, zgromił kanonika, księcia Suffolk wysłał z patrolem na poszukiwanie zbiegów, a sam z księciem Norfolk stanął na czele oddziału żołnierzy i udał się z nimi do lasu.

Pół godziny zaledwie ujechali wielką aleją, kiedy usłyszano gwałtowny tętent koni i z gęstwiny wypadła gromada jeźdźców dziwacznie przebranych, ścigana przez kapitana Bouchier. Król zagroził im drogę ze swoim oddziałem, tak, że zostali schwytani jak w pułapkę. Widząc, że nie potrafią się wymknąć, wydobyli noże i zaczęli bronić się zacięcie, musieli jednak uleść wobec przeważnej liczby i wnet zostali

powiązani przez żołnierzy. Bouchier zapytał wtedy króla, co ma z nimi uczynić.

— Powiesić wszystkich na tych drzewach — rozkazał Henryk.

Wyrok ten wykonano natychmiast i w pół godziny później dwadzieścia trupów kołysało się na gałęziach.

— To będzie nauką dla innych — rzekł król, przyglądając się temu z okrutnym zadowoleniem — ale dlaczego dałeś się wymknąć wodzowi tych łotrów, Bouchier?

— Czy go niema między nimi? — zapytał zdziwiony kapitan.

— Był tyle zuchwały, że pojawił się w zamku i uprowadził więźnia z sobą.

I opowiedział wszystko, co się stało.

— Jeden dowód więcej, że mamy do czynienia z nadprzyrodzoną siłą — odezwał się Bouchier.

— Głupstwo! — zgromił go Henryk — powiedz raczej, że to są zręczni kuglarze, którzy potrafią wyprowadzać nas w pole. Ten łotr pewno powróci do lasu, baczcie, żeby wam się po raz drugi nie wyślizgnął. Kto go pojmie, dostanie odemnie sutą nagrodę.

Udał się do zamku, a Bouchier ze swoim oddziałem całą noc jeździł po lesie, szukając Herna. O świcie przyszło mu na myśl powrócić pod dęby, gdzie powieszono jeńców. Zdaleka już ujrzał stojącego pod nimi karego wierzchowca, na którym leżało kilku trupów, widocznie odciętych przed chwilą. Poczawszy zbliżających się żołnierzy, koń

zarzął głośno i wnet jakaś ciemna wysoka postać zeskoczyła z drzewa. Strzała puszczone ręką jednego z żołnierzy przebiła łeb rumaka, który natychmiast powalił się na ziemię, ale Herne zdążył uskoczyć na bok bez szwanku i z chyżością jelenia rzucił się w gęstwiny. Wtedy rozpoczęła się gonitwa, w której duch Myśliwca odgrywał rolę zwierzyny, ściganą przez strzelców.

Żołnierze bodli konie ostrogami, mimoto nie mogli dopędzić Herna; biegł on zawsze przed nimi i dostawszy się do palisady, oddzielającej prywatny park, królewski, jednym susem przez nią przeskoczył. Cały oddział z kapitanem Bouchier na czele rzucił się za nim; widzieli jak przebiegł przez polankę i, dostawszy się do olbrzymiego dębu, wdarł się na niego ze zwinnością wiewiórki. Raz go jeszcze ujrzano, jak pogroził im ręką i zniknął nagle.

W kilka chwil później zdyszany kapitan zeskoczył z konia u stóp drzewa i z kolei zaczął wdzierać się na niego. Pień był istotnie wypróchniały, ale pusty; zapuszczano w niego dzidy, ale nic nie znalaziono. Wśród gałęzi także nie było nikogo; Herne zniknął, jak gdyby go ziemia pochłonęła.

Zakłopotany Bouchier wysłał do zamku sierżanta, ażeby uwiadomił króla o tém co się stało. Henryk, pomimo wczorajszego znużenia, wstał o świcie i dopytywał się właśnie czy niema wiadomości od kapitana, kiedy mu oznajmiono przybycie sierżanta. Wysłuchawszy jego opowiadania, król wpadł w okropną złość i, tupiąc nogą, krzyknął:

— Ha! i tym razem zdołał się wymknąć! Ale

ja go dostanę w moje ręce, choćbym miał wyciąć połowę drzew Windsorskiego parku! Héj! zwołać tu najlepszych cieśli i najsilniejszych robotników! Niech idą do lasu z siekierami i piłami, niech przyniosą słomy i suchych gałęzi, bo ja chcę spalić to drzewo i dymem wykurzyć tego łotra z kryjówki. Książęta Suffolk i Norfolk niech zbiorą najlepszych łuczników i czekają na mnie przy bramie zamkowej.

Rozkazy króla spełniono ściśle i wkrótce cały oddział podążył do lasu, gdzie czekał już Bouchier, wciąż na straży przy dębie.

— Daliście mu znowu umknąć—gniewnie rzekł król — héj! cieśle, ściąć mi zaraz to drzewo.

Przywiązano liny do konarów dębu i niebawem rozległ się odgłos siekier, które uderzano w pień sędziwego drzewa. Pracowano niezmiernie, dopóki olbrzymi dąb z łoskotem nie powalił się na ziemię. Pień był wypróchniały, zarówno jak kilka grubszych konarów, ale mimo starannych poszukiwań nic tam nie znaleziono. Wśród splątanych korzeni widać było niewielki otwór, niby jamę lisią, ale było rzeczą wątpliwą, czy człowiek mógłby się w niego zmieścić.

— Podłożyć ogień pod drzewo i rozrzucić popiół na cztery wiatry! — rozkazał król, nie posiadając się z gniewu.

Wnet buchnął płomień, obejmując potężne konary drzewa. Tymczasem jeden z leśników kazał gończemu psu zapuścić się w norę między korzeniami, ale wystraszone zwierzę powróciło z żalostnym wyciem i mimo razów nie chciało powtórnie wejść do jamy.

Kilku robotników z motykami wzięło się do rozszerzenia otworu i wycięcia korzeni.

— To wszystko napróżno! — mruknął łucznik zwany księciem Shoreditch — polowanie na złego ducha jest trudniejszą sprawą niż obława na wilka, lub pogoń za jeleniem.

— Ja mam poświęconą strzałę — odrzekł towarzysz jego, Paddington — przeznaczam ją dla Herna.

— Oto on! oto on! — krzyknął Will Sommers, wskazując na olbrzymią sowę, która wyleciała z płonącego drzewa.

— To może zły duch wziął na siebie jój postać! — zawołał Shoreditch — strzelaj, Paddington!

Łucznik zmierzył i strzelił; sowa spadła na ziemię nieżywa, ale żaden duch się nie pokazał. Tymczasem rozszerzono otwór nory i wpuszczono w nią dwa jamniki; powróciły niebawem skomląc przeraźliwie i, stuliwszy ogony, uciekły do zamku.

— To daremna rzecz — mruknął leśnik Gabriel, gładząc swego psa — nic nie poradzimy przeciw złemu duchowi.

Wszyscy byli tego samego zdania, ale król z właściwym sobie uporem, nie chciał dać za wygraną i kazał dalej kopać, pilnując jednocześnie, żeby dąb spłonął do szczętu. Jama została wprawdzie znacznie rozszerzona ale nie doprowadziła do żadnej pieczary i zawaliła się wreszcie. Pięć godzin daremnych poszukiwań znudziło nakoniec króla; kazał zasypać norę i potem dał znak do odwrotu.

— Nie udało nam się wykurzyć lisa z kryjówki — rzekł — niechże się przynajmniej tam zadusi.

— To się na nic nie przyda, kumie — odparł Will Sommers — ten lis potrafi wydostać się ztamtąd.

KSIĘGA III.

ZAMEK WINDSOR.

I.

Dzieje zamku Windsor.

Historya zamku Windsor bajecznych sięga czasów, legenda bowiem opiewa, że czarodziej Merlin zbudował go jednej nocy dla króla Artura, a w wielkiej jego sali mieścił się sławny Stół Okrągły dla dwunastu rycerzy. Później zamieszkiwali go starożytni królowie saksońscy, a między innymi i Edward Wyznawca. Podanie głosi, że niejaki cieśla imieniem Wulwin, dotknięty ślepotą, zwiedził ośmdziesiąt siedm kościołów, napróżno modląc się o wyzdrowienie; wreszcie przyszedł do króla, Św. Edwarda, i skoro ten położył ręce na jego oczach, cieśla wzrok odzyskał. Pobożny monarcha uczynił go murgrabią w zamku, a następnie

podarował Windsor zakonnikom z opactwa Św. Piotra w Westminsterze, ażeby się modlili za grzechy jego przodków.

Ale posiadłość ta niedługo pozostawała w ręku duchownych. Wilhelm Zdobywca, zachwycony pięknością Windsoru, zmusił opata Edmina do zamiany, dając mu inne dobra w hrabstwie Essex, a sam zbudował wspaniały zamek niedaleko Tamizy, lasy zamienił na park, w którym często polował z towarzyszami. Następca jego, Wilhelm Rufus, wydał surowe prawa celem ochrony zwierzyny, a syn jego, Henryk I, obchodził w nim swoje zaślubiny z Adelicją, córką księcia Louvaine. Nie mając męskiego potomka, zwołał do Windsoru baronów i rycerzy, oraz swoją siostrę Adelę, jej męża Dawida króla Szkocyi, jej syna Stefana późniejszego króla angielskiego, i wymógł na nich, że władczynią królestwa uznali córkę jego Matyldę, wdowę po cesarzu Henryku V.

W obronnym zamku Windsor został później podpisany traktat między cesarzową Matyldą a przywłaszczycielem korony Stefanem. Henryk II założył w pobliżu winnicę, która tyle dawała owoców, że zaopatrywała w wino stół królewski i jeszcze go było na sprzedaż. Kiedy Ryszard Lwie Serce udał się do Ziemi Świętej, straż nad zamkiem powierzył biskupowi Durham i hrabiemu Northumberland. Skoro nadeszła wiadomość o uwięzieniu króla w Austryi, brat jego Jan Bez Ziemi podstępem opanował zamek; baronowie jednak odebrali go i oddali żonie Ryszarda, Eleonorze.

Za panowania Jana Bez Ziemi, mury Windsoru były świadkiem okrutnego i nieludzkiego czynu. Jeden z baronów, Wilhelm de Braose, wpadł w niełaskę i obraził króla; Jan rozkazał wtedy jego żonie, Matyldzie, ażeby oddała swego syna jako zakładnika. Rozjątrzona Matylda odpowiedziała na to, że nie chce powierzyć dziecka człowiekowi, który mógł zamordować swego synowca. Straszna była zemsta króla za te niebaczne słowa: kazał pochwycić nieszczęsną kobietę i wraz z synem żywcem zamurować w zamku.

Każdy z królów angielskich starał się upiększyć Windsor, ulubioną rezydencją monarchów, najwięcej jednak przyczynił się do tego Henryk III, który wznosił wspaniałe cztery wieże, dotąd jeszcze istniejące. Tu najchętniej przebywał Edward II i piękna choć przewrotna jego małżonka, Izabella francuzka; tu w r. 1312 przyszedł na świat jeden z najdzielniejszych i najślawniejszych monarchów angielskich, Edward III.

W zamku Windsor został ustanowiony w roku 1349 order Podwiązki. Rozmaite są podania dotyczące się początku tego orderu; jedni mówią, że Ryszard Lwie Serce pierwszy dawał skórzane podwiązki swoim rycerzom, jako nagrodę za męstwo; inni utrzymują, że to jest mistyczne wyobrażenie Okrągłego Stołu króla Artura, najwięcej jednak prawdopodobieństwa ma następująca anegdota: Podczas uroczystości wyprawianych na zamku przez króla, piękna Joanna hrabina Salisbury zgubiła w tańcu błękitną aksamitną podwiązkę, haftowaną perłami.

Król ją podniósł, a widząc złośliwe spojrzenia dworaków, wyrzekł głośno słowa, które później zostały godłem orderu: *Honny soit qui mal y pense*, dodając, że niebawem ta podwiązka zostanie przedmiotem czci i zabiegów.

Edward chciał otoczyć początek tej instytucji jaknajwiększym blaskiem i w tym celu wezwał w r. 1345 rycerzy z całego świata, na wielki turniej do Windsoru. Tam się odbyły wspaniałe uroczystości i w dzień Św. Jerzego ustanowiony został order Podwiązki z tym zastrzeżeniem, że liczba jego kawalerów ograniczona będzie do dwudziestu sześciu. Insignia jego były następujące: szata czerwona, płaszcz błękitny haftowany, kaptur, błękitna aksamitna ze złotą sprzączką podwiązka, na której wyhaftowane jest godło: *Honny soit qui mal y pense*, oraz złoty łańcuch, jakby złożony z podwiązek i róż czerwonych na tle błękitnej emalii; przy nim wisi wyobrażenie Św. Jerzego walczącego ze smokiem, ozdobione drogiemi kamieniami.

Pomiędzy obcymi monarchami, którzy otrzymali ten order, liczą ośmiu cesarzy niemieckich, dwóch ruskich, pięciu królów francuzkich, trzech hiszpańskich, jednego aragońskiego, siedmiu portugalskich, jednego polskiego, dwóch szwedzkich, sześciu duńskich, jednego neapolitańskiego, jednego czeskiego, dwóch jerozolimskich, dwóch szkockich i siedmiu książąt orańskich. Najpiękniejsze i najbogatsze insignia orderu otrzymał Gustaw Adolf szwedzki od Karola I; każda litera godła składała się z brylantów.

Zamek Windsor służył też nieraz za więzienie dla znakomitych osób. Tutaj byli zamknięci synowie Mortimera, hrabiego of March, prawego dziedzica korony. Owdowiała hrabina Gloucester uwolniła ich podstępem; uciekli do Walii i skryli się w tamtejsze puszcze, ale wysłedzili ich wysłannicy Henryka IV i przywieźli do Windsoru, jako zakładników.

W kilka lat później zamknięty został w Windsorze inny dostojny jeniec, książę Jakób syn Roberta III, późniejszy król szkocki. Ośmnaście lat przebył tu jako jeniec, uwolniony nakoniec przez księcia Bedford, sprawującego rządu państwa podczas małoletności Henryka VI.

Wspaniałą kaplicę Św. Jerzego, jedno z arcydzieł stylu gotyckiego, wznosił Edward IV, upiększyli zaś Henryk VII i Henryk VIII. W niej także spoczywa wielu królów angielskich, oraz ich małżonki.

Podczas rewolucyi, zamek Windsor służył za więzienie Karolowi I i ztąd ten nieszczęsny monarcha poszedł prosto na rusztowanie. Pomimo tych smutnych wspomnień, zamek Windsor był ulubioném miejscem pobytu Karola II i nieraz za jego panowania rozbrzmiewał echem wesołych zabaw i hulank.

Królowa Anna głównie miała na celu upiększenie parku i wydała na ten cel sumę 40,000 f. st.; jedna z najwspanialszych alei została zasadzona za jej rządów. Królowie z domu Hanowerskiego nie lubili Windsoru i chętniej przebywali w Hampton

Court, lub w zamku Kensington, dopiero Jerzy IV kazał odnowić zamek i upiększyć park, który pod względem piękności i rozległości nie ma prawie równego na świecie.

Za Wilhelma IV prowadzono dalej roboty około zamku, a sumy wydane na jego restauracyą wyniosły ogółem 771,000 f. st. Liczy on teraz 4180 stóp obwodu, długości zaś od wschodu do zachodu wynosi 1480 stóp; zajmuje przestrzeni 12 akrów (akr = dwie morgi) nie licząc tarasów. Z wierzchołka Okrągłej Wieży roztacza się widok nieporównanej piękności: dwanaście hrabstw ztąd widać, a mianowicie: Middlesex, Essex, Heitford, Berks, Buchs, Oxford, Witts, Hants, Surrey, Sussex, Kent i Bedford. W dni pogodne można nawet rozeznąć kopułę Św. Pawła w Londynie. Rozległość parku wynosi 5300 akrów.

KSIĘGA IV.

KARDYNAŁ WOLSEY.

I.

Katarzyna aragońska.

W każdój porze roku Windsor jest piękny, ale w największe czary i powaby stroi go lato dopiero; wtedy pyszne jego aleje i cieniste gaje najświeższą jaśnieją zielenią, wtedy rzeka płynąca wśród łąk szmaragdowych najświetniejszym lśni blaskiem, wtedy słońce powodzią złotych blasków najcudniej oblewa posiwiałe od starości mury królewskiego zamczyska.

Właśnie nastąpiła urocza pora letnia i na dziedzińcach zamkowych panował ruch i gwar niezwykły. Wesoły odgłos dzwonów łączył się ze szczękiem broni i trąb ogłosem, na wieżach różnobarwne powiewały chorągwie, a długi orszak panów

i duchownych kierował się ku wielkiej bramie. Król po sześciotygodniowej nieobecności powracał dziś do Windsoru, a lud przyjmował go okrzykami pełnemi zapału. Henryk w owój epoce był ogólnie lubionym dla swojej wspaniałej postawy, wesołego humoru i odwagi. Rozumniejsza część narodu brała mu wprawdzie za złe zamiar rozwodu z Katarzyną aragońską i chęć zaślubienia Anny Boleyn, jawnej luteranki; w skutek tego wynikły nawet nieporządki, ale Henryk z właściwym sobie uporem nie zważał ani na niezadowolenie poddanych, ani na przełożenia Papieża, groźby Hiszpanii i rady Francyi.

Sprawa rozwodu szła dotąd bardzo leniwo. Legata papieskiego, kardynała Campeggio, niczem nie można było zjednać i przekonać; rozumiał on dobrze, jaką szkodę przyniesie Rzymowi zamierzone małżeństwo z Anną Boleyn i opierał mu się wszelkimi siłami. Znudzony długą zwłoką Henryk, zwołał do Blackfriars zgromadzenie prałatów, ażeby rozstrzygnęło raz tę sprawę, a sam z Anną Boleyn pojechał do Windsoru.

Ludność przyjmowała go, jak zwykle, z oznakami czci i miłości: krzyczano mu wiwat, rzucono czapki w górę i tłoczono się, żeby go ujrzeć, ale kiedy z kolei ukazała się Anna Boleyn, tłum umilkł i nawet szemrać począł. Król wziął to za osobistą zniewagę i chmurny wszedł do zamku.

Wieczorem wezwano doń kapitana Bouchier.

— I cóż? — zapytał Henryk — czy zastosowałeś się do moich rozkazów?

— Nieinaczéj, Najjaśniejszy Panie. Zaraz po

naszym przyjeździe udałem się do chaty leśnika i widziałem się z jego wnuczką.

— Czy zawsze tak pięknie wygląda? — skwapliwie zagadnął król.

— Nie widziałem jej przedtem, nie sądzę jednak, żeby mogła kiedy piękniej wyglądać — odrzekł Bouchier.

— Tyle spraw naglących zważyło się na mnie po wyjeździe z zamku, że zapomniałem o niej zupełnie — rzekł król — teraz jednakże pamiętać już będę. Czy ona tu przyjdzie jutro?

— Nieinaczéj — odpowiedział kapitan.

— Widzę, że masz jeszcze do mnie jakiś interes — rzekł król.

— Czy Wasza Królewska Mość pamięta Herna?

— Spodziewam się! — zawołał król — cóż, czyżby znów pokazywał się w parku?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Kilku już leśników wystraszył, niejednego podróżnego obdarł, tak, że z nastaniem zmroku nikt już nie chce zapuścić się w las Windsorski.

— Bodaj piekło go pochłonęło! — zawołał Henryk — niech tylko skończę sprawę rozwodową, a wezmę ja się do tego zuchwalca.

— Dałby to Bóg! — rzekł Bouchier — ale mnie się widzi, że nie z człowiekiem mamy tu do czynienia, możeby więc lepiej wezwać pomocy Kościoła.

— Nie chce mi się w to wierzyć, żeby on istotnie był złym duchem.

— Mam niejakię podejrzenie, że dziadek pięknej Mabel, Tristram Lynwood, jest w stosunkach z Hernem. Przynajmniej widywano go w towarzystwie jakiegoś dzikiego i szpetnego człowieka, zwanego Walentym Hagthorne; przysięgłbym niemal, że on należał do bandy Herna.

— Dlaczego nie uwięziłeś go? — zapytał król.

— Nie chciałem tego czynić bez upoważnienia Waszjej Królewskiej Mości; zresztą trzeba by jednocześnie aresztować starego Tristrama Lynwood.

— Jutro, skoro Mabel będzie w zamku, każesz uwięzić obu tych ludzi. Ja sam rozmówię się ze starym.

— Stanie się według rozkazu Waszjej Królewskiej Mości — odrzekł Bouchier, kłaniając się.

Wkrótce potem Henryk, wraz z orszakiem i Anną Boleyn, udał się do kaplicy Św. Jerzego na nieszpory. Kiedy wracał do zamku, jeden z szambelanów zbliżył się do niego i oznajmił, że jakaś zamaskowana kobieta błaga o chwilę rozmowy z królem.

— Gdzież ona jest? — zapytał Henryk.

— W skrzydle północnym, w kaplicy Urswick — odpowiedział szambelan — przekładałem jej, że nie jest to pora na audyencyą, ale nie chciała słuchać.

Król poszedł do kaplicy Urswick, a na jego widok podniosła się z ławki wysoka postać niewieścia, w masce na twarzy, ubrana w bogatą szatę z czarnego aksamitu. Postąpiwszy kilka kroków ku niemu, uklękła i zdjęła maskę kryjącą

szlachetne, choć znękanę troskami oblicze. Była to Katarzyna aragońska.

— Wysłuchaj mnie, Henryku, mój mężu, mój królul — zawołała z rozpaczą, widząc gniew malujący się na twarzy małżonka.

— Mów więc prędko, Kasiu — rzekł ułagodzony jój boleścią.

— Oh! dzięki ci za to słowo — zawołała, okrywając pocałunkami jego ręce — jestem zawsze twoją Kasią, wierną, kochającą i prawą małżonką.

— Wstań, pani! — rzekł chłodno — ta postawa nie przystoi Katarzynie aragońskiej.

— Jestem ci posłuszną, panie, jak zawsze — rzekła, podnosząc się — chociaż gdybym słuchała głosu mego serca, nie powstałabym z klęczek, dopóki nie uczyniłbyś zadość mojej prośbie.

— Zle uczyniłaś, żeś tu przyszła — rzekł Henryk — zmusisz mię do jakiego surowego kroku, którego radbym uniknąć.

— Nikt nie wie, że tu jestem — odrzekła królowa — tylko dwóch wiernych dworzan mi towarzyszy, a ci nie wydadzą tajemnicy. Odejdę tak jak przyszłam, niepostrzeżona przez nikogo.

— Rad jestem z tego — rzekł Henryk — mów więc a spiesznie.

— Nie miej mi za złe moich słów, Henryku, ale ja tak cierpię okropnie... Nigdy jeszcze córka i żona królewska nie była tak nieszczęśliwą jak ja. Po dwudziestu latach małżeństwa być odtrąconą przez męża, co za wstyd! co za upokorzenie!

— Jeżeli poto pani przyszłaś, żeby mi czynić

wymówki, to lepiej żebyśmy się zaraz rozstali — rzekł król, marszcząc czoło.

— Ja ci nic nie wyrzucam, Henryku — ze łzami mówiła Katarzyna — chciałam cię tylko błagać o litość i sprawiedliwość. Zmiłuj się, jeżeli nie nademną, to nad królowną naszą córką!

— Daremne są twoje łzy i prośby, Katarzyno — rzekł król — żal mi cię bardzo, ale nie mogę dłużej żyć w grzechu. Nie powinienem był zaślubić ciebie.

— To tylko pozór, którym chcesz usprawiedliwić moją krzywdę, a swoją słabość dla Anny Boleyn — odparła królowa — i cóż ja nieszczęsna uczynić mogę, żeby nie dopuścić téj hańby! Rozwiedziesz się ze mną i zaślubisz tę niegodną zalotnicę. Wkrótce jednak będziesz tego żałował, pamiętaj!

Król uśmiechnął się z goryczą.

— Ona cię hańbą okryje — mówiła Katarzyna — jeżeli nie umiała uszanować świętych węzłów, które nas łączyły, z pewnością podepcze wszystkie swoje obowiązki.

— Dostyc tego! — zawołał król — gniew i uraza zadaleko cię unoszą.

— O nie — odparła Katarzyna — ja powinnam cię ostrzedz, że chcesz na swój tron wynieść bezwstydną zalotnicę, że narażasz się na wstyd i hańbę. O wstrzymaj się, zanim będzie zapóźno!

— Czy pani już skończyłaś? — zapytał król.

— Henryku, zaklinam cię na naszą dawną miłość. na twoje przywiązanie dla córki, na twoje

szczęście i zbawienie wieczne, na wszystko co dla ciebie święte i drogie, zastanów się co czynisz! Jeżeli jutro nasze małżeństwo zostanie unieważnione, moje serce pęknie z bólu.

— Cicho, cicho!— niecierpliwie przerwał Henryk — będziesz żyć jeszcze długie lata spokojna i szczęśliwa.

— Życie moje niedługie, ale umrę tak jak żyłam, królową—z godnością odparła Katarzyna— teraz odpowiedz mi szczerze, Henryku, jeżeli Anna Boleyn cię zdradzi a ty przekonasz się o tém, czy na rozwodzie z nią poprzestaniesz?

— Nie! — gwałtownie zawołał Henryk — klnę się na głowę mego ojca, że gdyby się to zdarzyło, onaby śmiercią przyplaciła swoją zbrodnię.

— Daj mi na to rękę i słowo!— nalegała Katarzyna.

— Masz na to moją rękę i słowo królewskie— odrzekł Henryk.

— To dobrze — rzekła królowa — jeżeli nie mogę uzyskać sprawiedliwości, to przynajmniej zemsty jestem już pewna. Może ja wtedy będę w grobie, ale niemniej to się stać musi.

— Szał zazdrości cię zaślepia, Katarzyno — rzekł Henryk.

— Mylisz się — z dumą odparła królowa — córka Ferdynanda i Izabelli kastylskiej byłaby godną pogardy, gdyby mogła na chwilę być zazdrosną o kobietę, która stoi względem niej tak nisko jak Anna Boleyn.

— Jak pani chcesz — rzekł Henryk — ale musimy już skończyć tę rozmowę.

— O nie, na miłość Boską nie odchodź jeszcze! — błagała Katarzyna — wspomnij, kto nas połączył z sobą! Twój ojciec, Henryk VII, jeden z najmądrzejszych monarchów i mój rodzic, Ferdynand król hiszpański, sprawiedliwy między sprawiedliwymi. Czyżby oni się zgodzili na nasze małżeństwo, gdyby ono było nieprawem? Czyż nie pytali się o zdanie prawników i biskupów?

— To wszystko możesz pani jutro powiedzieć legatom papieskim — sucho odparł Henryk.

— Będę broniła moich praw wszelkiemi siłami! — zawołała Katarzyna — chociaż wiem zawczasu, że to się na nic nie przyda.

— Dlaczegoż więc chcesz walczyć?

— Bo winnam to sobie, mojej córce i naszemu ludowi — z godnością odparła królowa — nie byłabym godną nosić tytułu twojej małżonki, gdybym postąpiła inaczej. Możesz się ze mną rozwieść, ale ja się nigdy nie zgodzę na to; możesz zaślubić Annę Boleyn, ale ona nigdy nie będzie prawą twoją małżonką; możesz mię wypędzić z twojego zamku, ale ja nigdy nie ustąpię ztąd dobrowolnie.

— Znany mi jest twój upór — rzekł Henryk — teraz, proszę cię pani, włóż maskę i oddal się; przekonałaś się chyba, że twoje zabiegi są daremne.

— Widzę to — z goryczą rzekła Katarzyna — żegnaj więc, Henryku, ukochany mój mężu, żegnaj nazawsze.

— Włóż pani maskę, prędjéj! — niecierpliwie

zawołał król—na Boga! słyszę zbliżające się kroki... Nie wolno tu wchodzić! — krzyknął, podczas, kiedy Katarzyna kryła pod maskę znękanie swoje oblicze.

— Właśnie, że wejść — ozwał się głos Anny Boleyn, która bez względu na zakaz królewski, żywo weszła do kaplicy—ach! wydajesz się bardzo zmieszany, Najjaśniejszy Panie; lękam się, czy nie prze-rwałam jakiej miłosnej schadzki.

— Chodź ze mną Anno! — zawołał Henryk, usiłując ją uprowadzić — chodź prędkiej!

— Nie pójdę—z dąsem odparła Anna—muszę się wprzód dowiedzieć, kim jest ta nowa wybranka twojego serca. Wasza Królewska Mość udaje zazdrość względem mnie, a tymczasem ja miałabym stokroć więcej powodów do zazdrości. Wiem, żeś przeszły raz odwiedzać jakąś dziewczynę w chacie nad jeziorem, Najjaśniejszy Panie, teraz znowu masz schadzkę w kaplicy z zamaskowaną damą... Daremne są twoje znaki, właśnie że będę mówić.

— Lepiejbyś milczała — odparł król — wyjdź ztąd, proszę cię.

— Nie — upierała się Anna — niech ta pani odejdzie.

— Nie usłucham twojego rozkazu, nikczemna faworyto! — gwałtownie zawołała Katarzyna.

— Ach! — krzyknęła przestraszona Anna — kto to jest?

— Osoba, której powinnabyś unikać—szepnął Henryk.

— Królowa! — zawołała Anna, cofając się.

— Tak jest, królowa — rzekła Katarzyna, zdejmując maskę — teraz wiesz przed kim stoisz... Henryku, jeżeli masz dla mnie odrobinę szacunku, każ tej kobiecie iść precz. Niech ja się oddalę w spokoju.

— Lady Anno, proszę cię, odejź! — nalegał król. Anna Boleyn mimoto nie ruszyła się z miejsca.

— Niech więc zostanie, ale bądź pewny, że pożałuje tego — rzekła królowa — i ty zostań Henryku i przypatrz się dobrze téj, którą chcesz wynieść do godności swéj małżonki. Spytaj się o nią swojéj siostry, niegdyś królowéj francuzkiéj, dziś księżny Suffolk; spytaj się jakie było postępowanie i obyczaje Anny Boleyn, kiedy była damą jéj dworu. Spytaj się o nią lorda Percy, jéj kochanka, spytaj się sir Tomasza Wyatt i wielu innych.

— To wszystko fałsz i kłamstwo! — krzyknęła Anna.

— Niech król sam to zbada i osądzi — mówiła dalej Katarzyna — a jeżeli cię poślubi, niech dobrze uważa, żebyś go nie wystawiła na pośmiewisko uczciwych ludzi. A teraz zato żeś stanęła między mną a mężem moim, pozywam cię na sąd Boży i rzucam klątwę na twoją głowę. Dzień i noc modlić się będę o twoją zgubę, a skoro umrę, stanę przed tronem Przedwiecznego i oskarżę cię o zbrodnię, jaką popełniłaś.

— Weź mię ztąd, Henryku! — słabym głosem zawołała Anna — ona mię przeraża swoją wściekłością.

— Nie, nie pójdziesz ztąd, dopóki nie usłyszysz, jaki los cię czeka—rzekła Katarzyna, chwytając ją za ramię — wyobrażasz sobie pewno, że twoja przyszłość będzie bardzo świetna, ale jesteś w błędzie. Niedługo cieszyć się będziesz koroną, którąś mi wydarła, stracisz ją wkrótce, ale wraz z nią spadnie i twoja głowa.

— Błagam cię, Henryku, zabierz mię ztąd! — krzyknęła Anna, drżąca jak listek.

— Nie pójdziesz, dopóki nie usłyszysz wszystkiego — rzekła Katarzyna, nie puszczając jej ramienia — inaczej wobec całego dworu powtórzę moje słowa. Tyś śmiała wystąpić ze mną do walki, ale ciężko to odpokutujesz, pamiętaj!... Patrz na nią, Henryku, czy widzisz jak drży i blednie wobec prawej, obrażonej przez nią małżonki? Nie śmiesz, nie możesz nawet spojrzeć mi w oczy, bezwstydna!

— O Henryku! — załkała Anna.

— Sama tego chciałaś—odparł król posepnie.

— Jeżeli teraz cierpisz, cóż to będzie wtenczas, kiedy zkolei będziesz musiała ustąpić wobec szczęśliwej współzawodniczki — mówiła nieubłagana Katarzyna — skoro twoje wdzięki przeminą, Henryk wspomni wtedy na moje słowa i będzie pamiętał o twoich błędach jedynie.

Anna szlochała, z twarzą w dłonie ukrytą.

— Będziesz ją nienawidziła tak jak ja ciebie nienawidzę, ale nie będziesz miała tój co ja pociechy: poczucia własnej niewinności. Każdy powie, żeś na swój los zasłużyła, a wtedy przypomnisz sobie ilem ja wycierpiała i będziesz gorzko żałować

swoich błędów. A teraz, Henryku — rzekła królowa uroczystym głosem, zwracając się do męża— dałeś mi rękę i słowo monarsze, że jeżeli ta kobieta cię zdradzi, zginie z ręki kata. Czy jesteś gotów powtórzyć tę przysięgę w jej obecności?

— Tak, przy niej obiecuję ci Katarzyno, że śmiercią na rusztowaniu odpokutuje swoją winę — odrzekł król.

— Henryku! — krzyknęła Anna.

— Tak powiedziałem — rzekł król.

— Drżij zatem, Anno Boleyn, drżyj! — zawołała Katarzyna — a kiedy ginąć będziesz haniebną śmiercią, wspomnij sobie, że to ja, nieszczęsna, skrzywdzona przez ciebie królowa, los taki ci przepowiedziałam. Mnie już może nie będzie na świecie, ale w każdym razie spotkamy się na sądzie Boskim.

— Henryku! ratuj mnie! — jęknęła Anna i padła zemdlona w objęcia króla.

— Zabiłaś ją! — krzyknął rozjątrzony.

— Byłoby to szczęściem dla nas obojga — odparła Katarzyna — ale niestety! ona żyć będzie na moję i na swoję zgubę. Ty sam będziesz narzędziem jej kary. Żegnaj cię, Henryku, niech cię Bóg błogosławi!

Włożyła maskę i wyszła z kaplicy.

Tymczasem król starał się ocucić Annę. Otworzyła oczy i wzdrygnęła się na jego widok.

— A więc to prawda? — wyjąkała słabym głosem — a ja myślałam że to sen straszny... Oh! Henryku, krew we mnie zastyga z trwogą! Ale ty

mię nie zabijesz, jak ona mówiła? Przysięgnij, że nie uczynisz tego.

— Jeżeli będziesz mi wierną, nie masz się czego obawiać — odparł król niechętnie — bacz, aby twoje postępowanie było zawsze bez zarzutu, zdaje mi się bowiem, że Katarzyna prawdę mówiła.

— Oh! nie, przysięgam ci, że jestem niewinną! — żywo zawołała Anna — może zbyt chętnie dawałam ucho pochlebnym słówkom francuzkich dworaków, miłosnym przysięgom lorda Percy i sir Tomasza, ale odkąd ty, Najjaśniejszy Panie, raczyłeś zwrócić na mnie uwagę, tamci wszyscy zgaśli, jak gwiazdy przed słońcem. Kocham cię całą duszą, Henryku, ale teraz dopiero rozumiem, jaką krzywdę wyrządziłam Katarzynie. Byle tylko Bóg nie chciał mię ukarać za to!

— Nie wyrządziłaś jej żadnej krzywdy — uspokajał ją Henryk — dawno już myślałem o rozwodzie i, gdybym nawet nie miał zamiaru żenić się z tobą, nie byłbym dłużej żył z Katarzyną. Niech wina spadnie na moją głowę.

— Słowa twoje są dla mnie balsamem, o panie — rzekła Anna — kocham cię tak gorąco, że dla ciebie gotowa jestem poświęcić duszę i ciało... Ha! co to jest? — krzyknęła przerażona.

— Co tobie, najdroższa? — zapytał król.

— Zdawało mi się, że w oknie ujrzałam jakieś straszne szatańskie oblicze.

— To tylko przywidzenie. Nie możesz jeszcze przyjść do siebie i powinnabyś udać się do swoich komnat.

— Oh! Henryku, ty mię nie potępisz, nie wysłuchawszy przedtem — rzekła błagalnie — nie dasz wiary potwarcom. Ja cię kocham i wiecznie kochać będę; wolałabym umrzeć niż przენiewierzyć się tobie choćby myślą.

— Wierzę ci, najdroższa — tkliwie odrzekł król i, podawszy jęj rękę, odprowadził do komnat zamkowych.

II.

B u r z a.

Henryk oddalił się do swoich pokojów i, zasiadłszy nad papierami, do późnej nocy pracował. Znużony zapragnął odetchnąć świeżem powietrzem i bocznemi drzwiami wyszedł na taras północny. Wtem oślepiająca błyskawica rozdarła niebo, a wkrótce potem rozległ się głuchy łoskot grzmotu. Henryk widział, że straszna burza nadchodzi, ale zamiast się cofnąć, poszedł dalej, żeby być jęj świadkiem. Północ biła właśnie na zamkowym zegarze, ciemność panowała taka, że o dwa kroki nic widać nie było.

— Kto idzie? — zawołał głos szyldwacha i ostrze halabardy zabłysło tuż przed Henrykiem.

— Król! — odrzekł monarcha, a w tęg chwili ogniasty wąż znów przebiegł po niebie i oświecił jego oblicze.

— Nie spodziewałem się ujrzeć w tej chwili Waszój Królewskiej Mości — rzekł szyldwach, zniżając halabardę — straszna burza nadchodzi, widzę ją oddawna. Niech mi Wasza Królewska Mość daruje moję śmiałość, ale radziłbym schronić się do zamku.

— Nie lękam ja się burzy, mój bracie! — zaśmiał się Henryk — idź do bramy i zostaw mię samego na tarasie. Gdy będę wracał, zawołam na ciebie.

W tej chwili potężny odgłos grzmotu wstrząsnął całym zamkiem, błyskawica rozjaśniła niebo, a przy jej świetle król ujrzał czarne i groźne chmury zbierające się nad Windsorem. Burza wnet z przerażającą wybuchnęła siłą, piorun uderzał za piorunem, błyskawice bez przerwy krzyżowały się na czarném tle nieba; Henryk wolnym krokiem przechadzał się po tarasie, obojętny na grożące mu niebezpieczeństwo. Nagle oślepiła go okropna jasność i jednocześnie piorun z takim hukiem uderzył opodal w wieżę Wykeham, że król się zachwiał i musiał uchwycić się balustrady. Kiedy się odwrócił, ujrzał przy świetle błyskawicy jakąś wysoką, ohydną postać, stojącą na parapecie, w czaszce jeleniej na głowie; był to Herne, który na rozplamienioném tle nieba wydawał się jakimś olbrzymem, szatańskim zjawiskiem.

Henryk poznał go odrazu i mimowoli za miecz pochwycił.

— Myślałeś, że to tak łatwo mnie się pozbyć? — zaśmiał się duch — choćbyś cały zamek zwałił na

moję głowę, jeszcze potrafiłbym się wydobyć. Ha! ha! ha!

— Czego chcesz odemnie, duchu piekielny? — zapytał król.

— Przyszedłem dotrzymać ci towarzystwa, Henryku — urągał dalej Herne — w taką noc tylko ty i ja możemy być pod gołém niebem. My obaj jednako lubimy odgłos grzmotu i światło błyskawic.

— Precz! szatanie! — krzyknął Henryk — nie chcę z tobą mieć nic wspólnego. Precz do piekła!

— Nie masz nademną żadnej władzy, Henryku — mówił duch, a głos jego górował nad hukiem piorunów — dusza twoja jest równie przewrotna jak moja, a czyn jaki chcesz popełnić godnym jest szatana. Ilekroć będziesz miał dokonać zbrodni, a dokonasz ich dużo jeszcze, ja zawsze ukażę się tobie. Po raz ostatni ujrzysz mię na trzy dni przed śmiercią.

— I ty śmiesz mi to mówić! — z całych sił krzyknął król.

— Żartuję sobie z twoich groźb — odparł Herne z szyderym śmiechem, któremu zawtórował huk piorunu — musisz mię wysłuchać do końca, Henryku angielski. Życie twoje będzie splamione krwią, a miłość twoja stanie się wyrokiem śmierci dla tych, które pokochasz. Lepiej byłoby dla Anny Boleyn, żeby w najlichszej żyła lepiance, niż żeby twoją została małżonką. Zabijesz ją i nie ją jedną tylko; wszystkie zginą z twojej ręki.

— Co chcesz powiedzieć przez „wszystkie?” — zapytał król.

— Dowiesz się o tém kiedyś!—odparł Herne, śmiejąc się złowrogo—a teraz bacz na moje słowa, Henryku. Będziesz się upijał krwią swoich małżonek, aż wreszcie i twoja wybije godzina. Zgnijesz jeszcze za życia i będziesz w strasznych konał męczarniach; po śmierci zaś czeka cię piekło!

Przerażający łoskot wstrząsnął w tój chwili murami zamku, poprzedzony błyskawicą podobną do ognistego węża. Król musiał zmrużyć powieki, a kiedy je otworzył, nikogo nie było już na tarasie.

III.

Na drodze do zguby.

Burza szalała ponad lasem i jeziorem, przejmując trwogą mieszkańców chaty leśnika. Tak on jak wnuczka zerwali się z łoża i siedzieli razem w izbie, słuchając ze drżeniem straszego huku piorunów. Mabel nigdy jeszcze nie widziała tak przerażającej nawałnicy i, rzuciwszy się na kolana, odmawiała modlitwy do Najświętszej Panny. Stary leśnik słuchał burzy z brwią posepnie ściągniętą, ale choć na jego twarzy także malowała się obawa, nie przeżegnał się ani razu i nie wymówił ani jednego słowa modlitwy. Burza oddalała się powoli, zdawało się, że wszystko skończone, kiedy wtem nowe nadciągnęły chmury, przerzynane co chwila oślepiającymi wężami błyskawic. Łoskot grzmotu wstrząsał

wątlami ścianami chatki, Mabel na pół martwa z trwogi padła znowu na kolana i, modląc się żarliwie, z niepokojem spoglądała na ponure oblicze leśnika.

— Dlaczego nie przeżegnasz się, dziadku? — zapytała nakoniec — ojciec Anzelm i siostra Anastazyja zawsze mię uczyli, że podczas burzy należy czynić znak krzyża i odmawiać pacierze.

— Daj mi pokój — odparł Tristram — ja się nie lękam.

— Jesteś tak blady, dziadku, i drżysz z trwogi — mówiła Mabel — ach! czemu ty się nie modlisz?

— Milcz, dziewczyno, i pilnuj siebie! — ofuknął starzec — burza wkrótce przejdzie. Już i tak trwa przeszło godzinę.

— Boże! ratuj nas! — krzyknęła Mabel — piorun uderzył w chatę.

Zapach siarki rozszedł się po izbie.

Tristram wybiegł, a za nim podążyła wnuczka. Płomienie już się wydobywały z dachu, ale wtem z zarośli wybiegło dwóch ludzi i wraz z leśnikiem rzucili się do gaszenia ognia. Mabel patrzyła na nich osłupiałym wzrokiem: poznała Walentego Hagthorne i Morgana Fenwolf. Wkrótce udało im się stłumić pożar, ale Tristram już nie wrócił do chaty. Dziewczyna przez okno widziała, jak przy świetle błyskawic odpływał łódką z Morganem, kiedy Hagthorne wskoczył tymczasem na karego wierzchowca i popędził w głąb lasu. Burza oddalała się teraz, tylko od czasu do czasu fosforyczny blask rozświecał

niebo, a po nim rozlegał się głuchy odgłos grzmotu. Znużone dziewczę rzuciło się wreszcie na posłanie i twardy sen skleił jój powieki.

Kiedy się obudziła, słońce już było wysoko na niebie, ale dziadek jeszcze nie powrócił. Smutna i niespokojna wzięła się do roboty, lecz myśl o dzisiejszej bytności w zamku niebawem rozproszyła jój smutek. Kapitanowi Bouchier bardzo łatwo przyszło skłonić ją do tego; trudniejsza nieco sprawa była ze starym leśnikiem, ale i on w końcu zezwolił, stawiając jeden tylko warunek, ażeby wnuczce towarzyszył podeszły sokolnik Mikołaj Clamp, któremu ufał zupełnie.

O piątój popołudniu zjawił on się w chacie leśnika i zastał dziewczynę już wystrojoną i gotową do drogi. Dzień był prześliczny, park najcudniejszą jaśniał zielenią, ale Mabel zajęta własnymi myślami nie zwracała uwagi ani na piękności natury, ani na słowa Mikołaja, który opowiadał jój o szkodach zrządzonych przez ostatnią burzę. Nagle z poza olbrzymiego dębu wybiegł Morgan Fenwolf i zagroził im drogę; odzież jego była w łachmanach, wzrok dziki, oblicze ponure.

— Czekałem na ciebie, Mabel — rzekł — musisz wrócić ze mną do dziadka.

— Kłamiesz! — odparła dziewczyna — dziadek nie mógł cię przysłać, a choćby to uczynił, jabym z tobą nie poszła.

— Matko Boska! — zawołał Mikołaj Clamp — czy mię oczy nie mylą? Wszakże to Morgan Fenwolf!

— Chodź ze mną, Mabel! — nalegał leśnik, nie zważając na niego.

Dziewczyna odwróciła się z pogardą.

— Ona miałaby iść z tobą, zdrajco! — zawołał sokolnik — poddaj się zaraz! Wiesz, że jesteś skazany.

— Drwię sobie z ciebie i z twoich pogroźek — szyderczo odparł Morgan — Mabel, po raz ostatni rozkazuję ci w imieniu twego dziadka, ażebyś szła ze mną. Zobaczymy, czy Mikołaj Clamp przeszkodzi temu!

— Mikołaj Clamp co innego potrafi! — krzyknął rozjątrzony sokolnik, rzucając się na niego z kijem — poddaj się, psie!

Fenwolf wyciągnął nóż, ale przeciwnik wytrącił mu go z ręki uderzeniem kija. Nie wiadomo jaki obrót przybrałaby walka, lecz wtém dał się słyszeć tętent koni od strony Windsoru. Fenwolf odtrącił Mikołaja i skoczył w zarośla. Za chwilę nadjechał kapitan Bouchier i, dowiedziawszy się o tém co zaszło, natychmiast wysłał kilku ludzi w pogoń za zbiegłym.

Tymczasem Mabel i jój towarzysz dostali się bez przeszkody do bram zamku, dokąd ich wpuszczono natychmiast. Na zapytanie Mikołaja, gdzie mają się udać, wskazano im drogę do kuchni królewskiej.

Była to ogromna izba sklepiona, o siedmiu kominach, przy których piekły się całe ćwierci mięsa, drób i zwierzyna. Kilku kucharzy i kilkunastu kuchcików kręciło się wokoło nich, a przy wielkim stole ustawionym w pośrodku siedzieli:

kuchmistrz, krajczy królewski, piwniczny, Giovanni Gevello minstrel włoski ulubieniec Anny Boleyn, Domenico Lamellino pół chirurg, pół alchemik, pół astrolog, Will Sommers trefniś królewski i kilku gwardzistów. Zajadali oni w najlepsze pieczoną wołowinę, pasztet ze zwierzyny i tłuste kapłony, zapijając miodem i piwem.

Na widok wnuczki leśnika, Will Sommers zerwał się i, kłaniając jęj się z pocieszną wymuszością, rzekł:

— Witaj piękna panno w kuchni królewskiej! Wszyscy jesteśmy ci bardzo radzi, nieprawdaż towarzysze?

— Prawda! Prawda! — zakrzyknęli chórem.

— Ależ to cud urody! — zauważył jeden z gwardzistów.

— Nic dziwnego, że króla oczarowała — wtrącił krajczy.

— Ułożę *canzonette* na jęj cześć i zaśpiewam naszemu panu! — zawołał minstrel.

— Po to, żeby Anna Boleyn kazała cię oćwiczyć — rzekł piwniczny.

— Myślałam, że ona piękniejsza — zauważyła jedna z dziewcząt służebnych.

— W każdym razie nie można jęj porównywać z tobą, Kasiu — złośliwie odparł krajczy.

— Daruj, nadobna panienko, że nie wstaję na twoje powitanie—rzekł opasły kuchmistrz, Szymon Quanden — ale napracowałem się tyle przez dzień cały, że nogi nie chcą mię słuchać. Zajmij się nią,

matko — dodał, zwracając się do swojej połowicy, równie jak on tęgiej i czerwonej.

— Co będziesz jadła, koteczko? — zapytała Debora — może kawałek kapłona, albo słodkiego placka, albo pasztetu?

— Dziękuję, nie jestem głodna — odrzekła Mabel.

— Ale to się nie godzi, ślicznotko — nalegała Debora — ktokolwiek wejdzie do kuchni królewskiej, musi szkosztować królewskiego jadła.

— Bardzo wam jestem wdzięczna, ale nic jeść nie będę — odrzekło dziewczę.

— Nie chcę cię zmuszać, lecz wina to się napijesz — mówiła poczciwa kobiecina.

— Chciéj zwrócić uwagę na te dwa psy, panielko — rzekł Will Sommers, wskazując na dwa jamniki leżące pod stołem — nazywają się Hob i Nob, a kochają się jak bracia. Jedzą zawsze z jednej miski, piją z jednego kubka i żyć bez siebie nie mogą. Raz zamknąłem każdego z osobna, ale wyły tak żałośnie, że po kilku godzinach musiałem je wypuścić. O mało nie powaryowały z radości. Masz, Hob—dodał, dając jednemu kawałek chleba — podziel się z bratem.

Pies skwapliwie pochwycił chleb i, przegryzłszy go zębami na dwie części, większą dał towarzyszowi.

Kiedy Mabel zachwycała się temi dowodami psiego rozumu i przywiązania, do kuchni wpadła dziwaczna postać przybrana w szaty zszyte z różnokolorowych gałganków, w błazeńskiej czapce

z dzwonkami. Poznała go odrazu, był to śmieszek kardynała, Patch. On ją także poznał i stanął zdumiony.

— Cóż cię tu sprowadza, kumie? — zapytał Will Sommers—myślałem, że jesteś w Blackfriars wraz ze swoim panem.

— Obaj wracamy właśnie ztamąd — odrzekł trefniś.

— I cóż? jakiż wyrok zapadł?—zawołał Will—czy król dostał rozwód? Mów prędzej!

— Mów! mów! — nalegano zewsząd.

Kucharze porzucili pieczenie i udźce, kuchciki różny, a gwardziści szklanki; wszyscy otoczyli kołem trefnisia, sam nawet opasły kuchmistrz podniósł się z ławy.

— Nigdy nie mówię na czczo — poważnie oświadczył Patch, nalewając sobie szklankę miodu—za twoje zdrowie, piękna panienko—dodał, kłaniając się Mabeli—teraz słuchajcie! Sąd odbędzie się za trzy dni dopiero, królowa Katarzyna zażądała tej zwłoki, ażeby się przygotować do obrony.

— Bodajesz przepadł! — zawołał Will Sommers—ręczę, że ta zwłoka to nowy wybieg twego chytrego pana. Gdybym był królem, tobym wiedział co czynić?

— I cóżbyś uczynił, przeklęty łotrze? — krzyknął rozgniewany Patch.

— Zabrałbym mu wszystkie bogactwa i z tysiąca sług zostawiłbym mu tylko ciebie, nagodniejszego towarzysza.

— Czekaj, mój pan będzie o tém wiedział

i każe cię wychłostać — wrzasnął ze złością Patch, podczas kiedy wszyscy śmieli się do rozpuku.

— Wcale go się nie boję — odparł Will — jeszcze nie powiedziałem królowi, jakie wino znalazłem w piwnicy kardynała.

— Jakież to było wino? — ciekawie pytano wokoło.

— Zaraz się dowiecie — rzekł trefniś królewski — kiedy byłem z naszym miłościwym panem w Hampton, ten oto niezabawny błazen zaprosił mię do piwnicy kardynała na wino. Poszliśmy obaj, ale próżno odkręcamy kurki, nic nie leci. Próbowaliśmy tak ze sześć beczek, aż w końcu mię to znudziło, porwałem młot i wybiłem jedną klepkę. Zgadnijcie, co było w beczkach?

Wszyscy ze śmiechem zaczęli zgadywać; Patch starał się nakazać milczenie swemu gadatliwemu koledze, ale Will go wcale nie słuchał.

— Nie, nie było tam ani octu, ani oleju, ani ołowiu, tylko złoto! — zawołał tryumfująco — sztaby czystego złota. Każda beczka była warta najmniej dziesięć tysięcy funtów.

— Nie wiercie mu! — krzyczał Patch, kiedy inni pokładali się ze śmiechu — to jego wymysł złośliwy. Mój pan żadnych skarbów nie posiada. Will Sommers upił się wtedy małmazją i śniło mu się, że rozbija beczki ze złotem.

— To wcale nie bajka — odparł trefniś — przekonacie się o tém, skoro król weźmie się do zbadania téj sprawy.

— To wszystko fałsz! — wrzeszczał Patch —

głowę moję stawiam w zakład, że w piwnicy niema złota.

— Postaw lepiej swoje czapkę, ona więcéj warta od głowy! — zawołał Will, zrywając mu czapkę — patrzcie! panowie, oto herb kardynała Wolsey.

Kuchnia aż się zatrzęsała od śmiechu.

— Oj! oj! chyba umrę! — wołał kuchmistrz, trzymając się za boki.

Patch zerwał się jak wściekły i, machając rękoma, krzyczał ochrypłym głosem:

— Dobrześ zrobił, żeś mi ukradł czapkę błażeńską, ona z prawa należy do ciebie! Swoję możesz dać swemu panu, będzie z was godna para.

— A teraz biorę was wszystkich za świadków, że Patch ubliżył Najjaśniejszemu Panu — poważnie rzekł Will Sommers — nie będzie mu to darowane, jako żywo.

Zaledwie skończył te słowa, do kuchni wszedł jeden z dworzan, oznajmiając przybycie Jego Królewskiej Mości.

IV.

Walka między trefnisiemi.

Mabel usłyszawszy to pobladła nagle a potem pokraśniała jak wiśnia, serce jéj biło gwałtownie.

Biedny Patch był w rozpacz, nietyłe jednak lękał się o własną skórę ile o swego pana, do którego był szczerze przywiązany. Spojrzał błagalnie na Willa, ale ten odpowiedział mu szyderczym śmiechem. Poczciwy Szymon Quanden prosił zkolei królewskiego trefnisa, żeby nie posuwał żartu za daleko, lecz Will Sommers był nieubłagany.

Henryk miał zwyczaj zwiedzać od czasu do czasu wszystkie zakątki zamku i rozmawiać łaskawie ze służbą i czeladzią; biada jednak temu, któryby zaufał jego dobremu humorowi. Dostyc było drobnostki, ażeby zbudzić tygrysią naturę, a wtedy każdy drżał o swoje życie.

Wiadomość, że sprawa rozwodowa odroczonej została na trzy dni pod nader błahym pozorem, mocno rozjątrzyła króla. Szedł właśnie do Anny Boleyn, kiedy w dziedzińcu spotkał kapitana Bouchier, który mu oznajmił przybycie Mabeli. Henryk w jednej chwili zmienił zamiar i zamiast do komnat Anny, udał się do kuchni.

Zbliżywszy się do wnuczki leśnika, pogłaskał ją pod brodę i rzekł do ucha kilka słów pochlebnych, które wywołały silniejsze jeszcze rumieńce na lica dziewczęcia.

— Héj! co tu robisz, łotrze? — zapytał, spozstrzegając Willa Sommers.

— Jabym prędzéj mógł zapytać o to Waszą Królewską Mość — odparł trefniś — nie czynię jednak tego.

— Przyszedłem zobaczyć, czy tu wszystko jest w porządku — odrzekł król, siadając. — Ha, jak się

macie, Hob i Nob? — dodał, głaszcząc oba jamniki, które z radosném skowyczeniem rzuciły się do niego. — Daj im jaką kość, mości kuchmistrzu, i powiedz, żeby nie przerywano roboty. Wcale sobie nie życzę, aby w skutek mojej obecności wieczerza miała ucierpieć. Cóż tak patrzysz na mnie, Will? Czy masz co do powiedzenia?

— Muszę oskarżyć tego łotra przed Waszą Królewską Mością — rzekł trefniś, wskazując na Patcha.

— Przyciął ci pewno zaostro — roześmiał się król — no, to sam się z nim rozpraw, bo ja nie myślę rozsądzać sporów między błaznami.

— Pytanie, kto z nas większy błazen — mruknął Will do siebie. — Nie o mnie tu idzie — rzekł głośno — ten szubienicznik ośmielił się mówić ubliżająco o Waszej Królewskiej Mości, w obecności wszystkich zebranych tu osób. Dalej oskarżam kardynała Wolsey, że w piwnicach Hampton posiada ogromne skarby, zebrane dzięki zdzierstwu, chciwości i pokątnym praktykom z obcemi mocarstwami. Skarby te powinny przejść na rzecz królewskiego skarbu.

— I przejdą tam, jeżeli to nie jest bajką — odpowiedział Henryk.

— To najczystsza prawda — oświadczył Will i powtórzył historią o sztabach złota ukrytych w beczce.

— Czyż to być może? — zawołał król.

— Fałsz i kłamstwo, Najjaśniejszy Panie! — krzyknął Patch, rzucając mu się do nóg — Will

upił się w piwnicy i teraz sam nie wie co bredzi. Co do mnie, nie byłbym się nigdy ośmielił mówić w sposób ubliżający o Waszej Królewskiej Mości, gdyby ten łotr nie był mnie zmusił do tego swemi przycinkami.

— Każę natychmiast przeprowadzić śledztwo, ile jest prawdy w tój powieści o skarbach — rzekł Henryk. — Co się tyczy waszego sporu, w ten sposób chcę go rozsądzić: wejdźcie obaj na stół, każdy dostanie worek mąki, a kto pierwszy zrzuci drugiego, będzie ogłoszony zwycięzcą.

Obecnym podobał się bardzo wyrok królewski; wnet sprzątnięto wszystko ze stołu i przyniesiono dwa worki z mąką. Przeciwnicy usadowili się na nich i zaczęli wykrzywiać się tak pociesznie, że król brał się za boki od śmiechu. Wtém Patch zamierzył się na Willa, ale ten uniknął ciosu i, przewróciwszy współzawodnika, wymierzył mu kilka potężnych razów. Ból dodał siły obitemu trefnisiowi, podniósł się żywo i z taką zawziętością rzucił się na przeciwnika, że o mało nie ściągnął go ze stołu. Will miał jednak tyle przytomności, że w ostatniej chwili podsunął mu swój worek. Patch uderzył w niego pięścią, płótno pękło i tuman mąki oślepił obu walczących. Wyglądali tak pociesznie, że król aż się położył na krześle, a cała kuchnia trzęsła się od śmiechu. Nawet jamniki zaczęły poszczekiwać wesolo.

— Dzielnie walczą, jako żywo! — zawołał Henryk — nie wiadomo jeszcze kto zwycięży. Dalej! łotry!

Patch i Will znów wzięli się za bary i naraz spadli obaj ze stołu, ku wielkiej ucieście publiczności. Po raz drugi wdrapali się na worki z mąką i rozpoczęli zawziętą bójkę, która jakiś czas trwała bez żadnego skutku. Wśród obłoków mąki i kurzu, nie widać było żadnego, tylko od czasu do czasu rozlegały się razy.

— Nie możemy wprawdzie widzieć szermierzy, ale zato słyszymy odgłos bitwy — zauważył Henryk.

Nagle jeden z walczących spadł z łoskotem na ziemię.

— A któryż tu leży? — zawołał król.

— Patch — odrzekł żaloszny głos trefnisia, który podniósł się z ziemi podobny do młynarza ubielonego mąką.

— Idź się umyć i oczyścić — rzekł król śmiejąc się—przez wzgląd na karę, jaką poniosłeś, daruję ci twoją winę.

Powstał i zbliżył się do wnuczki leśnika, mocno ubawioną tą sceną.

— Mam nadzieję, że ci na niczem nie zbywało, piękna panienko, i że cię podejmowano równie gościnnie, jak ty nas podejmowałaś w swojej chacie?— rzekł łaskawie.

— Miałam wszystko, czego potrzebowałam — nieśmiało odrzekła Mabel.

— Pani kuchmistrzowa zaopiekuje się tobą aż do jutra; potem zaś wejdiesz w służbę jednej z dam dworskich.

— Dziękuję Waszój Królewskiej Mości, ale wolałabym wrócić do dziadka—zaczęła dziewczyna.

— To zbyt uczynne, bo twój dziadek jest w zamku — rzekł król, marszcząc czoło.

— Czyżby zasłużył na twoją niechęć, Najjaśniejszy Panie? — z niepokojem zapytało dziewczę.

— Zarzucają mu stosunki z ludźmi wyjętymi z pod prawa — odrzekł król; — radbym, żeby zdołał się uniewinnić.

Mabel zadrżała; przyszło jej na myśl to, co widziała ostatniej nocy. Król zauważył jej pomieszenie i dodał łagodniej:

— Bądź spokojna, Mabel; jeżeli twój dziadek wyzna prawdę, nic mu nie będzie. Zostawiam cię tu pod opieką pani Quanden, jutro zaś wejdiesz w służbę lady Elżbiety Fitz-Gerald.

Oddalił się wraz z dworzanami, nie spojrzawszy już na nią. Poczciwa żona kuchmistrza zajęła się natychmiast dziewczyną i widząc, że jej oczy są łez pełne, zaprowadziła ją do osobnego stoliczka zastawionego ciastem i winem.

— Bądź dobrej myśli, serce ty moje — rzekła dobrotliwie — nic złego nie stanie się twemu dziadkowi. Król go uwolni przez wzgląd na ciebie.

— Wolałam króla takim, jakim go widziałam w naszej chacie — rzekła Mabel, uśmiechając się przez łzy — tu ledwo że zwrócił na mnie uwagę.

— Nie mógł inaczej postąpić wobec tylu świadków — tłumaczyła Debora; — zresztą, prawdę mówiąc, lepiej byłoby, żeby wcale na ciebie nie zwracał uwagi.

Dziewczę się zapłoniło i spuściło oczy.

, — Powinnaś się cieszyć, że będziesz w służbie

lady Elżbiety Fitzgerald — mówiła dalej Debora — śliczna to pani, a dobra i łagodna jak anioł. Syn królewski, książę Richmond, kocha się w niej szalenie, ona jednak woli młodego hrabiego Surrey, jego przyjaciela. Raz, pogniwiali się o nią i pojedynkowali nawet; na szczęście zdołano ich rozdzielić. Król się bardzo rozgniewał i kazał uwięzić hrabiego.

— Jakże go żałuję i lady Elżbiety także — z uczuciem rzekła Mabel — będę bardzo rada służyć takiej pani.

— Hrabia cały dzień ślęczy nad księgami, albo pisze poezye — opowiadała Debora — nauczył się pewno téj sztuki od swego przyjaciela sir Tomasza Wyatt.

— Sir Tomasz jest jego przyjacielem? — żywo zapytała Mabel.

— I to najlepszym. Czy znasz sir Tomasza, kochanko?

— Raz tylko go widziałam — odrzekła pomieszana dziewczyna.

— Przed wyjazdem do Francyi przebywał jakiś czas w tutejszych lasach — mówiła Debora — powiadano nawet, że się przyłączył do bandy Herna, ale to pewno bajka.

— Czy jeszcze nie powrócił? — zagadnęła Mabel.

— Jeszcze nie, ale w każdym razie nieprędko pokaże się w zamku — rzekła Debora, zniżając głos — król jest zazdrosny o niego. Starał on się poprzednio o względy lady Anny Boleyn i szalenie

jest w nią zakochany. Powiadają, że wysłano go do Francji ażeby się pozbyć.

— Biedny sir Tomasz! — westchnęła Mabel.

— Biedniejsza Mabel Lynwood, jeżeli uwierzy słodkim słówkom królewskim — poważnie rzekła Debora.

Tymczasem robota w kuchni szła zwykłym trybem; kierował nią opasły kuchmistrz i nie spoczął dopóki wieczerza nie została podaną na stół królewski. Wtedy dopiero wygodnie rozsiadł się w swoim krześle i z kolei wziął się do szklanki. Rozmowa zesłała na Herna, a ponieważ mało kto znał legendę o duchu Myśliwca, Hektor Cupbeard, krajczy królewski, ofiarował się ją opowiedzieć.

V.

Legenda o duchu Myśliwca.

„Może ze sto pięćdziesiąt lat temu, za panowania Ryszarda II — opowiadał Cupbeard — między leśnikami królewskimi był jeden nazwiskiem Herne. Nikt zręczniejszym od niego nie był myśliwym, nic dziwnego też, że miał wielkie łaski u króla, który, podobnie jak nasz miłościwy pan, namiętnie lubił łowy. Często też polowali razem, król nie mógł się obejść bez Herna, ale im większą okazywał mu zyczliwość, tém silniej wzrastała nienawiść innych leśników dla ulubieńca królewskiego. Raz

podczas łowów, olbrzymi jeleni wyrwał się z gęstwiny i tak rączo uciekał, że w końcu wszystkich myśliwych pozostawił daleko za sobą. Jeden tylko król dotrzymywał mu placu, a z nim Herne. Szlachetne zwierzę przywiedzione do ostateczności, zwróciło się wreszcie przeciw nim i jedném uderzeniem potężnych rogów przebiło pierś królewskiego wierzchowca. Chwila jeszcze, a sam Ryszard padłby ofiarą rozjuszonego jelenia, ale Herne rzucił się między nich i otrzymał cios przeznaczony dla monarchy. Mimoto zdołał zadać śmierć zwierzęciu.

— Co mógłbym uczynić dla ciebie? — zawołał król przejęty wdzięcznością i żalem.

— Niczego mi już nie trzeba, panie — jęknął Herne — grób mię tylko czeka.

— Najlepszy mój chirurg opatrzy twoją ranę — rzekł król — jeżeli wyzdrowiejesz, zostaniesz nadleśnym w tych lasach, jeżeli umrzesz, zakupię sto Mszy za twoją duszę.

— Przyjmuję to ostatnie — smutnie rzekł Herne i zemdlął.

Ryszard zatrąbił w róg i wnet cały orszak pospieszył na miejsce, gdzie leżał zabity jeleni i ranny leśnik. Towarzysze jego ucieszyli się bardzo na ten widok, ale głośno ubolewali nad nieszczęściem, jakie się stało.

— Dałbym sutą nagrodę temu, kto by go wyleczył — zawołał król zmartwiony.

Zaledwie wymówił te słowa, jakiś wysoki, śniady człowiek wyszedł nagle z poza drzew i rzekł:

— Ja się tego podejmę.

— Kto jesteś? — zapytał król ze zdumieniem.

— Mniejsza o to kto jestem — odparł nieznajomy — znam się na chirurgii i na medycynie.

— I na myśliwstwie także! — zawołał król — ręczę, że nieraz polujesz skrycie w moich lasach.

— Podobny jest do Arnolda Sheafe, który został skazany na więzienie za kradzież zwierzyny — zauważył jeden z leśników.

— Mylisz się — odparł nieznajomy — nazywam się Filip Urswick, mieszkam w samotnej chacie pod lasem i powtarzam, że podejmuję się wyleczyć tego człowieka.

— Jeżeli tego dokonasz, otrzymasz nie tylko sutą nagrodę, ale i przebaczenie za wszystkie winy, jakie mogłeś popełnić — zawołał król.

— Zgoda — rzekł Urswick i, odciawszy łeb jeleniowi, kazał go przywiązać do rany Herna.

— Za miesiąc będzie zdrow zupełnie — dodał — ale ja sam czuwać nad nim muszę. W tym celu żądam, żeby go przeniesiono do mojej chaty.

Król rozkazał zrobić nosze z gałęzi i przenieść rannego leśnika do chaty Urswicka, położonej pod lasem, w dzikiej i pustej okolicy.

— Szkoda, że go jeleni nie zabił — mruknął jeden z towarzyszy Herna, a wszyscy powtórzyli to życzenie.

— Widzę, że go nienawidzicie — zauważył Urswick — on żyć będzie, bo obiecałem królowi, że go wyleczę, ale co byście mi dali za to, gdybym go pozbawił siły i zręczności, z jakich słynął?

— Jesteś chyba szatanem, jeżeli możesz to uczynić! — zawołał jeden z leśników.

— Mniejsza o to kim jestem — odparł Urswick — ale w zamian czy przyrzekacie spełnić pierwsze żądanie, jakie do was zaniosę?

— Przyrzekamy! — zawołali.

— A więc dobrze — tryumfująco rzekł Urswick — wezmę się zaraz do dzieła.

W miesiąc później zjawił się w zamku wraz z wyleczonym leśnikiem i otrzymał w nagrodę sakiewkę pełną złota. Herne dostał mieszkanie w zamku, złoty łańcuch i miejsce nadleśnego. Wkrótce król rozkazał mu towarzyszyć sobie na polowanie, ale zaledwie Herne dosiadł wierzchowca, ten się spiął i rzucił go na ziemię. Wszyscy się bardzo zdumieli, gdyż po raz pierwszy dopiero zdarzyła mu się taka przygoda. Wkrótce psy wytropiły jelenia; cały orszak puścił się za nim, tylko Herne pozostał w tyle.

— Wyszedłeś z wprawy — rzekł król — śmiejąc się—ale strzelać pewno nie zapomniałeś. Patrz, niedaleko stąd pasie się daniel, łatwo możesz go trafić.

Herne zmierzył i chybił. Leśnicy spojrzeli na siebie ze skrytą radością — Urswick dotrzymał słowa.

Odtąd nic się nie wiodło nieszczęśliwemu Hernowi. Koń nie chciał go słuchać, zwierzyna mu się wymykała, wszystkie strzały chybiały.

— Zostawiam ci jeszcze tydzień czasu — rzekł król zniecierpliwiony — jeżeli nie odzyskasz dawniej

swojej zręczności i wprawy, będę musiał odebrać ci miejsce nadleśnego.

Herne zdjęty rozpaczą błakał się długo po lesie, aż w końcu rozum mu się pomieszał. Zrobił sobie hełm z czaszki jeleniej, popełniał tysiące szaleństw, aż w końcu powiesił się na dębie, który odtąd nosi jego miano. Spostrzegł go tam jakiś przechodzień i coprędzej dał znać do zamku, ale zanim ludzie przybiegli, ciała już nie było na drzewie; pozostała tylko odcięta lina.

Tego samego dnia straszna burza srożyła się nad Windsorem i piorun oderzył w dąb na którym powiesił się Herne. Miejsce nadleśnego otrzymał jeden z najzawziętszych jego wrogów, Osmond, ale od tego czasu jakaś niemoc opanowała dłoń jego, każda strzała mu chybiała, każdy wierzchowiec go zrzucał, każda zwierzyna uciekała. Nie chcąc się wystawiać na pośmiewisko towarzyszy, udał chorobę i prosił Rogera Barfort, żeby go zastąpił. Temu nie lepiej się wiodło, odstąpił więc miejsca innemu, ale cóż się pokazało? Oto wszyscy byli jak zaczarowani; dłonie ich pętała moc jakaś nieznaną.

Lękając się, żeby król ich nie wypędził lub nie ukarał surowo, udali się po radę i pomoc do Urswicka. Ten, wysłuchawszy ich, rzekł:

— Krew Herna jest na waszych głowach. Jeden jest tylko sposób zdjęcia uroku: idźcie o północy pod drzewo, na którym on się powiesił, a tam się dowiecie, co wam czynić wypada.

Leśnicy radzi nieradzi usłuchali go jednak i bez względu na noc ciemną i burzliwą stanęli pod

przeklętym dębem. Wkrótce zabłysło tam światelko podobne do błędnego ognika i ukazała im się straszna postać w czaszce jeleniej na głowie. Poznali Herna i padli przerażeni na ziemię.

Duch straszne miotał przekleństwa, a w końcu rozkazał im, żeby nazajutrz o północy przyprowadzili w to samo miejsce wierzchowce i psy gończe.

Urswick, powiadomiony przez nich o wszystkim, radził, żeby usłuchali rozkazu widma i polecił im nadto przyprowadzić z sobą karego rumaka, który niegdyś należał do Herna. Obawiając się jeszcze gorszych następstw, postanowili pójść za wezwaniem widma i o naznaczonej godzinie stawili się wszyscy pod dębem. Zdaleka już ujrzeli tajemnicze światelko i wysoką postać Herna, który zaraz skoczył na swego wierzchowca i, krzyknąwszy: „Za mną!” popędził nad jezioro. Tam zatrzymał się pod olbrzymim bukiem i krzyknął trzykrotnie jak puhacz. Na to wezwanie ukazał się nagle Urswick i zawołał gromkim głosem:

— Witaj, Herne, władco tego lasu! Witajcie jego towarzysze! Czas żebyście spełnili waszą obietnicę. Otóż żądam od was, ażebyście uznali Herna za waszego pana, przysięgli mu wierność i posłuszeństwo i towarzyszyli mu we wszystkich łowach i wyprawach. Tylko pod tym warunkiem zdjęty z was będzie urok. Inaczéj drżycie!

Przerażeni leśnicy wykonali przysięgę, a potem rozpoczęły się łowy pod przewodnictwem Herna. Na godzinę przed wschodem słońca kazał im złożyć wszystkę ubitą zwierzynę pod dębem, a po-

tem pozwolił im wrócić do domu. Nazajutrz o północy mieli się zjechać o tój samój porze i w to samo miejsce.

Odtąd co noc odbywały się po lesie piekielne łowy; zapóźnieni podróżni słyszeli odgłos rogu, tętent koni i psów szczekanie, aż w końcu wiadomość o tém doszła do króla. Zaciekawiony coby to być mogło, postanowił sam się przekonać o prawdzie i rozkazał leśnikom, żeby mu towarzyszyli w nocnej wyprawie. Strach wielki padł na nich; starali się odwieść króla od tego zamiaru, ale to się na nic nie zdało. O północy zebrali się wszyscy pod przeklętym dębem i stanęli jak wryci na widok Herna, siedzącego na karym rumaku.

— Dlaczego mącisz spokój tych lasów, duchu nieczysty? — zapytał król Ryszard.

— Pragnę się pomścić na moich wrogach — odpowiedziało widmo — Osmond Croohe i jego towarzysze winni są mojemu nieszczęściu. Każ ich powiesić, a przyrzekam, że dopóki ty panować będziesz, ja się w tych lasach nie pokażę.

Śmiertelna trwoga ogarnęła winowajców; przyznali się do wszystkiego i zostali powieszani na tym samym dębie. Herne dotrzymał słowa i dopóki Ryszard II panował, nie było słychać o duchu Myśliwca. Ukazał się w lasach dopiero po wstąpieniu na tron Henryka IV i odtąd żaden z siedmiu monarchów, jacy po nim panowali, nie zdołał sobie dać z nim rady.

— I żaden nie zdoła — odezwał się jakiś głos

nieznany — Dopóki stanie lasu w Windsorze, Herne zawsze przebywać w nim będzie.

Wszyscy odwrócili się zdumieni i ujrzeli wysokiego, nieznanego mężczyznę w ubiorze łuczника królewskiego.

— Muszę sprostować twoje opowiadanie, mości Cutbeard — ciągnął dalej przybysz — Herne sprzedał swoją duszę szatanowi nie przez pragnienie zemsty, lecz przez miłość dla pięknej mniszki, którą porwał z klasztoru. Była ona zupełnie podobna do tej panny — dodał, wskazując na wnuczkę leśnika — uroda jej zgubiła ich oboje: Herne zabił ją w przystępie zazdrości, a potem sam odebrał sobie życie.

I zanim obecni zdołali ochłonąć ze zdumienia, wysoki łucznik opuścił kuchnię.

— Kto to był? — zapytał Cutbeard.

Ale nikt go nie znał i nikt przedtem nie widział.

— A ty, Mabel, nie spotkałaś go nigdy? — zagadnęła Debora.

— Zdaje mi się, że raz go widziałam — odrzekło dziewczę wzdrygając się.

— To chyba był sam Herne — szepnął Shoreditch do Paddingtona.

— Być może — cicho odrzekł tamten — aż mię mrowie przeszło, kiedy na mnie spojrział.

— Musisz być zmęczona, kochanko — rzekła Debora do Mabeli — chodź, zaprowadzę cię do twego pokoju.

Dziewczę z radością poszło za wezwaniem poczciwej pani kuchmistrzowej, która zaprowadziła ją do wygodnej izby, nie szczędząc rad i uwag rozsądnych.

VI.

Nocne hałasy.

Król, wyszedłszy z kuchni, udał się do więzienia, żeby wybadać Tristrama Lynwood. Starzec siedział na ławce ze związanymi w tył rękoma, ale ani prośby ani groźby nie zdołały wymódcz na nim żadnego zeznania. Zniecierpliwiony Henryk kazał go przenieść do wieży Curfew.

— Znajdę ja sposób, żeby przełamać jego upór — rzekł do kapitana Bouchier — liczę dużo na pomoc pięknej Mabel. Dziś w nocy będę go badał w jej obecności.

— Dziś w nocy! — zawołał Bouchier.

— Nieinaczéj. Raz muszę rozwikłać tę szatańską sprawę, choćby nawet kosztem życia téj czarującej dziewczeczki. Kto wie, czy Herne nie będzie próbował wyswobodzić więźnia; trzeba strzedz pilnie wieży, kapitanie; jeden żołnierz niech stoi przed bramą, drugi na górze u drzwi celi, ty zaś zajmij z kilkoma halabardzistami posterunek na szczycie wieży, ażeby nikt z zewnątrz nie mógł się do niej dostać. Pilnuj dobrze więźnia, Bouchier, gdyż będziesz odpowiedzialny za niego.

— Uczynię wszystko co jest w mojej mocy, Miłościwy Panie — odrzekł kapitan; — gdyby tu szło o zwyczajnego śmiertelnika, nie obawiałbym się niczego, ale cóż poradzić przeciwko złemu duchowi?

— Słyszałeś moje rozkazy, pamiętaj zastosować się do nich — ostro odparł król — wkrótce tu powrócę.

— Bouchier był odważny jak lew, a jednak tym razem z niechęcią spełniał rozkazy królewskie; żołnierze również, choć znani z dzielności, byli niepokojni i zestraszeni. Wszyscy teraz obawiali się Herna; sama myśl spotkania się z nim najmężniejsze serca przejmowała lękiem. Bouchier udał się z trzema halabardzistami na szczyt wieży; księżyc świecił tak jasno, że można było widzieć wszystko jak w dzień.

Jakiś czas było spokojnie, lecz nagle usłyszano stuk młota w izbie na dole. Bouchier copędzj popieszył tam z ludźmi i przy świetle pochodni przetrząsnęto wszystkie kryjówki, framugi i zagłębienia, których nie brakowało w wieży. Nic nie znaleziono ani w izbach, ani na korytarzach, ale kiedy kapitan chciał zostawić straż na dole, żaden żołnierz nie odważył się zająć tego niebezpiecznego posterunku. Zaledwie Bouchier wrócił na szczyt wieży, znów ozwało się stukanie; tym razem nikt się nie ośmielił zejść na dół i szukać sprawcy tego tajemniczego hałasu. Kapitan zdołał nakoniec przewyciężyć trwogę i sam zeszedł ze schodów, ale posłyszawszy śmiech urągliwy i brzęk łańcuchów w ciemności, uciekł drżąc jak w febrze. Łoskot wkrótce też ustał i wszystko się uciszyło.

VII.

Walka między kardynałem i Anną Boleyn.

Król zleciwszy kapitanowi straż nad wieżą, udał się do swoich komnat na wieczerzę. Kardynał Wolsey siedział jak zwykle po jego prawicy, ale Henryk nie raczył ani razu zwrócić się do niego, lecz rozmawiał tylko z księciem Suffolk, którego miał po lewej stronie. Po skończonej wieczerzy oddalił się natychmiast, lecz kardynał posłał jednego ze swoich dworzan z prośbą o chwilę posłuchania. Król po krótkim wahaniu pozwolił.

— No i cóż, kardynale? — zawołał, kiedy zostali sami — znów stanąłeś w poprzek moim życzeniom? Ostrzegam cię, że gra, jaką ze mną prowadzisz, jest wielce niebezpieczną.

— Podejrzenia te krzywdzą mnie i ciebie, Miłościwy Panie — odparł Wolsey — żaden monarcha nie miał wierniejszego sługi odemnie.

— Żaden jeszcze sługa nie był tak zapobiegliwy jak ty, kardynale! — gwałtownie zawołał król — rabujesz moich poddanych, żeby się zбоgacić; bratasz się z moimi wrogami, żeby mi szkodzić. Żmiję wyhodowałem na mojem łonie, ale strzeż się, potrafię cię zgnieść jak podłego gada.

— Błagam cię, uspokój się, Miłościwy Panie — mówił Wolsey słodkim, przekonującym głosem, który miał dziwną moc uśmierzania wybuchów królewskiego gniewu — dusza moja przepełniona jest

wdzięcznością za twoje dobrodziejstwa i łaski; ty, Najjaśniejszy Panie, podniosłeś mię z niskiego stanu do najwyższych godności, uczyniłeś ze mnie swojego doradcę, powiernika i, śmiem powiedzieć, swojego przyjaciela. I ja za to wszystko mógłbym zawieść twoje zaufanie, tajemnie walczyć przeciw tobie? O nie! to haniebne oszczerstwo uknute przez moich wrogów. Do jednej tylko poczuwam się winy: oto więcęj zajmowałem się świeckimi sprawami niż duchownemi, i za to odpowiem kiedyś przed Bogiem. Ale w jakimże to celu czyniłem? oto, żeby móż tym skuteczniej służyć Waszjej Królewskiej Mości. Jeżeli pragnąłem tyary papieskiej, to tylko dlatego, ażebyś ty Najjaśniejszy Panie, przy mojej pomocy, został pierwszym w chrześcijaństwie monarchą.

— Dosyć, dosyć! — przerwał Henryk łagodniejszym już tonem.

Wolsey zauważył, jakie wrażenie sprawiła na królu jego zręczna mowa, i ciągnął dalej:

— Dary, jakie odbierałem od obcych monarchów, skarby gromadzone przezemnie, to wszystko miało na celu dobro Waszjej Królewskiej Mości.

— Hm! — mruknął król z niedowierzaniem.

— Zaraz dowiodę, że mówię prawdę — rzekł zręczny kardynał — pałac w Hampton Court co tylko skończony...

— Piękniejszy i kosztowniejszy od moich zamków i pałaców — gniewnie przerwał Henryk.

— Gdybym go był dla siebie budował, nie wydałbym dziesiątej części tego — odrzekł kardynał — inną myśl miałem i dla odparcia podejrzeń

Waszój Królewskiej Mości muszę ją zdradzić przed czasem. Racz, Najjaśniejszy Panie, przyjąć go od swego sługi! — zawołał, rzucając się do nóg Henryka — dla ciebie on był przeznaczony.

— Na Pannę Najświętszą, ależ to dar monarszy! — wykrzyknął zdumiony król — wstań, kardynale, kto powiedział, że jesteś chciwcem i samolubem, ten skłamał niegodnie.

— Powtórz to samo moim wrogom, Najjaśniejszy Panie, a będę zadowolony — odrzekł Wolsey — co się tyczy pałacu w Hampton Court, ma on większą wartość niż się zdaje. Oto jest klucz od piwnic...

— Musisz tam mieć pyszne wina, kardynale — rzekł król z przyciskiem.

— Są tam wina godne monarchy — odparł Wolsey — sto beczek stoi w piwnicy, każda jest pełna złota.

— Co ty mówisz, kardynale? — z udaném zdziwieniem wykrzyknął Henryk — i to wszystko mnie dajesz?

— Było dla ciebie przeznaczoném, Miłościwy Panie. Ludzie sądzili, że ja zbieram skarby dla siebie, tymczasem moją myślą było wzbogacić Waszą Królewską Mość. Jeżeli wierzysz teraz, o Panie, w moję miłość i wierność dla ciebie, zaklinam cię zastanów się, zanim wyniesiesz na tron Annę Boleyn. Związek ten w całym narodzie budzi niechęć i odrazę, cesarz Karol V nigdy ci nie przebaczy zniewagi, jaką wyrządzisz jego dostojnej krewnej, król Franciszek będzie korzystał z tego po-

zoru, żeby wystąpić przeciw tobie, Papieża także krok ten oburzy, dosyć, że tysiące niebezpieczeństw wyniknie ztąd dla Waszój Królewskiej Mości.

— Nie mogę się już cofnąć, kroki rozwodowe oddawna są rozpoczęte.

— Nie radzę ci, Miłościwy Panie, zaniechać ich, ale można przecież wynaleść sposób pogodzenia twoich życzeń z pragnieniami narodu i zdaniem obcych mocarstw. Anna Boleyn nie jest godną zaszczytu, jaki chcesz jój wyrządzić.

— Kogóż uważasz za godniejszego?

— Księżniczkę d'Alençon, albo księżniczkę Renatę; tym sposobem możnaby zapewnić sobie przymerze z Francją i pomoc Stolicy Apostolskiej, na wypadek wojny z Hiszpanią.

— Nie, Wolsey — rzekł Henryk, przechadzając się po komnacie — nie mogę się wyrzec Anny, Kocham ją zanadto. Raczej niech wszyscy monarchowie sprzysięgną się na mnie, ja nie zmienię mego postanowienia. Z tobą będę szczerym: dlatego tylko rozwodzę się z Katarzyną, ażebym mógł zaślubić Annę, inaczey bowiem ona nie będzie moją. I teraz miałbym jój się wyrzec, kiedy jestem tak blizki celu? Nigdy! Ani prośby, ani groźby nie zdołają odwieść mnie od tego.

— Boleję nad twojém postanowieniem, Miłościwy Panie — rzekł Wolsey z westchnieniem — jeżeli związek ten dojdzie do skutku, biada tobie, twojemu królestwu i chrześcijaństwu!

— Biada tobie, przewrotny kardynale! — wykrzyknęła Anna Boleyn, ukazując się z poza kotary —

słyszałam wszystko i z głębi serca dziękuję ci Henryku, za twoją miłość dla mnie. Przysięgam jednak, że nie oddam ci mojej ręki, dopóki Wolsey nie zostanie usuniętym.

— Anno! — zawołał król.

— Mogłabym przebaczyć mu zawziętość jego przeciw mnie! — z uniesieniem mówiła Anna — ale nie mogę mu darować obłudy i przewrotności względem ciebie. Czy wiesz dlaczego ofiarował ci przed chwilą wspaniały pałac w Hampton Court i zawarte w nim skarby? Bo lękał się, żebyś mu ich siłą nie wydarł. Trefniś jego dał mu znać o odkryciu Willa Sommers i to go skłoniło do tego rozpaczliwego kroku. Wiem wszystko od Willa i dlatego postanowiłam zedrzyć maskę temu obłudnikowi.

— Zdaje mi się, że masz słuszość, moja droga — rzekł król.

— Powiedz swoim sprzymierzeńcom, Karolowi i Franciszkowi, że nic nie potrafi przeważyć miłości, jaką Henryk ma dla mnie — urągliwie śmiała się Anna. — Co do ciebie, gardzę tobą i nie lękam się bynajmniej twego wpływu.

— Ciężko odpokutujesz kiedyś za swoją pychę — z goryczą rzekł Wolsey.

— Tyś już odpokutował za swoją przewrotność — odparła Anna — pamiętaj, że masz we mnie śmiertelnego wroga, który nie spocznie dopóki cię nie zgubi.

— Zaiste, król będzie miał miłą małżonkę — szydził Wolsey.

— W każdym razie ona będzie go kochała,

a nienawidziła jego nieprzyjaciół—odparła Anna—kiedy księżna d'Alençon, albo księżniczka Renata, skrycie trzymałaby z tobą i z nimi... Słyszałeś, Henryku, jakie postawiłam warunki?

Król kiwnął głową z uśmiechem.

— Oddał go zaraz, wypędź go! — nalegała Anna.

— Cierpliwości, nie mamy jeszcze rozvodu — odparł Henryk — jutro, skoro ochłoniesz z gniewu, będziesz rozsądniej zapatrywała się na tę sprawę.

— Nigdy nie zmienię mego postanowienia! — zawołała Anna.

— Gdybym ofiarą mego życia mógł uratować mego pana, nie wahałbym się ani chwili — rzekł Wolsey — ale dopóki mam moc i prawo dawania mu rad, będę z nich korzystał. Czy wolno mi odejść?

Król skinął ręką i kardynał odszedł, nie patrząc nawet na Annę Boleyn, która śmiała się tryumfująco. Wkrótce jednak i ona się oddaliła, a Henryk poszedł do wieży Curfew, ażeby osobiście wybadać Tristrama Lynwood. Kapitan Bouchier nic mu nie powiedział o dziwnych hałasach słyszanych na dole, lękał się bowiem gniewu jego.

— No i cóż, czy namyśliłeś się, starcze? — rzekł król do Tristrama — po raz drugi rozkazuję ci, ażebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o Her-nie i o tym drugim łotrze, Morganie Fenwolf.

— Powiedziałem już Waszój Królewskiej Mości, że nic wyznać nie mogę, gdyż jestem związany przysięgą — pokornie lecz stanowczo odrzekł starzec.

— Psie uparty! jeżeli nie powiesz, każę cię powiesić na szczycie wieży, jak Marka Fytton! — krzyknął rozjątrzony król.

— Uczynisz jak zechcesz, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Tristram — życie moje jest w twoim ręku, a kres jego niedaleki.

— Jeżeli nie dbasz o siebie, to może o kogo innego dbać będziesz. Hej! przyprowadzić tu jego wnuczkę — zawołał Henryk.

Starzec zadrżał, ale milczał. Niebawem do więzienia weszła Mabel i krzyknęła przerażona na widok dziadka.

— Coś ty uczynił, dziadku? — zawołała.

Tristram jęknął i odwrócił głowę.

— Jest oskarżony o zdradę i czary — rzekł król surowo — a ty dziewczyno jesteś pod tym samym zarzutem.

— Nie wierz temu, Miłościwy Panie! — zawołał starzec, rzucając mu się do nóg — ona niewinna. Wychowana była pobożnie w klasztorze Chertsey i nie wie o niczem, co się dzieje w lesie.

— Widziano, jak rozmawiała z Morganem Fenwolf.

— Ja nienawidzę Morgana! — zawołała Mabel — dziś zaczepił mię w lesie...

Umilkła nagle, przypomniawszy sobie, że może narazić dziadka.

— Czegóż on chciał od ciebie? — podchwycił Henryk.

— Ja powiem prawdę — odezwał się Mikołaj Clamp, którego przyprowadzono razem z dziew-

czyną — kiedyśmy szli do zamku, Morgan wybiegł z zarośli i kazał téj panience, żeby wróciła z nim do dziadka. Ona jednak odmówiła, a ja chciałem go pochwycić, ale umknął z pomocą szatana.

— Co mówisz na to starcze? — zapytał król — czyś istotnie przysłał Morgana po dziewczynę?

— Tak, bo nie chciałem, żeby szła do zamku — odrzekł Tristram.

— Sam się potępiasz swoim wyznaniem, łotrze — zawołał król! — teraz musisz powiedzieć wszystko, bo inaczej czeka cię stryczek, a twoją wnuczkę śmierć na rusztowaniu.

— Litości! Najjaśniejszy Panie! — krzyknęła Mabel.

— Twój los zależy od dziadka — rzekł król surowo — milczenie jego będzie wyrokiem śmierci dla was obojga.

— Oh! mów, dziadku, mów! — błagała Mabel — cóż znaczy przysięga dana nie w Imię Boże?

— Pozwól mi się namyśleć do jutra, Najjaśniejszy Panie — rzekł starzec.

— Daję ci czas do północy, a tymczasem wnuczka zostanie z tobą — odpowiedział król i, zwracając się do żołnierzy, dodał — nikogo nie macie wpuszczać do więzienia, chyba gdyby miał mój sygnał.

VIII.

Tryumf Katarzyny.

Król wyszedłszy z wieży, nie wracał zwykłą drogą do swoich komnat, lecz sam jeden poszedł w stronę kaplicy Św. Jerzego, do której dotykały mieszkania kanoników. Nagle, z pod arkady wybiegł jakiś wysoki mężczyzna i żelazną dłonią pochwycił go za rękę. Henryk nie stracił jednak przytomności i z mieczem rzucił się na napastnika. Nieznajomy zaczął uciekać i znikł poza kaplicą. Król chciał za nim gonić i niespodziewanie natknął się na trefnisię kardynała.

— Cóż ty tu robisz, łotrze? — zapytał z gniewem.

— Czekam na mego pana — odrzekł przelekniony Patch.

— A gdzież on jest?

— W tym domu — odrzekł Patch, wskazując na prześliczne gotyckie okna budynku.

— Ależ tu mieszka doktor Sompson, niegdyś kapelan królowej i najzawziętszy przeciwnik rozwodu — zawołał Henryk — cóż kardynał może u niego robić?

— Ja nie wiem. — Może to inny dom — jękał się trefniś coraz więcej wystraszony.

— Kłamiesz, łotrze! — krzyknął król — ja czuję, że tu knują zdradę, ale nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

Wszedł do sieni, a ztamtąd do przyległej komnaty, gdzie zastał starego kanonika Sampsona.

— Kardynał Wolsey tu jest — szepnął król — prowadź mię do niego.

— O nie idź tam, Najjaśniejszy Panie! — błagał kanonik, zastępując mu drogę.

— Precz! — zawołał Henryk — słyszę na górze głos kardynała.

Odrącił kanonika i wbiegł na schody.

Wolsey po ostatniej rozmowie z królem, tak niefortunnie przerwanej przez Annę Boleyn, powrócił do swoich komnat, gdzie zastał tłum dworzan i suplikantów, którzy zarzucili go prośbami. Nierychło zdołał odprawić ich wszystkich i znużony rzucił się na łożo.

— Podłe pochlebcy! — mruknął z goryczą — teraz płaszczą się przedemną i składają większe hołdy niż królowi, a jutro, jeżeli wpadnę w niełaskę, ani jeden mię nie pożałuje, ani jeden nie wspomni, że mnie wszystko zawdzięcza. Wiedziałem o tém oddawna i miałem dla nich najgłębszą pogardę. Kto wie, co jutro przyniesie? Oddałem już królowi mój pałac i moje skarby, ale to może tylko podniecić jego chciwość. Ta nędzna faworyta, Anna Boleyn, przysięgła mię zgubić; ha! niełatwo jęj to przyjdzie, a w każdym razie zemścić się potrafię.

Tymczasem Patch wsunął się ostrożnie do komnaty i oddał swemu panu liścik starannie zapieczętowany. Wolsey przebiegł go oczyma i wyraz tryumfu rozpromienił posępne jego oblicze.

— Kto to przyniósł? — zapytał.

— Sługa doktora Sampsona—odrzekł Patch—kazano mi go oddać bez świadków.

Kardynał po namyśle wstał i wyszedł skrytemi drzwiami prowadzącymi na korytarz. Ciekawy trefniś pogonił za nim, widział jak wchodził do mieszkania kanonika i właśnie łamał sobie głowę nad odkryciem tajemnicy swego pana, kiedy król go zdybał niespodziewanie.

Doktor Sampson przyjął kardynała z należnym szacunkiem i wprowadził go na piętro do ustronnej komnaty, wyłożonej rzeźbionym dębem. Srebrna lampa płonęła na stole, rzucając mdłe światło na wspaniałą postać niewieścią, siedzącą na fotelu. Była to Katarzyna Aragońska.

— Jestem na twoje rozkazy, pani — rzekł Wolsey z niskim ukłonem.

— Dość długo kazałeś mi czekać, kardynale, ale nie liczyłam na twój pośpiech — odpowiedziała królowa — minęły te czasy, kiedy najdumniejszy pan w królestwie byłby dążył skwapliwie na moje wezwanie, przeciskając się przez tłum dworzan w przedpokoju. Dziś inna zajęła moje miejsce, a ja muszę tajemnie przekradać się do zamku, gdzie niegdyś panowałam, czekać aż mój wróg zechce się stawić na moje wezwanie i przyjmować go w cudzém mieszkaniu. Oh! czasy się zmieniły.

— Byłem u króla i dlatego nie mogłem spieszniej stawić się na pani rozkazy — odrzekł Wolsey — boleję z całego serca nad losem Waszój Królewskiej Mości.

— Nie potrzebuję twojej litości — dumnie

odparła Katarzyna — pożałowanie z twoich ust to zniewaga dla mnie. W innym celu posłałam po ciebie, kardynale; sądzę, że we własnym interesie będziesz pragnął wynagrodzić krzywdę, jaką mi wyrządziłeś.

— Niestety! pani, lękam się, że to zapóźno naprawić błąd jaki popełniłem — rzekł Wolsey z udanym żalem.

— Przyznajesz więc, że to był błąd! — zawołała Katarzyna — i to coś znaczy. Ach! twoje niesnaski z moim synowcem cesarzem Karolem drogo mnie kosztowały! Wywołałeś burzę, która zgubi mnie i ciebie.

— Zasluguję na twoje wyrzuty, dostojna pani — z przybraną pokorą rzekł Wolsey — zniosę je bez szemrania, ale przypuszczam, że w innym celu zostałem wezwany.

— Chcę żebyś mi dopomógł, bo własne twoje bezpieczeństwo tego wymaga — mówiła królowa — jeżeli Anna Boleyn zasiądzie na tronie, ty będziesz zgubiony. Staraj się opóźnić rozwód, powiedz, że tylko papież mocen jest wydać wyrok, a skoro sprawa pójdzie do Rzymu, jestem pewna wygranej. Campeggio także mi sprzyja.

— Nie ośmielę się uczynić tego przez wzgląd na króla — odrzekł Wolsey.

— Byłam tego pewna — z pogardą odparła królowa — twoja obłuda dawno mi jest znana. A teraz powiem ci, kardynale, w jakim celu posłałam po ciebie: mam w ręku listy Anny Boleyn, które mogą ją zgubić w oczach króla.

— Ha! — z radością zawołał kardynał — jeżeli tak jest, to reszta łatwo pójdzie. Błagam cię, pani, pokaż mi te listy.

Zanim Katarzyna zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się z loskotem i na progu stanął Henryk.

— Nakoniec schwytałem cię na gorącym uczynku, zdrajco! — zawołał, mierząc kardynała roziskrzonym wzrokiem — a ty, pani, dlaczego tu jesteś? — rzekł surowo do Katarzyny, która patrzyła nań spokojna i niez mieszana — zawiele liczysz na moją pobłażliwość. Chciiej natychmiast opuścić zamek, ty zaś, kardynale, zdasz mi sprawę ze swego postępowania.

— Nie potrzebuję się usprawiedliwiać — odrzekł Wolsey, odzyskując przytymność — może królowa raczy objaśnić, dlaczego tu jestem.

— Z pewnością to uczynię — zabrała głos Katarzyna — posłałam po kardynała, ażeby oddał Waszjej Królewskiej Mości dwa listy Anny Boleyn do sir Tomasza Wyatt. Nie wierzyłeś mi wczoraj, kiedy ją oskarżałam o lekkomyślność i pokątne miłostki, może teraz uwierzysz własnemu jój świadectwu.

Henryk spojrział na listy i groźnie brwi zmarszczył.

— Cóż ty na to, Miłościwy Panie! — zawołała Katarzyna — w jednym liście przysięga swemu kochankowi wieczną miłość i wierność, w drugim, pi-sanym już po zaręczynach z tobą, oświadcza, że choć nie może być dla niego tém co niegdyś, nie przestanie go jednak kochać.

— Do pioruna! — wykrzyknął król — zkąd pani masz te listy?

— Oddał mi je wczoraj jakiś wysoki nieznamy mężczyzna, powiadając, że zostały znalezione przy sir Tomaszu Wyatt.

— Jeżeli ona istotnie je pisała, to zerwę z nią nazawsze!—w uniesieniu zazdrości zawołał Henryk.

— Łatwo możesz się o tém przekonać—rzekła Katarzyna;—co do mnie, znam jój pismo i mogłabym przysiąc, że są jój ręką kreślone.

— Jestem pewny, że Wyatt był ukryty w komnacie lady Anny wtenczas, kiedy nie chciała wpuścić Waszój Królewskiej Mości—wtrącił Wolsey—hrabia Surrey poświęcił się, żeby ocalić ją i przyjaciela.

— Bodaj piekło ją pochłoneło! — wykrzyknął król, uderzając się pięścią w czoło — ach! Katarzyno, i ja chciałem ciebie porzucić dla téj lekko-myślnój, przewrotnój istoty!

— Przebaczam ci, Henryku! — zawołała królowa — łzami wdzięczności oblewając jego ręce — zostałeś niegodnie oszukany.

— Tyś mię ocaliła — rzekł król — ale nie możemy dłużej tu pozostać, chodź ze mną do zamku.

— O nie, Henryku — wzdrygnęła się Katarzyna — dopóki ona tam jest, ja nie pójdę.

— Nie stawiaj pani żadnych warunków — szepnął Wolsey — idź.

— Jutro już jój nie będzie — rzekł Henryk.

— W takim razie zadam gwałt moim uczuciom — odpowiedziała królowa.

— Chodź ze mną, Kasiu — rzekł Henryk, ujmując jęj rękę — chcięj nam towarzyszyć, panie kardynale.

— Z największą przyjemnością! — zawołał Wolsey — gdyby tylko jego usposobienie się nie zmieniło, wszystko poszłoby dobrze — mruknął do siebie—trzeba kuć żelazo póki gorące. Ach! gdyby Wyatt tu był.

Doktor Sampson na widok królewskiej pary wychodzącej zgodnie z jego domu, oczom własnym nie wierzył. Większe jeszcze było zdziwienie dworu, kiedy Henryk wszedł pod rękę z Katarzyną i rozkazał przygotować swoje własne komnaty na przyjęcie Jęj Królewskiej Mości.

Wiadomość o powrocie królowej doszła natychmiast do Anny Boleyn i wzbudziła w nięj nieopisaną trwogę; jedna chwila rozwiła dumne jęj sny i ambitne marzenia. Posłała zaraz po swego ojca, lorda Rochford, który niemnięj był zaniepokojony i zaczął ją badać, czy sama się nie przyczyniła do tęg zmiany. Ona go zapewniła, że przed godziną rozstała się z królem w najlepszej przyjaźni i zgodzie, kardynał zaś był blizki niełaski.

— Nie radziłbym ci walczyć z nim, dopóki nie będziesz pewną zwycięztwa—rzekł lord Rochford—on ma wielki wpływ na króla. Na szczęście Suffolk jest jego wrogiem i będzie się starał nam dopomódz. Lękam się, czyś znowu nie dała królowi powodu do zazdrości; ta lekkomyślność cię zgubi, pamiętaj!

IX.

Ucieczka leśnika i jego wnuczki.

Lord Rochford udał się bezzwłocznie do księcia Suffolk, który przyrzekł mu swoją pomoc w obaleniu kardynała. Spełniając obietnicę, udał się natychmiast do króla i zastał go samego w komnacie.

— Jakaś przykrość musiała spotkać Waszą Królewską Mość — rzekł, widząc posępną chmurę na jego czole.

— Nieinaczéj! — zawołał Henryk — ach! te kobiety. Nigdy już żadnej kochać nie będę. Słuchaj, Suffolk, tyś mi był zawsze wiernym jak brat, znasz wszystkie moje tajemnice i wiesz, jak gorąco kochałem Annę Boleyn. Wyobraź sobie, że ta niegodziwa mię zdradziła, po tylu dowodach miłości z mojej strony!

— To niepodobna! — zawołał Suffolk.

— Ja sam tak myślałem, ale teraz już wątpić nie mogę wobec dowodów, jakie mi złożono. Patrz, oto są jéj listy do sir Tomasza Wyatt.

— Te listy dowodzą tylko, że ona go niegdyś kochała—zauważył Suffolk, przebiegłszy je oczyma.

— Ależ ona mu przysięga wieczną miłość i wierność, a jednocześnie mnie takie same składa przysięgi! — zawołał Henryk — czyż mogę teraz jéj wierzyć? Czuję, że ona mię nie kocha i dlatego tylko chce mi oddać swoją rękę, że jestem królem.

— Mnie się zdaje, że się mylisz, Najjaśniejszy Panie — rzekł Suffolk.

— Niestety, nie! — westchnął Henryk — ale ja nie pozwolę na to, żeby mię oszukiwała ta fałszywa, zdradziecka kobieta; potrafię zwyciężyć moją miłość i będę ją tak nienawidził jak dotąd kochałem.

— Błagam cię, nie czyn nic pod wpływem uniesienia, Miłościwy Panie — rzekł Suffolk — nie ulegaj tym, co sztucznie rozdmuchują twoją zazdrość i działaj dopiero po głębokim namyśle. Zanim jednak co postanowisz, unikaj zarówno Katarzyny jak Anny i nie dopuszczaj do siebie kardynała.

— Jesteś jego wrogiem, Suffolk — surowo rzekł król.

— Jestem przyjacielem Waszjej Królewskiej Mości — odparł książę — zapanuj nad sobą, usłuchaj mojej rady, a ręczę, że będziesz mi wdzięczny.

— Może masz słuszość, mój bracie — rzekł Henryk — postaram się stłumić uczucia zazdrości i gniewu, jakie miotają moim sercem. Jutro rano pojedziemy do lasu i naradzimy się wspólnie... Ach! czemuż ja uległem czarowi tej zwodniczej syreny. Nie masz pojęcia, jak ona owładnęła moją duszę!

— Nie dziwię się temu, ale tymczasem życzę. Waszjej Królewskiej Mości dobrej nocy.

— Czeka! pójdiesz ze mną do więzienia... Ha! co to jest? Niema go — zawołał król, spoglądając na swoją rękę.

— Czego niema? — zapytał Suffolk.

— Mego sygnetu! Ten wcielony szatan wyrwał mi go pewno przy kaplicy. Spieszmy, bo gotów jeszcze uwolnić więźniów.

Pochwycił parę pistoletów ze ściany i podążył z księciem do wieży Curfew.

— Słyszysz? dzwonią na alarm!—zawołał rozjątrzony Henryk — ręczę, że uciekli.

W kwadrans po wyjściu króla z więzienia, u drzwi jego stanął wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i pokazał żołnierzowi sygnet monarszy. Żołnierz, spełniając dane rozkazy, puścił go natychmiast.

Mabel klęczała przy dziadku z rękoma złożonymi jak do modlitwy, ale na widok nieznanego zerwała się z krzykiem.

— Ha! przybywasz nakoniec, żeby nas oswobodzić, Herne? — rzekł Tristram Lynwood.

— Nie idź z nim, dziadku, zaklinam cię! — zawołała Mabel.

— Milcz! — surowo przerwał Herne — bo inaczej zostawię was na łasce króla... Czy wiesz, pod jakimi warunkami chcę was uwolnić?

— Wiem—odrzekł starzec wzdrygnąwszy się.

— Oh! dziadku! — krzyknęła Mabel, rzucając mu się do nóg — nie gub swojej duszy! Lepiej żebyśmy oboje ponieśli śmierć na rusztowaniu, niż łączyli się ze złym duchem.

— Czy przyjmujesz moje warunki? — zapytał Herne, nie zważając na prośby dziewczęcia.

Tristram Lynwood potwierdzająco skinął głową.

— Odwołaj swoje słowa, dziadku!—z rozpaczą błagała Mabel — padnę królowi do nóg i wyjednam przebaczenie dla ciebie.

— Nie można odwołać przysięgi — rzekł Herne — twój dziadek chce ratować zarówno siebie jak ciebie, dziewczyno. Musisz pójść z nami, Mabel.

— Nie pójdę! — krzyknęła — mam przecucie, że grozi mi coś strasznego.

— Musisz pójść! — niecierpliwie zawołał Herne — nie pozwolę na to, żebyś się stała ofiarą grzesznych zamiarów Henryka.

Zbliżył się do jednej z głębokich framug i pociągnął sprężynę; ściana się rozsunęła i ukazały się poza nią wązkie, kręte schodki. Herne skinął na leśnika i po cichu objaśnił go, w jaki sposób mogą się wydostać z zamku.

— Czekajcie na mnie w pieczarze — dodał — niezadługo tam będę.

Tristram pochwycił dziewczę za rękę i pociągnął za sobą na schody. Mabel była tak przerażona, że nie stawiała oporu; ściana natychmiast zamknęła się za nimi.

W godzinę później strażnik zajrzał do celi i znalazł ją pustą. Zdumiony i przerażony, pobiegł sprowadzić towarzyszy.

— Ten wysoki mężczyzna to był pewno Herne — zauważył Paddington.

— I ja tak myślę — odrzekł Mat Bee — a jednak byłbym przysięgł, że sygnet, który mi pokażał, widziałem na palcu u króla.

— Co to będzie, skoro król się dowie — rzekł

Shoreditch — nie chciałbym być na twojém miejscu, Mat. Miałeś pyszną sposobność schwywania Herna.

Z głębokiej framugi wybiegła nagle wysoka postać ducha Myśliwca, w rogatym hełmie i dziwacznej odzieży.

— Otóż jestem!—zawołał straszny głosem—chwytajcie mnie.

Żołnierze skamienieli z trwogi; ani jedna ręka nie podniosła się na Herna.

— Żaden z was nie ośmieli się wystąpić przeciw mnie — urągał duch — dobrze czynicie, bo jednym słowem mógłbym zwalić tę wieżę na wasze głowy. Precz ztąd!

Żołnierze uciekali jak gdyby ich kto gonił, żadnemu nie przyszła nawet na myśl aresztować Herna. Jeden tylko Mat Bee pobiegł uderzyć w dzwon na alarm. Kiedy królowi powiedziano co się stało, wpadł w straszliwy gniew i klął aż się mury trzęsły. Nieprędko ośmielono się powiedzieć mu, że Herne prawdopodobnie jest jeszcze w celi na górze.

— Ha! i wy podli tchórze nie śmieliście podnieść ręki przeciw niemu! — zawołał król — dobrze, ja sam go schwytam.

— Błagam cię, Miłościwy Panie, nie narażaj się na spotkanie z nim! — odezwał się Suffolk.

— Czy i ty wierzysz w te babskie zabobony? — zawołał Henryk — myślałem, żeś odważniejszy. Za mną!

Pochwycił pochodnię i pobiegł pierwszy na

schody; za nim musieli podążyć wszyscy. Drzwi celi były otwarte, w głębi widać było straszną postać ducha. Czerwonawe światło pochodni padało na szpetne jego oblicze z oczyma gorejącymi jak węgle; był to widok tak przerażający, że sam król zawahał się przez chwilę.

— Jesteś na koniec w mojej mocy!—zawołał— nic cię nie ocali!

— Ho! ho! — zaśmiał się Herne.

— Przekonam się, czy jesteś śmiertelny! — krzyknął Henryk, mierząc do niego z pistoletu.

Obłok dymu rozszedł się po izbie, ale skoro się rozproszył, Herna już nie było.

— Niema go na Boga! — zawołał zdumiony król — to chyba musiał być szatan we własnej osobie. Mierzyłem w samą czaszkę.

— Słyszałem, jak kula odbiła się od hełmu i uderzyła o ścianę — rzekł Bouchier.

Król zaklął głośno i opuścił wieżę.

X.

Wolsey w niełasce.

Nazajutrz Suffolk zdołał przekonać króla, że jego podejrzenia względem Anny Boleyn były bezzasadne. Ulegając jego prośbom i przełożeniom, Henryk przyrzekł, że nie będzie się widział z królową i odjechał natychmiast do pałacu w Bridewell,

zabierając z sobą Annę Boleyn. Łatwo sobie wyobrazić boleść Katarzyny, kiedy się dowiedziała o tój niespodziewanej zmianie. Nie dowierzając kardynałowi, wyjechała zaraz do klasztoru Blackfriars, gdzie za kilka dni miała się rozstrzygnąć jój sprawa. Wolsey był w rozpacz i przysiągł zemścić się na Annie Boleyn.

W dzień oznaczony sąd zebrał się w wielkiej sali klasztoru Blackfriars. Henryk siedział na tronie pod baldachinem, nieco niżej królowa, naprzeciw nich obaj kardynałowie, arcybiskup Canterbury i wszyscy biskupi. Całe zgromadzenie miało oczy zwrócone na króla, którego groźne i posępne oblicze nic dobrego nie zwiastowało; większe jednak zajęcie budziła Katarzyna, blada jak śmierć, ale majestatyczna i dcstojna, jak przystało córce i wnuczce monarchów.

Najprzód powołano króla przed kratki, a potem jego małżonkę. Katarzyna wstała i, ugiąwszy kolana przed królem, we wzruszającej przemowie odwoływała się do jego dawnych uczuć, a potem opuściła salę wsparta na ramieniu swego marszałka dworu, Griffitha. Henryk widząc jakie wrażenie wywarły jój słowa na zgromadzenie, zaczął wychwalać jój charakter i cnoty, wyrażając głęboki żal, że sumienie zmusza go do rozłączenia się z tak zacną i dostojną małżonką. Nikt nie uwierzył obłudnym jego oświadczeniom, a z powodu nieobecności królowej, która nie chciała powrócić do sali, posiedzenie zostało odroczone. Ale i na następnych nie powzięto żadnego postanowienia, aż wreszcie,

na wniosek kardynała Campeggio, uchwalono odwołać się do Papieża.

W dwa miesiące później nadeszło z Rzymu pismo, wzywające króla, ażeby się stawił przed sąd papieski, lub przysłał swego pełnomocnika na dzień oznaczony. Kardynałowie, odebrawszy ten dokument, niezwłocznie udali się do Windsoru, ażeby go doręczyć królowi.

Było to już w połowie września, lasy jaśniały cudnymi barwami jesieni, ale mimoto dziwnie świetny obraz przedstawiała natura. Niektóre drzewa były już nawpół ogołoczone ze swojej ozdoby, zeschłe liście zaścielały drogi i aleje, szeleszcząc niemile za każdym krokiem. Kardynał w posępnych pograżył się dumaniach, z których wyrwał go tętent koni i gwar wesołych głosów. W oddali Henryk polował wraz z Anną Boleyn i całym dworem, a tak był zajęty łowami, że nie zwrócił nawet uwagi na orszak kardynała. Ktoś jednak z dworzan musiał mu o tém powiedzieć, gdyż król zmarszczył brwi i, zawróciwszy konia, wysłał natychmiast gońca do zamku.

Wolsey był przykro dotknięty tém lekceważeniem, nie spodziewał się jednak tego, co go czekało. Przy bramie spotkał go giermek królewski, sir Henryk Norris, i oświadczył z żalem, że z powodu wielkiego natłoku gości w zamku, miłościwy pan nie może pomieścić kardynała, ani jego orszaku.

— Rozumiem — odparł Wolsey — to znaczy, że nie jestem tu wcale pożądanym. W takim razie

Jego Eminencya kardynał Campeggio i ja musimy szukać schronienia w jakiej gospodzie miejskiej, potrzebujemy bowiem koniecznie widzieć się z królem.

— Gdyby Wasza cześć zechciała odprawić swój orszak, to mógłbym was i kardynała Campeggio pomieścić w wieży Henryka III — rzekł Norris zniżając głos — nie śmiem przekraczać rozkazów królewskich.

Wolsey odprawił do miasta swój orszak złożony z tysiąca ludzi i zostawił tylko trefnisia Patcha przy sobie. Kardynałowi Campeggio pozwolono zabrać kilku dworzan. Kiedy stanęli przed wieżą, wyskoczył nagle Will Sommers i, kłaniając się szyderczo, rzekł do Wolseya:

— Mój pan będzie bardzo żałował, że nie może pomieścić orszaku Waszój cześci, ale ponieważ jest liczniejszy niż jego własny, nie weźmiecie mu pewno za złe tego braku gościnności.

— Precz ztąd, błaznie! — ofuknął kardynał — nie jestem usposobiony do twoich żartów.

Will Sommers rozśmiał się urągliwie i powrócił do zamku. W godzinę później nadjechał król, ale żadnemu z kardynałów nie posłał wezwania na bankiet jaki miał się odbyć, a na ich prośbę o posłuchanie odpowiedział, że dopiero jutro może się z nimi widzieć. Po bankiecie nastąpiły tańce i długo w noc zamek brzmiał odgłosem muzyki i zabawy. Wolsey słyszał to wszystko i ponure myśli owładnęły jego duszę; czuł niełaskę w powietrzu, nic dziwnego też, że sen odbiegał od jego powiek.

Nietylko on jeden nie spał tój nocy, wrogowie jego nie mogli doczekać się ranka, który miał być świadkiem upadku kardynała, Anna wymogła bowiem na królu obietnicę, że Wolsey zostanie oddalonym.

O naznaczonej godzinie wprowadzono obu kardynałów do wielkiej sali, gdzie pod baldachinem siedział Henryk wraz z Anną Boleyn. U stóp tronu stał Will Sommers, księżęta Suffolk, Norfolk i Richmond, hrabia Rochford i inni wrogowie Wolseya.

— Chcieliście widzieć się ze mną, moi panowie — rzekł król, z trudnością hamując rozjątrzenie — czego żądacie?

— Pragnęliśmy przedstawić Waszój Królewskiej Mości dokument, jaki odebraliśmy od Papieża — odpowiedział Wolsey.

— Jaka jest treść jego? — zapytał Henryk.

— Jego Świątobliwość wzywa was, Miłościwy Panie, ażebyście się stawili przed sądem papieskim, pod karą dziesięciu tysięcy dukatów w razie nieposłuszeństwa.

Król pochwycił podany mu pargamin z wielką pieczęcią papieską i, spojrzawszy nań, z wściekłością cisnął go o ziemię.

— Ha! — wybuchnął — czemu ja jestem, żeby Papież śmiał mnie znieważać?

— Jest to tylko forma prawna—wtrącił Campeggio — teraz wyrok w sprawie rozwodowej nie zależy od nas, lecz od Papieża.

— Postaram się, żeby nie zależał od nikogo! — krzyknął król piorunującym głosem — przekonam

was wszystkich, że ze mną niebezpiecznie żartować. Co zaś do ciebie, mości Wolsey, który w swojej pysze mniemałeś się równym mnie, coś swoją chciwością zubożył moje królestwo, uciskał moich poddanych, tamował wolny bieg sprawiedliwości, — nadszedł już czas, żebyś poniósł zasłużoną karę za wszystkie twoje grzechy i występki.

— To kłamstwa wymyślone przez moich wrogów — rzekł Wolsey, drżąc przed roziskrzonym wzrokiem Henryka — chciał mnie wysłuchać, Najjaśniejszy Panie, a potrafię się usprawiedliwić.

— Nie myślę podniecać gniewu króla przeciw tobie, panie kardynale — odezwała się Anna Boleyn—ale nie mów, że oskarżenia te są kłamstwem. Cały kraj żąda, żebyś został usuniętym.

— Ja chętnie cię zastąpię, panie kardynale — wtrącił trefniś—może się zamienimy? Dam ci moje czapkę, a wezmę twój kapelusz.

— Milcz! — krzyknął Henryk grzmiącym głosem—nie pora na błazeńskie żarty, nadszedł teraz czas sądu i kary. Zawierałeś, kardynale, traktaty bez mojej wiedzy, w pierw niż ja przyjmowałeś posłów obcych mocarstw, za pieniądze rozdawałeś urzędy świeckie i kościelne, obdzierałeś zakony i stowarzyszenia, na monetach kazałeś pod moim herbem umieszczać swój kapelusz kardynalski, starałeś się różnić mnie ze szlachtą i magnatami..

— To prawda! — zawołał Suffolk — on wszystkich podzegał przeciw królowi.

— Tobie najmniej przystoi, książę, podnosić głos przeciw mnie — z goryczą odparł Wolsey —

bo gdyby nie ja, nie miałbyś w téj chwili głowy na karku.

— Za te wszystkie występki przykładna musi cię spotkać kara — zaczął Henryk.

— Błagam cię, Miłościwy Panie, nie potępiaj mnie, nie wysłuchawszy przedtem mojej obrony!— zawołał Wolsey, padając na kolana.

— Nie chcę nic słuchać, sąd orzeknie o twojej winie — przerwał król — tymczasem pozbawiam cię wszelkich urzędów i godności, oraz rozkazuję, żebyś mi się nie pokazywał na oczy... Czyś zadowolona, moja luba? — dodał po cichu, zwracając się do Anny.

— Zupełnie zadowolona — odrzekła — twoje panowanie już skończone, przewrotny kardynale — dodała głośno.

— Twoje skończy się niebawem — odparł z goryczą — widzę już topór nad twoją głową!

KSIĘGA V.
MABEL LYNWOOD.

I.

S c h a d z k a.

Wróćmy się teraz do hrabiego Surrey, który wciąż jeszcze pokutował w więzieniu za nieswoje winy. Chcąc opanować niepokój, jaki w nim wzbudziły słowa Herna, wziął się usilnie do pracy, ale choć umysł jego odzyskał zwykłą pogodę, zdrowie mocno na tém ucierpiało. Pozwolono mu przechadzać się po tarasie na szczycie wieży, ale cudny widok, jaki ztamtąd się roztaczał, zamiast ukoić podniecał tylko boleść młodzieńca. Nigdy niewola nie wydawała mu się tak przykrą jak w słoneczne dni letnie, kiedy krajobraz jaśniał czarowną barwą zieleni, a cały świat oddychał szczęściem i swobodą.

Wkrótce potem przeniesiono go do dawnego więzienia, zkąd widział powrót króla do zamku.

Książę Richmond towarzyszył mu jak zwykle, ale czy piękna Geraldyna była w orszaku Anny Boleyn, tego dojrzeć nie mógł. Nazajutrz pozwolono mu użyć przechadzki po małym ogródku przy wieży; wchodząc do altany, która była niegdyś ulubioném miejscem dumań króla szkockiego Jakóba I, więzionego przez lat tyle w tym zamku, ze zdumieniem znalazł na ławce małą karteczkę zawierającą kilka słów skreślonych naprędce: „Jeżeli hrabia Surrey życzy sobie widzieć się z piękną Geraldyną, ona czekać na niego będzie w altanie o północy!”

Radość ogarnęła jego duszę, ale po dłuższém zastanowieniu przyszedł do przekonania, że to musiała być jakaś zasadzka. Pismo było nieznane, zresztą, choćby nawet ukochana dziewczina zgodziła się narazić na takie niebezpieczeństwo, to w jakiż sposób on mógłby w nocy wydostać się z wieży tak pilnie strzeżonej? Powrócił do więzienia smutny i zawiedziony, ale kiedy noc nadeszła, niepokój jego i tęsknota wzrastały z każdą chwilą. Gorączkowym krokiem przechadzał się po celi, bijąc się z myślami. Czuł niepodobieństwo wydostania się z wieży, a mimoto dusza jego wyrывała się do Geraldyny.

— Ach! dałbym wiele, żeby mózż ją ujrzeć na chwilę — zawołał do siebie — gdyby nawet Herne ofiarował się zaprowadzić mnie, zgodziłbym się pójść za nim.

W téj chwili z poza filaru ozwał się głos grobowy:

— Jestem gotów to uczynić.

— Nie potrzebuję się pytać kto jesteś—rzekł Surrey, ochłonawszy ze zdumienia — precz ztąd!

— Sam mię wezwałeś — odparł Herne — jestem gotów zaprowadzić cię do pięknej Geraldyny, która czeka już w altanie.

— W jakim celu chcesz mi dopomódz? — zapytał Surrey.

— Dowiesz się kiedyś, a teraz chodź!

Wyjął z pod płaszcza ślepa latarnię i, otworzywszy drzwi ukryte w podłodze, dał znak hrabiemu, żeby zszedł na dół. Surrey po krótkim wahaniu spuścił się ze schodów i przez kręte korytarze tak wązkie, że zaledwie jeden człowiek mógł się tam na raz zmieścić, doszedł do sklepionój izby, o którój istnieniu dotąd nie wiedział. Herne schylił się, wyjął kilka cegieł i kamieni i, wskazując otwór w ścianie, rzekł do Surreya:

— Tędy wydostaniesz się za obręb wieży. Altana jest ztąd o kilkanaście kroków.

Młodzieniec o nic już nie pytał, lecz spieszenie podążył do altany. Jakaż była jego radość, kiedy przy blasku księżyca ujrzał tam ukochaną dziewczycę.

— Jakże zdołałeś wydostać się z więzienia i zkąd wiedziałeś, że ja jestem w zamku? — zagadnęła Geraldyna — król zabronił wspominać ci o tém.

Surrey był tak wzruszony, że nie mógł mówić, tylko z uniesieniem całował jęj ręce.

— Nie byłabym przyszła — ciągnęła dalej — lecz widok relikwi, którą ci niegdyś ofiarowałam, upewnił mnie, że to nie jest podstęp.

— Ale jakim sposobem ty się tu dostałaś? — zapytał Surrey.

— Twój wysłaniec dał mi drabinę sznurową— odrzekła Geraldyna — nie mogłam się oprzeć chęci ujrzenia cię raz jeszcze, tembardziej, że to pewno ostatnie nasze spotkanie. Król przez lady Annę Boleyn kazał mi powiedzieć, żebym o tobie nie myślała, a księciu Norfolk, twemu ojcu, dał do zrozumienia, że w razie gdybyś się ożenił wbrew jego woli, czeka was obu niełaska.

— I ty myślisz, że ja się poddam takiej tyranii? — zawołał Surrey.

— Niestety! mój luby, wszyscy nas chcą rozłączyć—żałośnie mówiła Geraldyna—czuję, że nigdy nie będziemy mogli się połączyć, ale mimoto kocham cię więcej niż dawniej.

— Może nam się uda zmiękczyć króla—rzekł Surrey—lady Anna uzyska jego zezwolenie, przecież jest moją krewną, a prócz tego ma dla mnie obowiązki wdzięczności.

— Nie licz nigdy na jój wdzięczność, nawet choćbyś największą oddał jój przysługę—odpowiedziało dziewczę — przyszłam tu głównie dlatego, żeby cię pożegnać i zwrócić ci dane słowo.

— Nigdy się na to nie zgodzę! — zawołał Surrey — jesteśmy związani przysięgą, niemal tak świętą jak śluby małżeńskie.

— Przez wzgląd na swoją przyszłość musisz się temu poddać, drogi hrabio—przekładała piękna Geraldyna — moje serce zawsze do ciebie należeć będzie, a jestem pewna, że i ty pozostaniesz mi

wiernym. Kto wie, może kiedyś, za lat kilka, spotkasz jaką dziewicę, której będziesz chciał dać słodkie miano żony; wtedy pamiętaj, że jesteś wolny i żadnym niezwiązany ślubem.

— Nie mam tyle co ty wspaniałomyślności! — z goryczą zawołał Surrey — nie umiem pogodzić się z myślą, że ty mogłabyś należeć do innego. Słuchaj, przez trzy lata jeszcze pozostań mi wierną; przez ten czas ja po całej Europie będę głosił twoją piękność, na wszystkich turniejach będę walczył jako twój rycerz, a potem skoro wrócę i zastanę cię wolną, przysięgam, że innej nie chcę znać małżonki! Na dowód, przyjm ten pocałunek.

Pochwycił ją w objęcia i gorący pocałunek wycisnął na jej ustach.

— Ha! ha! ha! — ozwał się w pobliżu jakiś śmiech urągliwy.

— Co to jest! — krzyknęła przerażona Geraldyna — to chyba szatan.

— Zgadłaś, to Herne — szepnął Surrey — a ja nawet nie mam miecza, żeby cię bronić.

— Toby się na nic nie zdało — odrzekła — uchodźmy ztąd, ja się lękam.

Ale kiedy stanęli u wyjścia, zagroził im drogę wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu; Surrey poznał księcia Richmond.

— A więc to tak! — zawołał książę z przyciskiem — a zatem powiedziano mi prawdę: trafiłem na schadzkę miłosną.

— Richmond! — rzekł hrabia surowo — byliśmy niegdyś przyjaciółmi, teraz jesteśmy wrogami. Mimoto ufam ci zupełnie i jestem pewny, że nie wydasz naszej tajemnicy.

— Dobrze mię osądziłeś, hrabio — odpowiedział Richmond — nie zdradzę was, ale skoro zostaniesz wolny, zażądam od ciebie rachunku...

— Nie omieszkam się stawić na wezwanie Waszej cześci — dumnie odrzekł Surrey.

— Zaniechajcie tej waśni, panowie, pogódźcie się! — błagalnie zawołała piękna Geraldyna. — Powiedziałam ci już, książe, że nie mogę cię pokochać, gdyż serce moje należy do hrabiego Surreya. Tyś zaszlachetny, ażeby mię zmuszać do związku, który mi jest wstrętny, zanadto wspaniałomyślny, ażeby mścić się za to.

— Zwyciężyłaś, pani — rzekł Richmond po krótkiej walce z sobą — nigdy już nie stanę na twojej drodze: Surrey, niech ona będzie twoją.

— Mój przyjacielu! — zawołał hrabia, rzucając się w jego objęcia.

— Twoje poświęcenie, książe, prędkiej czy później zasłużoną otrzyma nagrodę — rzekła Geraldyna — będzie nią ręka i serce lady Maryi Howard. Przez wdzięczność zdradzę tajemnicę, jaką mi powierzyła: ona cię kocha, książe.

— Czy być może! — zawołał Richmond — przyznaję, że piękność jej i cnoty silne na mnie sprawiły wrażenia i gdyby nie ty, lady Fitz-Gerald, dawno stanąłbym w rzędzie jej wielbicieli.

— Spróbuj tylko, a łatwo pozyskasz jej wzglę-

dy — rzekł Surrey — tymczasem, proszę cię, żebyś odprowadził do zamku piękną Geraldynę, ja zaś wrócę do więzienia.

— Powiedz, jakim sposobem wydostałeś się z niego? — zapytał Richmond — musiałeś porozumieć się ze strażą.

— Bynajmniej — odrzekł Surrey — czy wiesz, kto mię uwolnił, przywiódł tu piękną Geraldynę i zapewne zawiadomił ciebie o naszej schadzce? Herne we własnej osobie.

— Co ty mówisz! — zawołał książę — istotnie przyszedł do mnie jakiś nieznajomy mężczyzna i powiedział, że wy tu jesteście oboje. Ale czyż podobna, żeby to był on?

— On sam — ozwał się Herne, wychodząc z za drzewa — tylko nie przypuszczałem, żeby to spotkanie w ten sposób skończyć się miało.

— Precz ztąd, szatanie! — zawołał Surrey. Herne zaśmiał się szydlerczo.

— Śliczna wdzięczność za to, że sprowadziłem tu twoją lubą, ale będę lepszym od ciebie i pomogę ci dostać się napowrót do więzienia, gdyż bezemnie nie trafiłbyś tam nigdy.

Surrey po raz ostatni przycisnął do serca piękną Geraldynę i, powierzywszy ją przyjacielowi, poszedł za swoim przewodnikiem. Żołnierz stojący na straży, na widok Herna padł twarzą na ziemię, więzień mógł więc bez przeszkody dostać się do swojej celi.

II.

Tajemnicza pieczara.

W tydzień później hrabia Surrey został wypuszczony na wolność, ale jednocześnie piękna Geraldyna otrzymała rozkaz udania się do Irlandyi, i wyjechała, zapewniwszy młodzieńca za pośrednictwem lady Maryi Howard o swojej niezłomnej miłości. Książę Richmond zwrócił teraz swoje zaloty ku pięknej siostrze przyjaciela i rzeczy zaszły tak daleko, że prosił księcia Norfolk o jej rękę. Książę, zasiągnąwszy zdania monarchy, dał swoje zezwolenie i zaręczyny uroczyście odbyły się w Windsorze.

Przyszli szwagrowie, Surrey i Richmond, w większej niż kiedykolwiek byli przyjaźni. Raz, kiedy wyjechali razem do parku w piękny jesienny poranek, hrabia w ten sposób odezwał się do Richmonda:

— Czy wiesz, jaki mam zamiar? Oto chcę koniecznie zbadać tajemnicę Herna i uwolnić okolicę od téj plagi; pragnę, żebyś mi w tém dopomógł.

— Nie pochwalam twój myśli — odrzekł książę — król, mój ojciec, usiłował już kilkakrotnie pozbyć go się z lasu, a jednak to mu się nie udało.

— Tém większa chwała dla nas, jeżeli nam się uda — odparł Surrey. — Tém nocy pojedę do lasu.

— Nie radziłbym ci czynić tego, ale jesteś panem swojej woli.

W milczeniu dojechali do chaty leśnika Tristrama, zupełnie teraz opustoszonej; zsiadli właśnie z koni, żeby do niej zajrzeć, kiedy wtem ujrzeli łódkę szybko zbliżającą się do brzegu. Siedział w niej wysmukły młodzieniec czarno ubrany, w którym ku wielkiej swojej radości poznali sir Tomasza Wyatt. Powitanie było nader serdeczne, a Surrey wyraził swoje zdziwienie, że nic nie wiedział o powrocie przyjaciela.

— Już miesiąc temu jak przyjechałem z Francji — odrzekł Wyatt — ale nie zjawię się na dworze, dopóki nie zostanę wezwany.

— Ale cóż ty tu robisz? — zapytał Richmond.

— Zaraz wam powiem, co mię tu sprowadza. Słyszeliście pewno, że przed wyjazdem do Francji spędziłem kilka dni z Hernem; nie mogę wam opowiedzieć tego, co mi się wtedy przytrafiło, ale przysięgam, że nie spocznę, dopóki ztąd nie wygnam ducha Myśliwca.

— Ja taki sam miałem zamiar! — zawołał Surrey — spytaj się Richmonda; będziemy działali razem.

— Czy nie wiecie, co się stało z piękną dziewczyną, która mieszkała w téj chacie? — zagadnął Wyatt.

— A, to dziwna historia — odrzekł Richmond i opowiedział mu losy Mabeli Lynwood.

— Zdaje mi się, że zdołam rozwikłać tę tajemnicę — rzekł Wyatt, wysłuchawszy uważnie jego

opowiadania—jutro o północy spotkamy się w lesie, tymczasem ja sam muszę działać.

— Powiedz mi, co zamierzasz czynić?—zapytał Surrey.

— Teraz jeszcze nie mogę nic powiedzieć — odrzekł Wyatt — nie będę jednak tał przed wami, że moje przedsięwzięcie jest bardzo niebezpieczne, dlatego głównie nie chcę, żebyś mi towarzyszył, Surrey. Jeżeli jutro o północy nie znajdziecie mnie tutaj, bądźcie pewni, że zginąłem, albo jestem w niewoli.

— Wolałbym dzielić z tobą niebezpieczeństwo — nalegał Surrey.

— Wiem o tém i dziękuję ci — rzekł Wyatt, ściskając jego rękę — ale tymczasem muszę sam się na nie narazić. Jutro o północy spotkamy się w tém samym miejscu.

— Przyprawdę z sobą sześciu najtęższych łuczników! — zawołał Surrey — a gdybyś nie przyszedł, uwolnię cię, albo pomszczę śmierć twoją.

— Nie pochwalam ja téj wyprawy—odezwał się Richmond — ale nie chcę opuścić was w niebezpieczeństwie.

Niebawem się pożegnali: Surrey i Richmond wsiedli na koń i wrócili do zamku, sir Wyatt odpłynął łodzią. Zaledwie znikli, ze strychu spuszczone sznurową drabinę i dwóch ludzi zeszło po niej na ziemię.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się jeden — nie wiedzieli, kto ich słucha. Herna chcę wypędzić

z lasu albo wziąć w niewolę, jak ci się to podoba, Fenwolf?

— Nie wiedzą, z kim mają do czynienia — odrzekł drugi.

— Dowiedzą się o tém wkrótce. Wyatt udaje, że ma taką zawziętość przeciwko mnie, a tymczasem głównym celem jego wyprawy jest chęć ujrzenia Mabeli. Dziewczyna silnie na nim sprawiła wrażenie. Jestem pewny, że będzie jój szukał w pieczarze, zna bowiem tajemne do niéj wejście.

— Jeżeli się dostanie do pieczary, nigdy już z niéj nie wyjdzie — ponuro rzekł Fenwolf

— To jeszcze nie wiadomo — odparł Herne— chciałbym go zaciągnąć do mojej bandy.

— To daremne, on nie zechce! — zawołał Fenwolf.

— Kto wie, jeżeli mu ofiaruję Mabel za przyjętą?

— Nie uczynisz tego, panie! — rzekł Fenwolf, błędąc — ona do mnie należy.

— Co? do ciebie, szaleńcze! — zaśmiał się szydlerzo Herne— taki skarb miałbym oddać tobie? Ale nie, bądź spokojny, Wyatt jój nie dostanie.

— Przeznaczasz ją więc dla siebie?

— Jak śmiesz mię badać? — krzyknął Herne, uderzając go w twarz żelazną rękawicą — to cię nauczy szacunku.

— A teraz na mnie kolój! — zawołał Fenwolf, wyciągając nóż z za pasa — przekonam się, czyś śmiertelny, czy nie?

Pchnął go z całej siły w serce, ale ostrze stali

zesunęło się, jakby po żelazie, i Herne zaśmiał się szatańsko. Nigdy jeszcze postać jego nie wydała się leśnikowi tak straszną: oczy iskrzyły mu się jak węgle, szpetne oblicze przybrało wyraz takiej wściekłości, że Fenwolf padł na kolana przerażony.

— Podły psie! — ryknął Herne pioronującym głosem — i tyś myślał, że można mię zabić tą bronią co wszystkich! Nie minie cię przykładna kara!

Żelazną dłonią pochwycił go za gardło; Morgan Fenwolf byłby za chwilę wydał ostatnie tchnienie, gdyby nie nagły szelest u drzwi chaty. Herne odwrócił się i spostrzegł Tristrama Lynwood.

— Ach! to ty — rzekł — w samą porę przychodzisz, żeby być świadkiem śmierci tego zdrajcy.

— Błagam cię, daruj mu życie, panie! — prosił Tristram.

— Dobrze, niech żyje — odrzekł Herne, patrząc z pogardą na nieprzytomnego z trwogi leśnika — ale dlaczego opuściłeś swoją kryjówkę, Tristramie?

— Przeszedłem oznajmić ci, że jakiś człowiek kieruje się w stronę pieczary.

— Wiem, to sir Tomasz Wyatt. Obaj z Morganem idźcie do podziemia, ale jeżeli zastaniecie tam sir Tomasza, nie czyńcie mu nic złego. Przekroczenie mego rozkazu surowo zostałoby ukarane.

Wyszedł z chaty i wnet zniknął w zaroślach.

Tymczasem sir Tomasz przybił do brzegu i zaczął szukać wśród splątanej gęstwiny krzewów wejścia do pieczary. Nieprędko znalazł kamień kryjący

je i odwaliwszy go, odważnie zapuścił się w głąb podziemnego korytarza. Jakiś czas szedł po omacku, schylając się niekiedy, żeby głową nie uderzyć o sklepienie. Powietrze stawało się coraz to wilgotniejsze, a to go naprowadziło na domysł, że musi być w pobliżu wody, którą widział w głębi pieczary. Naraz ujrzał w oddali mdłe światelko lampy. Przekonany, że tam Mabel musiała być ukryta, poskoczył naprzód, wołając po imieniu. Wnet jednakże pożałował tego, gdyż światelko natychmiast zagasło i nieprzebite ogarnęły go ciemności. Lękając się jakiejś zasadzki, szedł teraz ostrożnie i od czasu do czasu powtarzał stłumionym głosem imię Mabeli.

— Kto mię woła? — odezwał się w pobliżu łagodny głos niewieści.

— Przyjaciel — odrzekł Wyatt.

— Twoje imię?

— Nieznane ci jest pewno. Nazywam się sir Tomasz Wyatt.

— Owszem, znam cię, szlachetny panie — rzekła Mabel ze wzruszeniem — ale poco tu przyszedłeś? Czy wiesz gdzie jesteś?

— W jaskini Herna. Przyszedłem cię wyzwobodzić, uciekaj ze mną.

— Niestety! nie mogę — westchnęła — Herne przysiągł, że gdybym uciekła, zabije mego dziadka, a na mnie pomści się straszliwie. Nie wątpię, że dotrzymałby słowa. Ale chodź dalej, zaprowadzę cię do mojej izdebki.

Podawała mu rękę i, przeszedłszy korytarz, otwo-

rzyła drzwi małej celki wykutej w skale. Na kamiennym stoliczku płonęła lampa, oświecając blade lecz zawsze piękne oblicze dziewczęcia.

— Jak dawno jesteś tu uwięziona? — zapytał Wyatt.

— Ze trzy miesiące pewno—odrzekła smutnie— ach! jakże długim ten czas mi się wydawał! Kiedyż zobaczę słońce, odetchnę czystém, świeżém powietrzem!

— Uciekaj ze mną, a będziesz wolna — nalegał Wyatt.

— Nie mogę poświęcić życia dziadka.

— Ależ on się zaprzedał szatanowi, nie zasługuje więc na żadne względy! — zawołał Wyatt — powinnaś myśleć o sobie tylko. Czy nie wiesz, dlaczego Herne cię tu więzi?

— Domyślam się tylko i truchleję... Herne mię kocha...

— Tembardziej powinnaś uciekać! — zawołał Wyatt — inaczej zgubisz ciało i duszę.

— Niestety! niema już dla mnie nadziei! — jęknęła.

— Jest nadzieja — odparł młodzieniec — ja cię kocham i wyrwę cię z rąk szatana.

— Ty mię kochasz, o panie!—szepnęła Mabel, rumieniąc się—inna kobieta posiada przecież twoje serce...

— O nie, przekonałem się, że ona niewarta mojej miłości i przez ten czas zdołałem ją stłumić. Ale ty nie jesteś podobno obojętną na zaloty króla?

— I ja zmieniłam zdanie — odrzekła Mabel,

uśmiechając się — miłość króla pochlebiała tylko mojej próżności, ale serce komu innemu oddałam.

— Mabel — rzekł Wyatt, ujmując jej rękę — jeżeli cię uwolnię, czy będziesz mię kochała?

— Kocham cię już — szepnęła — ha! co to jest? Słyszę zbliżające się kroki.. Ukryj się, to pewno Fenwolf.

Zaledwie Wyatt zdążył się ukryć, do izdebki wszedł Fenwolf z Tristramem.

— Czego żądasz? — spytało dziewczę drżące i wylękłe.

— Herne cię wzywa, jest w jaskini — odrzekł leśnik.

— Przyjdę później.

— Musisz iść natychmiast, on czekać nie lubi.

Zaledwie Mabel wyszła, on zamknął drzwi na zasuwę, wołając szyderczo:

— Mamy cię teraz, sir Tomaszul! Nie będziesz mógł uciec z piękną dziewczyną, ani zdradzić naszej tajemnicy.

III.

Miłość Herna.

Pomimo krzyku i błagania Mabeli, Fenwolf gwałtem zaciągnął ją do jaskini; Tristram nie odzywał się wcale i w ponurém milczeniu rozpałał ogień, unikając wzroku wnuczki.

— Herna jeszcze niema — ze łzami mówiła dziewczyna — błagam cię, wypuść sir Tomasza, nie oddawaj go w ręce swemu panu!

— Wypuszczę sir Tomasza, jeżeli przyrzekniesz być moją — cicho rzekł do niej Fenwolf — narażę się nawet na gniew Herna dla ciebie.

Mabel ze wstrętem odwróciła się od niego.

Fenwolf wraz z Tristrmem zasiedli do obiadu, ale stroskane dziewczę nic przełknąć nie mogło, rozmyślając nad sposobem uwolnienia sir Tomasza. W godzinę później rozległ się odgłos rogu i z bocznego korytarza wypadł Herne, na wspaniałym karym rumaku z rozwianą grzywą i rozdętymi nozdrzami. Zeskoczywszy z niego, zadał młodemu leśnikowi kilka pytań po cichu i rozkazał mu odprawić konia do stajni. Potem oddalił starego Tristrma i zbliżył się do Mabeli.

— Widziałś więc sir Tomasza Wyatt? — rzekł surowo.

Dziewczę nic nie odpowiedziało.

— Wyznał ci pewno swoją miłość i chciał, żebyś z nim uciekła — badał dalej.

Mabel nie podniosła oczu, tylko gorący rumieniec oblał jój lica.

— Przedsięwzięcie jego było szalone, musi więc teraz znieść jego skutki — mówił Herne.

— O nie zabijaj go! — błagalnie zawołała Mabel.

— Nie, kto inny go zabije — głód! — zaśmiał się Herne — nie wyjdzie żyw z téj jaskini, chyba, że przyłączy się do mojej bandy. Ale dosyć już

o nim, teraz o sobie chcę pomówić. Kocham cię, Mabel, i postanowiłem, że będziesz moją. Wzdrygasz się? czemu? Wszakże to świetny los być żoną władcy tych lasów, potężniejszego niż sam król. Razem będziemy po nocy gonili rączę jelenie, razem pływali po jeziorze; poznasz całą rozkosz łowów, cały urok swobody. Zbiorę bandę liczniejszą niż przedtem, ażeby składała ci hołdy i uznała za swoją panią i królowę. Będziesz miała tak jak ja prawo życia i śmierci nad nimi, ja zaś będę cię kochał i ubóstwiał.

Chciał ująć ję rękę, ale ona ze zgrozą cofnęła się przed nim.

— W téj chwili masz do mnie wstręt i odrazę — mówił dalej Herne — ale przyjdzie czas, kiedy będziesz mię kochać tak jak mię kochała ta, do której jesteś tak podobną.

— Czy ona umarła? — z mimowolną ciekawością zapytała Mabel.

— Czy umarła? — zawołał Herne — sto pięćdziesiąt lat upłynęło, odkąd żyła na téj ziemi. Żołądz, którą wtedy zasadziła, dziś jest wspaniałym dębem. Wszyscy o niej już zapomnieli, tylko ja zawsze pamiętam... Za zbrodnię, którą niegdyś popełniłem, muszę pokutować po tym lesie i będę pokutował aż do dnia Sądu Ostatecznego.

— Uwolnij mnie, uwolnij sir Tomasza, a będziemy się modlili o przebaczenie dla ciebie! — zawołała Mabel.

— Dosyć tego! — krzyknął Herne — nie wspominaj przy mnie o modlitwie. Odpowiedz mi teraz: czy chcesz być moją?

— Nigdy! — rzekła, wzdrygając się.

— A jednak nie możesz uniknąć swego losu — zaśmiał się Herne — słuchaj, jeżeli dobrowolnie zgodzisz się na to, daruję sir Tomaszowi wolność i życie.

— Nie mogę! nie mogę!

— Obsypię cię złotem i drogiemi kamieniami; dam ci szaty piękniejsze niż ma Anna Boleyn.

— Nie chcę!

— Nie będę zważał na twój opór. Jutro o północy odbędą się nasze zaślubiny.

— Zaślubiny! — powtórzyła przerażona Mabel.

— Tak, ten kamień na którym niegdyś Dawidowe składali ofiary, będzie nam ołtarzem; przed nim oboje straszną zwiążemy się przysięgą.

Zatrąbił w róg, wzywając do siebie Fenwolfa i Tristrama, dał im po cichu jakieś zlecenie, a sam zniknął w jednym z podziemnych korytarzy. Mabel napróżno starała się dowiedzieć od Fenwolfa, co Herne postanowił uczynić z sir Tomaszem; zbywał ją krótko i opryskliwie, dopóki stary leśnik nie oddalił się z pieczary; wtedy zmienił odrazu ton i rzekł do dziewczęcia:

— Słyszałem twoją rozmowę z Hernem. Bądź moją, a wyswobodzę cię od niego.

— Z dwojga złego nie wiem, którebym wybrała — odparła — jeżeli chcesz mi oddać przysługę, to uwolnij sir Tomasza.

— Uwolnię go, jeżeli się zgodzisz na moje warunki.

Tristram w téj chwili powrócił, niosąc udziec

jeleni, który upieczono na węglach. Po wieczerzy Fenwolf zaprowadził dziewczę do małej celki i zarygłował drzwi za nią.

Tymczasem sir Tomasz pędził długie godziny w niepewności i rozpacz. Z początku starał się drzwi wyłamać, ale mocne deski dębowe okute w żelazo oparły się sile jego ręki; słyszał krzyk Mabeli uprowadzaną przez Fenwolfa i trwoga o los dziewczęcia na chwilę wszelkie inne zagłuszyła uczucia. Cela w której go zamknięto była wykuta w skałę i miała prócz drzwi jeden tylko wąski otwór, którego powietrze się dostawało; o wydostaniu się z niej niepodobna było myśleć.

Znużony fizycznie i moralnie, rzucił się wreszcie na posłanie ze słomy i pomimo troski, jaka go przygniałała, zasnął głęboko. Kiedy się obudził, spostrzegł na stole bochenek chleba, kawał pieczonego mięsa i butelkę wina. Na ten widok lżej odetchnął, oczywiście nie chciano zamorzyć go głodem. Z młodzieńczym apetytem spożył przyniesione zapasy, czekając niecierpliwie, czy kto się nie zjawi, godziny jednak wlokły się długie jak wieczność, a do celi nikt nie przychodził.

Sen znowu go zmorzył, straszniemi przerywany widzeniami; nagle uczuł jakąś rękę na swoim ramieniu i znany dobrze głos wymówił jego imię. Zerwał się na pół przytomny jeszcze i ujrzał przed sobą ohydną postać Herna.

— Witam cię po raz drugi w moim domu, sir Tomaszu Wyatt—rzekł urągliwie—mówiłem ci, że mi nie ujdiesz i oto jesteś znowu w mojej mocy, ha! ha!

— Nie lękam się ciebie, szatanie — odparł Wyatt—byłem niegdyś tak szalony, że chciałem ci oddać moją duszę w zamian za miłość kobiety, ale teraz zrywam ten układ.

— A cóż mię to obchodzi? — szydził Herne—mimoto należysz do mnie.

— Nieprawda!—krzyknął młodzieniec—możesz zabić moje ciało, ale nad duszą nie masz żadnej mocy.

— A któż tu żąda twojej duszy? możesz być o nią spokojny, poczciwy sir Tomasz—ze śmiechem odparł Herne—widzę, że i ty mię masz za szatana, no, myślałem żeś mądrzejszy. Jakże to łatwo ludziom zamydlić oczy i wmówić w nich największe niedorzeczności! Trzeba być tylko zręcznym, śmiałym, ambitnym i posiadać niektóre tajemnice nieznanne ogółowi. Nie lękaj się więc o swoją duszę, sir Tomasz, gdyż na nicby mi się nie przydała; czego innego żądam od ciebie. Musisz przysiąc na wszystkie potęgi niebios i piekieł, że nie zdradzisz tego co będziesz tu widział, że będziesz mi posłuszny we wszystkim, że postarasz się zwiększyć moją bandę i będziesz mi pomagał we wszystkich przedsięwzięciach. Jeżeli się zgodzisz, uwolnię cię zaraz; jeżeli odmówisz, zginiesz głodną śmiercią.

— Odmawiam—śmiało odrzekł Wyatt—wolę umrzeć niż mieć z tobą co wspólnego. Broń się!

Wydobył szpadę i chciał się rzucić na Herna, ale ten żelazną dłonią wyrwał mu miecz z ręki i cisnął w kąt z pogardliwym śmiechem.

— Szaleńcze!—zawołał—i ty ze mną chciałeś się mierzyć! Ależ w całym królestwie niema czło-

wieka, coby mi sprostał pod względem siły i umiejętności władania bronią, od nagłych zaś napadów stalowa koszulka mię zabezpiecza. Zastanów się dobrze nad moją propozycją, możesz na tém zyskać; my we dwóch większą mielibyśmy władzę niż sam król Henryk; nikt przeciw nam ręki nie podniesie, każdy bowiem mniema, że jestem szatanem we własnej osobie. Wykonaj przysięgę i idź do chaty leśnika powiedzieć swoim przyjaciółom, że nie mogłeś nic ze mną wskórać.

— Zkąd wiesz o naszym umówioném spotkaniu? — zapytał Wyatt.

— Ja wiem o wszystkim—zaśmiał się Herne—o północy macie się zejść, a teraz jest już wieczór. Jeżeli ty się nie stawisz na schadzkę, to ja tam będę i pochwycę ich obu. Wykonaj przysięgę, a ocalisz swoich przyjaciół.

— Przedtem muszę wiedzieć, co się stało z Mabel Lynwood — rzekł Wyatt.

— Mabel niczém jest dla ciebie—odparł Herne.

— Mylisz się, dla jój ocalenia gotów jestem uczynić ofiarę, której dla ciebie ponieść nie chciałem. Uwolnij ją, pozwól jój iść ze mną, a wykonam przysięgę jakiej żądasz.

— Nie—stanowczo odrzekł Herne—ona nigdy nie będzie twoją, musisz jój się wyrzec. Daję ci jeszcze dwie godziny do namysłu, wrócę przed północą po odpowiedź. Jeżeli odmówisz, wydasz wyrok śmierci na siebie; tobie jednemu powierzyłem tajemnicę, której nikt nie zna, nie mogę więc puścić cię żywego.

Zwrócił się do drzwi i zaryglował je za sobą.

IV.

U c i e c z k a.

Kiedy Fenwolf z nadejściem nocy chciał jak zwykle zamknąć Mabel w celi, spostrzegł, że rygle są oderwane, zasunął więc drzwi ławą i położył się na niej. Opodal legł stary leśnik i niebawem w pieczarze zapanowała cisza, przerywana tylko chrapaniem Fenwolfa. Tristram tego tylko czekał i ostrożnie podsunął się ku niemu, trzymając dłoń na rękojeści noża. W tej chwili jednak Fenwolf się obudził i pochwycił starca za gardło.

— Ha! zdrajco! — krzyknął — chciałeś mię zamordować!

— Oszalałeś chyba — gniewnie odparł Tristram — usłyszałem szelest w celi Wyatta i chciałem cię właśnie zbudzić.

— Tak, to co innego — mruknął leśnik — chodźmy obaj zobaczyć co się tam dzieje.

Poszli, a tymczasem Mabel, która wszystko słyszała, z takim pośpiechem wybiegła z celi, że przewróciła ławę, stojącą we drzwiach. Zaledwie zdążyła postawić ją na swoim miejscu i ukryć się w głębi korytarza, kiedy Fenwolf z Tristramem powrócili.

— Więzień śpi — rzekł pierwszy — ale dla większego bezpieczeństwa przyniosłem z sobą klucz od kłódki.

Położył się na ławie i wnet ozwało się głośne jego chrapanie; Mabel wtedy na palcach podeszła do dziadka, który natychmiast zerwał się z posłania.

— Udało nam się — szepnął — umyślnie popsułem rygle u drzwi twojej celi. Chodź, wyprowadzę cię z pieczary.

— Nie pójdę bez sir Tomasza — odrzekła stanowczo.

— Ha! to radź sobie sama. Fenwolf ma klucz od celi.

Mabel na palcach podsunęła się do śpiącego i zręcznym ruchem wyjęła mu klucz z za pasa. Mruknął coś przez sen i przewrócił się na ławie, ale tymczasem dziewczyna poskoczyła ku celi sir Tomasza i otworzyła ją bez hałasu.

Zbudzić go i objaśnić o wszystkim, było dziełem jednej chwili; teraz tylko należało myśleć o ucieczce. Nie mogli się wydostać wejściem znającym sir Tomaszowi, gdyż trzebaby przechodzić przez pieczarę, gdzie spał Fenwolf; Mabel nie знаła innego wyjścia, ale wiedziała gdzie jest stajnia.

— Ha! jesteście zatem uratowani, gdyż konie same nas ztąd wyprowadzą — rzekł Wyatt. — Spieszmy!

Krętami korytarzami doszli do pieczary, gdzie stało kilka karych koni. Wyatt jednemu założył uździenicę i, skoczywszy na grzbiet jego, umieścić dziewczę przed sobą. Jedno uderzenie ostrogi, a dzielny rumak cwałem puścił się w stronę przeciwną pieczary. Tętent obudził Fenwolfa; rzucił się za nimi,

klnąc straszliwie, ale już było zapóźno, gdyż koń skoczył w staw czerniejący w głębi jaskini i, przepłynąwszy go, wydostał się na wolność.

V.

Zamiary zemsty.

Fenwolf doprowadzony do wściekłości ucieczką obu więźniów, chciał się rzucić na Tristrama, ale wstrzymał się na widok noża w jego ręku.

— Poczekam dopóki Herne nie wróci — rzekł, piniąc się ze złości — zapłacisz ty drogo za tę zdradę.

— Co mi tam! — ponuro odparł leśnik — jestem na wszystko przygotowany. Nie chcę już dłużej służyć temu szatanowi.

— Jaktó! chciałbyś złamać przysięgę? Pomnij na skutki.

— Nie dbam o życie — mruknął Tristram — słuchaj, Fenwolf, ty mię nie zdradzisz, bo na równi ze mną nienawidzisz Herna i chciałbyś się na nim porzucić. Postanowiłem zgładzić ze świata tego potwora.

— Oby ci się udało! — odrzekł Fenwolf — dałbym życie, żeby się pomścić na nim.

— Dobrze, przyjmuję twoją ofiarę.

— Ale jak tego dokonasz? — niecierpliwie badał Fenwolf — on jest zaczarowany, bo nie ima go się

ani kula, ani ostrze miecza. Gdybyśmy mogli schwytać go i żywcem oddać królowi, z pewnością uzyskalibyśmy przebaczenie.

— O tém niema co myśleć, mam inny plan w głowie. Chodź ze mną.

Zaprowadził go do ustronnej jaskini zamkniętej na drzwi żelazne, gdzie rzędem pod ścianą ustawione były worki.

— To prochnia—rzekł Fenwolf— teraz już myśl twoję zgaduję: chcesz go wysadzić w powietrze, ale jakże tego dokonać bez niebezpieczeństwa dla nas samych?

— Wszystko biorę na siebie, musisz mi jednak pomódz. Trzeba rozsypać proch w około pieczary, przykryć go liśćmi suchymi i gałęziami a lontem połączyć z prochnią. Skoro Herne powróci, ja lont podpale.

— Rozumiem — rzekł Fenwolf — to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie, a skutek jego niepewny. Kto wie, czy ten szatan nie zwietrzy całej sprawy, w każdym razie jednak jestem gotów ci pomódz.

— Do roboty więc!—zawołał Tristram—Herne wróci przed północą, a chciałbym, żeby już wszystko było gotowe.

Każdy z nich wziął worek prochu na ramiona i obaj tajemnym przejściem wydostali się do lasu. Tristram poszedł na lewo, a Fenwolf na prawo, zataczając okrąg wokoło pieczary. Od kilku tygodni panowała susza, nie brakło więc w lesie materiału palnego; proch, sypany obficie wokoło

uschłych gałęzi i drzew spróchniałych, miał ognistém kołem objąć całą pieczarę, ażeby żadna dusza żywa ztamtąd wyjść nie mogła.

Kilkakrotnie wracali do składu po nowy zapas prochu, aż wreszcie na godzinę przed północą ukończyli robotę.

— Czy widzisz to spróchniałe drzewo?— rzekł Tristram — ono stoi nad prochownią; udało mi się wywiercić dziurę wśród korzeni i tędy mam zamiar lont zapuścić.

— Wyborna myśl!— zawołał Fenwolf— zaraz przyniosę wszystko co trzeba.

W pół godziny później lont był zapuszczony aż do prochowni.

— Teraz już Herne nam nie ujdzie — rzekł Fenwolf, śmiejąc się złowrogo.

Ledwie to wymówił, rozległ się tętent i Herne na swoim karym wierzchowcu wypadł jak strzała z zarośli.

— Co tu robicie? — zawołał, osadzając konia na miejscu — kazałem wam pilnować dziewczyny i więźnia.

— Oboje uciekli i właśnie ich szukamy — odrzekł Fenwolf.

— Uciekli!—krzyknął Herne, zeskakując z konia — wyście mię zdradzili, podłe psy! Życiem zapłacicie mi za to!

— Nie mieliśmy żadnego w tém udziału — odburknął Fenwolf — Mabel skorzystała z naszego snu, żeby się wydostać i uwolnić sir Tomasza.

— Bodaj piekło ich pochłoneło i was takżel—

klął rozwścieczony Herne — drogo mi za to zapłacicie! Jak dawno uciekli?

— Dwie godziny temu — odrzekł Fenwolf.

— Wracajcie do pieczary — rozkazał Herne — jeżeli nie odzyskam dziewczyny, biada wam obu!

I skoczywszy na konia, znikł w gęstwinie.

— Biada tobie, szatanie! — mruknął Fenwolf — zgotujemy ci przyjęcie, na jakie zasługujesz. Szkoda, żeśmy teraz nie podpalili lontu, Tristramie, choćby nawet przyszło nam zginąć razem z nim.

— Bądź spokojny, to go nie minie; zemsta nasza będzie tém pewniejsza — odrzekł starzec — ja pozostanę w zaroślach i skoro go zobaczę, podpalę ten stos prochu ukryty pod suchymi liśćmi.

— Ja zaś ukryję się w tém wypróchniałém drzewie i na pierwszy znak skrzeseć ognia.

Kiedy to się działo w pobliżu pieczary, Surrey i Richmond wraz z sześcioma łucznikami wyjechali z zamku, kierując się w stronę jeziora. Nagle z bocznej alei wysunęło się dwóch jeźdźców na dzielnych rumakach i bez ceremonii przyłączyli się do nich; mieli ciemne płaszcze i kapelusze z wielkimi skrzydłami, które im zasłaniały większą część twarzy.

— Las windsorski nie jest zbyt bezpieczny wśród nocy — rzekł jeden z nich do Surreya — pozwolicie więc, moi panowie, że się do was przyłączymy.

— Ale my w inną stronę podążamy — odparł młodzieniec, nierad z tego towarzystwa — jedziemy nad jezioro.

— My również — odrzekł nieznajomy i dodał po chwili — podobno wasza wyprawa ma na celu wypędzenie Herna z lasu?

— Dlaczego pytasz się o to? — niechętnie zagadnął Surrey.

— Bo w takim razie ja i mój przyjaciel, Tony Crispyn, chcielibyśmy wziąć w tém udział; mam ja dawne rachunki z Hernem i radbym je dziś załatwić.

— A jaby ci radził, Hugonie Dacre, pozostawić tę sprawę tym młodym zuchom — wtrącił Crispyn.

— Nie, jako żywo! — zawołał Dacre — będziemy im towarzyszyli, jeżeli się na to zgodzą.

— Będę z wami szczerem, moi panowie—rzekł Surrey — istotnie mamy zamiar ścigać téj nocy ducha Myśliwca, chętnie więc przyjmujemy waszą pomoc. Stawiam tylko ten warunek, ażebyście o nic nie badali i spełniali ściśle nasze polecenia; inaczej bylibyście nam zawadą.

— Zgadzą się na to, nieprawdaż Tony?

Tamten mruknął coś niechętnie.

— A teraz czy mogę się zapytać, dokąd idziemy? — zapytał Dacre.

— Do chaty nad jeziorem—odrzekł Surrey — spodziewamy się zastać tam jeszcze jednego towarzysza.

— Wszakże w téj chacie mieszkał Tristram Lynwood?

— Nieinaczej, chcemy właśnie uwolnić jego wnuczkę ze szpon tego szatana.

— To mi się podoba! — zawołał Dacre — dzielne z was junaki!

Podjechał do towarzysza i rozmawiał z nim po cichu, a tymczasem Richmond oświadczył hrabiemu Surrey, że nie dowierza tym dwóm obcym ludziom i podejrzywa nawet, że przemawiają zmienionym umyślnie głosem. Surrey odpowiedział, że radby ich się także pozbyć, lecz nie widzi sposobu.

Byli może o pół mili od jeziora, kiedy usłyszeli wśród zarośli wołanie o pomoc. Pospieszyli tam zaraz i, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, ujrzeni sir Tomasza Wyatt trzymającego w objęciach zemdloną Mabel. Surrey natychmiast zeskoczył z konia, pytając przyjaciela co się stało.

— Zadługo byłoby opowiadać—odrzekł Wyatt — dosyć, że z pomocą téj panny udało mi się ująć cało ze szpon Herna. Niepokój i trwoga podziały jednak tak źle na biedne dziewczę, znękanie niewolą i cierpieniami, że straciła przytomność. Wydostawszy się więc na bezpieczniejsze miejsce, starałem się ją ocucić, ale choć otworzy oczy na chwilę, wnet powtórnie mdleje; lękam się, czy nie skona w lesie. Koń tymczasem uciekł, najlepij zatem przenieść ją na noszach do zamku.

Mniemany Hugon Dacre także zeskoczył z konia i, odsuwając hrabiego Surrey, ujął rękę Mabeli.

— Biedne dziewczę — rzekł z żalem — nie przypuszczałem, że cię ujrzę w tym stanie.

— A więc ją znacie? — zagadnął Surrey.

Dacre potwierdzająco skinął głową.

— Kto to jest? — po cichu zapytał Wyatt.

— Nie wiem—odrzekł Surrey—przyłączył się do nas na drodze.

— Sir Tomasz Wyatt zna mię dobrze — z przy-ciskiem rzekł obcy — ale nie pora teraz na wyjaśnienia, musimy zająć się tą biedną dziewczyną i przenieść ją w bezpieczne miejsce. Potem będziemy ścigali Herna.

Urządzono naprędce nosze z gałęzi i złożono na nich zemdloną Mabel; niosło ją czterech łuczników, a za nimi jechała cała kawalkada. Nagle z bocznej alei wypadł jak błyskawica jeździec na karym rumaku, przewrócił najbliższego łucznika i zanim ktokolwiek zdołał pomyśleć o oporze, porwał dziewczę na konia i z tryumfującym śmiechem pognął w gęstwinię.

— To Hernel to Hernel — krzyknęli wszyscy i rzucili się za nim.

Szalony to był pościg, podobny do jakiegoś piekielnej gonitwy. Dzielne rumaki, zachęcane głosem i ostrogami, pędziły jak wicher, Herne mimoto wyprzedzał wszystkich i od czasu do czasu szatański śmiech jego rozlegał się po lesie. Rozpacz i wściekłość dodawały sił sir Tomaszowi; pochylony naprzód, z okiem utkwionem w dziką postać jeźdźca unoszącego zemdloną Mabel, gnał na oślep bez względu na wszelkie przeszkody.

Byli już niedaleko jeziora, kiedy nagły blask rozświetlił głąb lasu; jednocześnie dał się słyszeć huk przerażający, jak gdyby ziemia trzęsła się w posadach, a po nim nastąpił wybuch... Olbrzymie skały odłamy wleciały w górę, gruchocząc stu-

letnie drzewa; tysiące ognistych języków strzeliło naraz z sykiem i łoskotem, cały las zaczął się palić.

Przerażeni jeźdźcy wstrzymali konie, nie wiedząc co to znaczy, Herne także na chwilę ściągnął rumaka, ale wnet puścił go znowu i zaczął pędzić brzegiem płonącego koła. Wyatt pierwszy rzucił się za nim, inni zaś poszli za jego przykładem. Już, już go doganiali, już sir Tomasz wyciągał rękę, żeby pochwycić Mabel, kiedy wtém Herne spiął konia i jednym olbrzymim skokiem przesadził przez szeroki szlak ognia. Urągliwy śmiech jego zabrzmiał raz jeszcze, do rozpacz przywodząc ścigających; chcieli także przeskoczyć przez płomienie, ale przerażone konie odmówiły skoku.

Poza ognistém kołem znowu ukazał się Herne nietknięty i tryumfujący, leciał on w stronę jeziora i niebawem pogrążył się w jego łonie, unikając zarazem ognia i pogoni.

Przeraźliwy krzyk odwrócił uwagę wszystkich od piekielnego jeźdźca; na szczycie drzewa, które paliło się już od dołu siedział Fenwolf i rozdzierającym głosem wzywał pomocy; nikt mu jój dać nie mógł, gdyż wokoło buchały płomienie i trzeba było o własném myśleć bezpieczeństwie. Jakiś czas jeszcze rozlegały się jego jęki i przeraźliwe wrzaski, potem ozwał się głuchy łoskot ciała spadającego w ogień, a wreszcie wszystko ucichło.

Uczestnicy wyprawy nie myśleli jednak o powrocie do zamku; przypisując ten nagły pożar szatańskiej mocy, spoglądali w milczeniu na gorejące

nakształt pochodni drzewa i zaprzestali wszelkiéj za Hernem pogoni.

Przy blasku ognia okazało się, że mniemany Dacre był to sam król, a towarzysz jego książę Suffolk. Henryk był mocno strapiony losem pięknej wnuczki leśnika, ale sam przyznawał, że niepodobna było myśleć o ratunku dla niéj.

Nad ranem pożar zaczął przygasać, tylko gdziegdzie dymiły się jeszcze stosy zeschniętych liści i gałęzi. Król z księciem Suffolk i łucznikami powrócił do zamku, Wyatt, Surrey i Richmond skierowali się w stronę chaty leśnika. Nagle wśród ciszy doszło ich uszu żalosne łkanie i nad jeziorem spostrzegli starca klęczącego nad zwłokami kobiety. Był to Tristram Lynwood, który właśnie wyciągnął z wody ciało nieszczęsnej wnuczki; odzież jéj była przemokła, włosy rozpuszczone, lica blade jak marmur.

Wyatt pierwszy zeskoczył z konia i rzucił się na kolana przy zwłokach dziewczęcia.

— Nie żyje! — zawołał z rozpaczą i, pochyliwszy się nad nią, złożył ostatni pocałunek na zimném czole.

— Znalazłem jéj ciało uplątane w sitowjach i właśnie wyciągnąłem je na brzeg, kiedyście nadjechali — mówił starzec, szlochając — zaklinam was na Boga, sprawcie jéj chrześciański pogrzeb... Dla mnie wszystko skończone.

I zanim zdołano mu przeszkodzić, skoczył w tonie jeziora, raz jeszcze wypłynął, a potem zniknął nazawsze.

KSIEGA VI.

JOANNA SEYMOUR.

I.

Nowa miłość.

W siedm lat później, a zatem w r. 1536, król Henryk z wielką uroczystością obchodził w Windsorze święto orderu Podwiązki. Wiele przez ten czas ważnych stało się zdarzeń: kardynał Wolsey, strapiony niełaską monarszą, umarł ze zgryzoty w opactwie Leicester r. 1530; cierpienia Katarzyny aragońskiej wiele dłużej się przeciągnęły. Rozwiedziona z królem, musiała być świadkiem wyniesienia na tron Anny Boleyn i w zamku Kimbolton pędziła odtąd ciche i samotne życie. Czując zbliżający się koniec, błagała, żeby jój było wolno po raz ostatni uściskać i pobłogostawić córkę, ale okrutny Henryk i temu odmówił żądaniu. Na łożu śmiertelném napisała do niego list, który go do

łez poruszył; przerywanym głosem wychwalał jęj cnoty, a potem oddalił się do swoich pokojów, żeby w samotności oddać się żalowi. W dzień pogrzebu kazał odprawić w Windsorze nabożeństwo żałobne za jęj duszę, sam przywdział żałobę i wymagał, żeby cały dwór ją nosił.

Anna Boleyn jednak nie zgodziła się na to; pomimo, że osiągnęła cel swoich marzeń ambitnych, pomimo, że była koronowana na królowę, pomimo, że dwa lata przedtem, r. 1534, powiła córeczkę, księżniczkę Elżbietę, która później panowała pod tém imieniem — zawsze w głębi serca obawiała się nieszczęśliwej Katarzyny. Dowiedziawszy się o jęj śmierci, nie kryła wcale swojej radości i, klaszcząc w ręce, wołała głośno: „Teraz dopiero jestem naprawdę królową!” W dzień pogrzebu ubrała się bardzo strojnie i damom swego dworu kazała przywdziać jasne szaty; dowiodła tém jak mało miała serca i taktu.

Nie wiedziała, że niezadługo mściwa ręka losu spocznie na nięj i każe jęj srogo odpokutować, za winy popełnione względem nieszczęsnej, znieważonej przez nią królowej.

Inne zmiany zaszły także na dworze. Hrabia Surrey powrócił, objechawszy Włochy, Francją i Niemcy, wszędzie zaś głosił piękność Geraldyny i jako jęj rycerz odnosił zwycięztwa na wszystkich turniejach. Sława jego rozumu, wykształcenia i dzielności rozchodziła się daleko i doszła do Anglii, a kiedy powrócił po trzyletniej nieobecności, tak król jak Anna Boleyn przyjęli go nader ła-

skawie, wyróżniając wśród całej młodzieży. Mimo to Henryk, z właściwym mu uporem, wciąż odmawiał swego zezwolenia na związek hrabiego z piękną Geraldyną i zabronił jej ukazywać się na dworze.

Wtedy Geraldyna zwróciła Surreyowi dane słowo; zapewniła go o niezmiennej swojej miłości, ale zarazem starała się go przekonać, że wobec tylu przeszkód małżeństwo ich było niemożliwe. Ojciec jego, książę Norfolk, w tym samym duchu czynił mu przełożenia, tak, że w końcu Surrey, wobec takiego nacisku, zgodził się na zerwanie. Zawód, jakiego doznał, wywarł jednak wielki wpływ na młodzieńca; posmutniał, stronił od ludzi i tylko w pracy znajdował ulgę dla zbolełego serca. Darownie Anna Boleyn chciała go rozerwać i w inną stronę zwrócić jego uczucia; hrabia długo był niepokieszony i dopiero w r. 1535 zgodził się na prośby ojca zaślubić lady Franciszkę Jerc, córkę hrabiego Oxford. Książę Richmond oddawna już pojął za żonę lady Maryą Howard.

Tymczasem Anna Boleyn zauważyła, że król był coraz dla niej chłodniejszy, a jego dawna miłość zmieniła się w zupełną obojętność. To odkrycie było dla niej nader bolesne, chociaż bowiem nie kochała nigdy swego małżonka, pragnęła jednak zachować wpływ na niego. Przyszło jej na myśl, czy nowa jaka miłostka nie jest przyczyną tej oziębłości; z niepokojem i zazdrością śledziła odtąd każdy ruch króla i wreszcie odkryła rywalkę.

Była nią najpiękniejsza z dam jej dworu,

Joanna Seymour, córka sir Jana Seymour z Wolf-Hall. W kwiecie wieku, zachwyciła wszystkich niezwykłą urodą. Wysoka, pysznie zbudowana, miała cerę niezrównanej piękności, wielkie błękitne oczy dziwnego blasku i słodczy, bujne jasno kasztanowate włosy i prześliczne rysy. Dziwić się należało, że Anna Boleyn mogła przyjąć na dwór tak nadobną istotę, ale ufała może w potęgę własnych wdzięków.

Sama wytrawna zalotnica, wnet zauważyła, że urocza Joanna zarzuca sieci na króla, on zaś coraz więcej wydaje się w niej rozkochanym. Znając jego upór i porywczosć, nie śmiała czynić mu wymówek, postanowiła tylko pozbyć się jakim sposobem niebezpiecznej rywalki.

Przechodząc raz z damami swemi przez wielką galeryą pałacu w Greenwich, spostrzegła w zwierciadle, że Joanna Seymour wyjęła z za stanika miniaturę, oprawną w złoto i drogie kamienie, i przyglądała jój się z uśmiechem.

— Co tam masz?— spytała Anna, odwracając się tak żywo, że Joanna nie zdążyła schować miniatury.

— To portret mego ojca— odrzekła spłoniona.

— Pokaż! — zawołała królowa, wyrywając jój miniaturę.— Ach! więc to ma być twój ojciec? Zupełnie jest podobny do mego małżonka. Odpowiedz mi szczerze, bezwstydną, czy to król dał ci ten portret?

— Nie mogę na to odpowiedzieć — odrzekła Joanna.

— Jak śmiesz być tak zuchwałą! — krzyknęła Anna.

— Bynajmniej nie chciałam ubliżyć Waszej Królewskiej Mości — odparła Joanna; — istotnie dostałam tę miniaturę od króla, ale nie widzę w tém nic złego; przecież pani dałaś także swój portret sir Henrykowi Norris.

Anna pobladła, a pomieszenie jój nie uszło bystrego wzroku rywalki.

— Podarowałam mu mój portret w nagrodę za ważną usługę, jaką mi oddał — odrzekła po chwili.

— Nie wątpię o tém i nie dziwię się, że z takim zapalem przyciskał go do ust — rzekła Joanna; — król także dał mi swoją miniaturę w nagrodę za przysługę, jaką mu wyrządziłam.

— Jakaż to była przysługa? — żywo zapytała Anna.

— Wasza Królewska Mość wybaczy, ale nie wolno mi zdradzać zaufania monarchy — odparła Joanna.

— Masz słusność — rzekła królowa, śmiejąc się z przymusem — tajemnica, rzecz święta! Możesz zatrzymać ten portret, niema w tém nic złego, zwłaszcza, jeżeli był dany jako nagroda. Proszę cię tylko, unikaj grzeczności króla, gdyż inaczej będę zmuszona cię oddać.

— Stanie się według woli Waszej Królewskiej Mości — odrzekła Joanna, ale śmiało jój oczy mówiły wyraźnie, że lekcewały sobie ostrzeżenia królowej.

— Tak, pomści Katarzynę — szepnęła Anna do siebie, odprawiwszy piękną współzawodniczkę—doznając już tego niepokoju i zazdrości, jakie mi *ona* przepowiadała. Ach! ten niebaczny Norris, zachowaniem swoim daje powód do podejrzeń, ale kiedy kto tak kocha jak on, trudno mu utrzymać na wodzy swoje uczucia. Muszę go jednak przestrzedz, żeby był ostrożniejszy.

Anna Boleyn nie przypuszczała nawet, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo; zaufana w potęgę swoich wdzięków, nie mogła uwierzyć w to, żeby król przestał ją kochać i tłumaczyła sobie, że jego skłonność do Joanny Seymour przelotnym jest tylko upodobaniem. Tymczasem Henryk z każdym dniem więcej był rozmiłowany w pięknej dziewczynie i myślał tylko nad tem, jakby się pozbyć Anny. Gdyby jej postępowanie było bez zarzutu, nie dałoby się to uskutecznić tak łatwo, ale próżna i lekkomyślna kobieta sama zastawiała sieci na siebie, podsycając miłość giermka królewskiego, sir Henryka Norris.

Był to piękny mężczyzna, kształtnie zbudowany, rumianej twarzy, regularnych rysów i dużych błękitnych oczu; wprawny we wszystkie ćwiczenia rycerskie, bywał zwykle zwycięzcą na turniejach. Anna wzbudziła w nim taką miłość, że gotów był narazić życie, byle tylko osiąść jej względy.

Wszystko składało się ku temu, żeby nieszczęśliwa Katarzyna aragońska została pomszczoną. Henryk widział skłonność żony do pięknego gierm-

ka, ale udawał, że tego nie spostrzega i nader ła-
skawie z nim się obchodził.

Nazajutrz po uroczystości orderu Podwiązki, król wyprawił w zamku wspaniały bal maskowy. Tłum gości napełniał obszerne komnaty, a wesołość panowała tém większa, że wszyscy, nie wyłączając Henryka, ukazali się w maskach i fantastycznych przebraniach.

Anna Boleyn zajęła miejsce w głębokiej framudze, z kąd oczy jej niespokojnie śledziły jedną parę, przesuwaną się od czasu do czasu po sali. Nagle zbliżyło się do niej błękitne domino i znany głos szepnął z czułością:

— Królowo moja!

— Czy to ty, Norris? — spytała bez tchu prawie.

— To ja, pani. Od początku balu ani na chwilę nie odwróciłem oczu do ciebie, ale nie śmiałem się zbliżyć.

— Byłoby roztropniej nie zbliżać się wcale. Ludzie już spostrzegli twoje uczucia dla mnie i mogą donieść o tém królowi. Przyrzeknij mi, że nigdy nie będziesz już do mnie przemawiał jak dotąd.

— Nie mogę! — zawołał Norris — oszalałbym, gdybym nie mógł wypowiedzieć ci mojej miłości. O pani! bądź litościwą, nie strącaj mię w otchłań rozpaczy!

— Jestem ci wdzięczną za twoje przywiązanie, ale pamiętaj, że moje serce powinno należeć do króla — ze wruszeniem odparła Anna.

— Zapewne, ale kiedy on mało dba o nie —

z goryczą rzekł Norris — w téj chwili zapewnia Joannę Seymour o swojej miłości.

— Czy tak? — zawołała Anna — daj mi dowody jego zdrady, a może będę dla ciebie łaskawszą.

— Postaram się o to — rzekł Norris i, skłoniwszy się, wyszedł z sali.

Zaledwie wmieszał się w tłum tańczących, uczuł, że czyjaś ręka pociąga go za ramię i, obejrzawszy się, spostrzegł przed sobą wysokiego mnicha w kapturze.

— Wiem, czego potrzebujesz, sir Henryku Norris — przemówił nieznajomy — chcesz przekonać królowę o niewierności jój małżonka. Ależ to bardzo łatwo, chodź tylko ze mną.

— Któż ty jesteś? — podejrzliwie zapytał Norris.

— Mniejsza o to — odparł mnich — jestem gościem jak ty i dzięki memu przebraniu wiem wszystko, co się tu dzieje.

— Ja nie dla siebie potrzebuję dowodów niewierności króla — rzekł Norris — ale królowa chce koniecznie wiedzieć prawdę.

— Nie sądź, że mię oszukasz — z przekąsem odparł nieznajomy — przyprowadź tu królowę a ręczę, że będzie zadowolona. Spiesz się tylko.

— Dobrze, uczynię jak radzisz — rzekł Norris, odchodząc.

— I cóż? — niespokojnie spytała królowa — czy odkryłeś co?

— Racz pani iść ze mną — odrzekł Norris, ujmując jój rękę.

Przecisnęli się przez tłum tańczących aż do framugi, gdzie na nich czekał mnich zakapturzony. Widząc ich zbliżających się zwrócił się ku drzwiom, oni zaś w milczeniu postępowali za nim. Przeszli tak kilka komnat, aż wreszcie nieznanomy przystanął i wskazał ręką ustronną komnatę, oddzieloną od innych wspianą gobelinową zasłoną.

Anna Boleyn i jej towarzysz żywo postąpili naprzód i przez zapuszczoną kotarę spostrzegli Joannę Seymour i króla siedzących razem na sofie. Henryk był przebrany za pielgrzyma, ale zdjął kapelusz, położył laskę pątniczą i prosił właśnie swoją towarzyszkę, żeby zrzuciła maskę.

— Wasza Królewska Mość chce widzieć, jak się płonie — mówiła piękna dziewczyna, broniąc się przed natarczywością dostojnego wielbiciela.

— Chcę się przekonać, że to ty istotnie — z zapalem rzekł król — czy to przez litość dla mnie zasłoniłaś maską swoje nadobne oblicze?

— Słyszysz, o panie! — szepnął Norris do Anny.

Królowa ścisnęła tylko mocniej jego rękę.

— Wasza Królewska Mość żartuje sobie ze mnie — rzekła Joanna.

— Ja miałbym żartować! — gwałtownie zawołał Henryk — ależ na Boga! ja teraz dopiero pojmuję, czém jest potęga piękności. Żadna jeszcze kobieta nie sprawiła na mnie takiego wrażenia; szaleję za tobą i nie będę miał chwili spokoju, dopóki nie zostaniesz moją.

— Przykro mi słyszeć to — odparła Joanna —

mogę być tylko twoją żoną, Najjaśniejszy Panie, nigdy bowiem nie poniżę się do tego stopnia, żeby zostać twoją kochanką.

Anna Boleyn konwulsyjnie ścisnęła rękę Norrisa.

— Znać, że w dobrej byłaś szkole! — z goryczą zawołał król.

— Jakto? — spytała Joanna.

— To samo powiedziała mi Anna Boleyn, kiedy starałem się o jej względy; słowa jej skłoniły mnie do rozvodu z Katarzyną aragońską, a teraz może na nią przyjdzie kolej ustąpić.

— Bóg jest sprawiedliwy! — szepnęła Anna.

— Nie powinnam słuchać Waszój Królewskiej Mości — drżącym ze wzruszenia głosem mówiła Joanna — a jednak gdybym śmiała powiedzieć...

— Mów bez obawy, najdroższa — zachęcał ją Henryk.

— Jestem pewna, że królowa już cię nie kocha — rzekła Joanna — kto inny posiada jej miłość...

— Kłamiesz, bezwstydna! — krzyknęła Anna, wpadając do komnaty — to fałsz wymyślony przez ciebie, żeby odwrócić serce króla odemnie! Ale na szczęście słyszałam wszystko i potrafię ukarać twoje zuchwalstwo. O Henryku, czyż ja na to zasłużyłam?

— Ależ to dziś bal maskowy — rzekł król — wolno bezkarnie szeptać słodkie słówka pięknym damom.

— Precz z tego zamku, żmijo! — krzyknęła Anna — nie pozwolę ci dłużej znieważać mnie i oczerniać.

— Katarzynie aragońskiej przystałaby taka dumna mowa — z przekąsem odparła Joanna — ona nigdy nie zdradziła króla.

— Ja go także nie zdradziłam! — gwałtownie zawołała Anna — ach! gdybym mogła, zabiłabym cię za tę potwarz. Henryku, mój królu, mój mężu, jeżeli masz dla mnie jakie względy, każ jęj natychmiast opuścić ten zamek.

— To być nie może, pani — zimno odparł król — ona nic złego nie uczyniła; ja tylko jestem winien.

— I nie ukarzesz jęj nawet za potwarz rzuconą na mnie? — krzyknęła Anna.

— Dostyc już tego — rzekł król surowo — dziękuj Bogu, że nie poruszam tęg sprawy... Jeżeli jesteś zmęczona, to możesz oddalić się do swoich pokojów, ja pójdę w taniec z Joanną Seymour.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość potrzebuje tancerza, to sir Henryk Norris chętnie służyć jęj będzie — złośliwie szepnęła Joanna, przechodząc obok królowęg.

Anna osłupiała. W uszach jęj dźwięczał wciąż tryumfujący śmiech rywalki, w oczach stała jęj urocza postać, zawieszona na ramieniu króla, który wiódł ją w taniec, spoglądając na nią rozkochanym wzrokiem.

— Katarzyna miała słusność — jęknęła, zakrywając twarz rękoma — dzieło zemsty się rozpoczyna!

II.

Tajemniczy mnich.

Anna na pół żywa padła na poduszki i nie spostrzegła nawet, że do komnaty wszedł Henryk Norris.

— Wszak miałem słuszną utrzymując, że król jest zakochany w Joannie Seymour? — rzekł do niej.

— Ach! gdybym mogła ją wypędzić—z gniewem wykrzyknęła królowa.

— Wkrótce zastąpiłaby ją inna—odparł Norris — dla naszego władcy każda nowa twarzyczka ma nieprzeparty urok.

— To szczęście, że nikt inny prócz mnie nie słyszy niebacznój twojej mowy — rzekła Anna. — Masz słusność, niestety!

— Czemu więc troszczysz się, pani, o króla, kiedy on nie dba o ciebie — przekładał Norris; — są tacy, coby chętnie oddali życie za twoją miłość.

— Wszyscy mężczyźni tak mówią, kiedy idzie o zdobycie serca kobiety — z goryczą odparła Anna — skoro raz je posiadają, tyle o nie dbają, co o popsutu cacko.

— Zbyt surowo sądzisz nas, pani—rzekł Norris — gdybym był na miejscu króla, nigdybym się nie zmienił.

— I on niegdyś tak mówił, i on wieczną przysięgał miłość!—porywczo zawołała Anna—to zwykła

mowa zakochanych... Odejdź, nie powinnam słuchać cię dłużej.

— O pan! — z wyrzutem rzekł Norris — jakże jesteś niesprawiedliwą. Czyż wszyscy mają mieć serca tak lekkie i niestałe jak królewski twój mąż? Ja umiem kochać gorąco, głęboko i wiecznie.

— Czy wiesz, że przez te niebaczne słowa narażasz swoje życie? — zagadnęła Anna.

— Wolę raczej umrzeć niż wyrzec się mojej miłości!

— Pomnij, że i mnie możesz narazić. Joanna Seymour już spostrzegła, co się dzieje w twoim sercu; najmniejsza nieostrożność może mię zgubić.

— Jeżeli przezemnie miałoby grozić jakie niebezpieczeństwo Waszj Królewskiej Mości, to wolę raczej opuścić dwór, choćbym miał skonać z tęsknoty! — zawołał Norris.

— Nie wymagam téj ofiary od ciebie; w moim smutku tyś jedyną dla mnie pociechą — czule odrzekła Anna.

— A więc przyznajesz, że mię kochasz! — z zachwytem zawołał młodzieniec.

— Nie oddawaj się zbyt nięj radości, Henryku, ta miłość bowiem może tobie i mnie przynieść nieszczęście. Niech ci wystarczy pewność, że cię kocham.

— O pani, jestem najszcześliwszym z ludzi! — zawołał Norris, padając na kolana — nikomu teraz nie zazdroszczę, nawet królowi.

— Wróć do sali balowej — prosiła Anna — nie chcę, żeby zauważono twoję nieobecność.

Młodzieniec z uniesieniem całował jęj ręce, ale wtém królowa spostrzegła jakąś postać stojącą za kotarą.

— Wstań!—krzyknęła przerażona — śledzą nas.

Norris zerwał się i ku drzwiom poskoczył; niezajomy mnich, świadek całej rozmowy, usunął się do innych komnat, a potem wyszedł na wielki taras. Młodzieniec skorzystał z tego, żeby mu zabiedz drogę.

— Czego żądasz odemnie, sir Henryku? — zapytał mnich.

— Łatwo możesz zgadnąć — posepnie odpowiedział Norris, wyciągając miecz z pochwy — posiadłeś naszą tajemnicę, musisz więc umrzeć, albo przysiądz, że nas nie zdradzisz.

Mnich zaśmiał się szyderczo.

— Jesteś w mojej mocy i śmiesz mi grozić! Dobrze, spróbuj mię zabić, jeżeli potrafisz.

Wyjął miecz z pod habitu i błysnął nim przed oczyma Norrisa; po kilku złożeniach młodzieniec został rozbrojony.

— Teraz powinienem zawołać straży i powtórzyć królowi to, com słyszał — rzekł niezajomy.

— Wolę, żebyś utopił miecz w mojej piersi!— zawołał Norris.

— Tego nie uczynię, wolę ci sprzedać tajemnicę, którą zdobyłem.

— Wymień cenę, a z góry przystaję na wszystko, choćbyś odemnie zażądał duszy.

— Zgadłeś — odparł mnich — czy nie domyślasz się, z kim masz do czynienia?

— Owszem — rzekł Norris — takiej nadludzkiej siły żaden nie posiada śmiertelnik.

— Spodziewam się — zaśmiał się nieznajomy — chodź ze mną do parku, a dowiesz się jakie stawiam warunki.

W godzinę później Norris powrócił do zamku; kroki jego były chwiejne, wzrok błędny, oblicze trupio blade. Zaczął szukać królowej i znalazł ją siedzącą w głębokiej framudze okna.

— Co się stało? — z niepokojem spytała Anna — czy zabiłeś szpiega?

— Nie, ale kupiłem jego milczenie za straszną cenę.

— Przerażasz mnie! Co znaczą twoje słowa?

— Znaczą, że musisz mię teraz kochać, gdyż dla ciebie zaprzedałem moją duszę. Ten mnich, to był Herne.

Cały dwór zauważył, że król niezwykle względy okazywał Joannie Seymour, nikt jednak nie przypuszczał, żeby rzeczy miały zajść tak daleko. Później dopiero przypominano sobie, że Henryk w tym czasie miewał częste i ważne narady z księżętami Suffolk i Norfolk, zamyślał się nieraz i wyraźnie knuł jakieś straszne plany.

Anna od owego balu maskowego nie czyniła mu żadnych wyrzutów i nie okazywała zazdrości; wiedziała, że toby się na nic nie zdało, cierpiała więc w milczeniu, i pomna na prorocze słowa Ka-

tarzyny aragońskiej, częstokroć gorzkiemi zalewała się łzami.

Raz, kiedy sama jedna siedziała w swoich komnatach, oznajmiono jej przybycie ojca, obecnie hrabiego Wiltshire.

— Jakaż troska cię dręczy, mój ojcze? — spytała, siadając obok niego — nigdy jeszcze nie widziałam cię tak chmurnym i znękanym.

— Ach! Anno, nie umiem ci wyrazić mego niepokoju na widok tego, co się tu dzieje.

— Masz na myśli nowy kaprys króla? Niezadługo sprzykrzy mu się ta dziewczyna.

— Nie licz na to, moja córko; wdzięki Joanny podbiły serce króla, a zręczna zalotnica umie podsycać jego miłość. Kto wie, czy ona nie marzy o koronie.

— Ależ Henryk nie może się z nią ożenić, nie może mię porzucić!

— Katarzyna aragońska tak samo mniemała, a jednak musiała ustąpić. Jestem przekonany, że knują jakiś spisek przeciw tobie.

— Czyżbyś się obawiał o moje życie, ojcze! — krzyknęła Anna, drżąc jak listek.

— Mam nadzieję, że nie dałaś królowi żadnego powodu do zazdrości — rzekł hrabia z przyciskiem.

— Żadnego, mój ojcze.

— Rad jestem to słyszeć, powtórzono mi bowiem słowa króla wyrzeczone do kogoś, co mu doradzał rozwód: „Nie, jeśli królowa zasłużyła na rozwód, to zasłużyła na śmierć zarazem.”

— Przysięgł, że wyśle na rusztowanie, jeżeli znajdzie na mnie choć cień winy — głucho rzekła Anna.

— Strzeż się więc, gdyż twoi wrogowie czyhają na to, ale jeżeli jesteś niewinna, nie potrzebujesz się obawiać.

— Mylisz się, ojczy — zawołała Anna — jeżeli jestem zawadą Henrykowi, on nie będzie zważał na moją niewinność.

— Niech cię Bóg strzeże! moja córko — rzekł hrabia z westchnieniem — pamiętaj, żebyś była baczna i ostrożna.

Wyszedł z komnaty, a nieszczęśliwa królowa, niezdolna dłużej pohamować boleści, gorzkimi zalała się łzami. Wtém ktoś po cichu wymówił jéj imię; podniosła głowę i ujrzała sir Henryka Norris przed sobą.

— Pocoś tu przyszedł? — rzekła z wyrzutem — chcesz mię zgubić chyba!

— Nikt nie wie, że tu jestem — odparł Norris — ten kto mię przywiódł, będzie czuwał nad nami.

— Któż to taki? — spytała Anna — Herne? Norris twierdząco skinął głową.

— Ach! czemuż sprzymierzyłeś się z szatanem — zawołała — lękam się, żebyśmy oboje przez to nie zginęli.

— Cofnąć się już nie mogę, zresztą musiałem ponieść tę ofiarę dla twego ocalenia, pani.

— Ale czyż mię to ocali? Dowiedziałam się właśnie, że król straszne przeciw mnie knuje za-

miary: chce mię usunąć, ażeby zaślubić Joannę Seymour.

— Powiedziano ci prawdę, pani. Król radby cię wysłać na rusztowanie.

— A więc uczyni to niezawodnie! — krzyknęła Anna — dusza się wzdryga na myśl o tém.

— Czegóż pani czekasz, czego się jeszcze spodziewasz? — rzekł Norris — jeżeli jesteś przekonana, że król dybie na twoje życie, to uciekaj ze mną, porzuć ten dwór przewrotny, tego wiarołomnego małżonka i żyj ze mną w szczęściu, pokoju i miłości. Dla mnie będziesz zawsze królową!

— Ja miałabym ustąpić miejsca Joannie Seymour? Nigdy! — zawołała Anna — czuję, że masz słuszność, że grozi mi śmierć z ręki kata; wiem, że mię kochasz i chętnie poświęciłbyś mi życie, a jednak nie mogę dobrowolnie wyrzec się mego tytułu i stanowiska dla nienawistnej rywalki.

— Nie kochasz mię więc, Anno, bo ja gdybym był królem, wyrzekłbym się tronu dla ciebie.

— Tak mówisz, bo *nie jesteś* królem, nie skosztowałeś słodyczy panowania, ale ja *jestem* królową i będę nią do końca.

— Rozumiem cię, pani — posępnie rzekł Norris — ach! zastanów się, jakie grozi ci niebezpieczeństwo; znasz przecież mściwość i okrucieństwo króla.

— Znam, ale wolę umrzeć jako królowa, niż żyć shańbiona i pogardzona. Zaślubiając Henryka wiedziałam, na co się narażam, muszę więc teraz znieść skutki mego kroku.

Zanim Norris zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szybko i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu.

— Król tu idzie! — zawołał.

— Jedno słowo, Anno — rzekł spiesźnie Norris — czy chcesz uciec ze mną téj nocy? Wszystko będzie gotowe.

— Nie mogę — odparła.

— Sama wydałaś wyrok na siebie — rzekł Herne i, ująwszy rękę młodzieńca, pociągnął go za sobą.

Zaledwie kotara opadła za nimi, do pokoju wszedł Henryk wesół i rozpromieniony jak go dawno już nie widziano.

— Przyszedłem ci oznajmić, że pierwszego maja będzie turniej na zamku — rzekł siadając — będę się potykał z twoim bratem, lordem Rochford, ty zaś będziesz rozdawać nagrody.

— Możeby Joannie Seymour lepiej przystało grać tego dnia rolę królowej — zauważyła Anna, zapominając o wszelkiej ostrożności.

— W każdym razie ona będzie tam obecną, nie chcę jednak, żeby rozdawała nagrody—z przyciskiem odparł Henryk.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — rzekła królowa — jakto, już odchodzisz? Zostań jeszcze chwilkę, tak dawno nie byliśmy sami.

— Nie mam czasu — sucho odparł Henryk — czy miałaś mi co do powiedzenia?

— Chciałam ci tylko wymówić twoją obojętność — rzekła Anna. — Henryku, czy pamiętasz

jakieś przysięgał na twoją koronę, na życie, na Boga, na wszystko co było ci święte i drogie, że będziesz mię kochał wiecznie?

— I dotrzymałbym, gdybym mógł, ale na nie szczęście nie mamy żadnej władzy nad naszym sercem. Czyś sama nie doświadczyła tego, że uczucia zmieniają się z czasem?

— Nie — odrzekła Anna — cierpiałam wprawdzie bardzo na widok względów, jakie okazywałeś Joannie Seymour, ale miłość moja dla ciebie, Najjaśniejszy Panie, ani na chwilę nie została zachwiana.

— Ciesz się mię to, gdyż mniemałem, że zobowiązywałeś dla mnie. Niektórzy starali się nawet przekonać mię, że na kogo innego zwróciłeś oczy.

— Skłamacie niegodnie! — z uniesieniem zawołała Anna — nie zasłużyłam na najłżejszy wyrzut pod tym względem.

— Większej obłudnicy niema chyba na świecie! — mruknął Henryk.

— Nie wierzysz mi? — zawołała Anna.

— Gdybym ci nie wierzył, nie byłabyś tu w tej chwili. Pamiętasz moją przysięgę?

— Pamiętam; zarówno miłość i obowiązek, jak bojaźń nakazują mi być wierną Waszej Królewskiej Mości.

— Myślałem tak samo, ale bywają kobiety tak lekkomyślne i zdradzieckie z natury, że nawet trwoga nie stanowi dla nich dostatecznego hamulca. Powiedziano mi, że ty należysz do ich rzędu, ale ja nie mogę temu uwierzyć. Jako! ty miałabyś mię zdradzić, ty, dla której naraziłem tron mój

i koronę, dla której rozwiodłem się z najcnotliwszą małżonką, której rodzinę obsypałem łaskami, którą wyniosłem do godności królowej? Nie, to byłoby potworne, niemożliwe!

— Prawda! — przywtórzyła Anna.

— A teraz żegnam cię — rzekł Henryk — nie byłbym wspominał o tych oskarżeniach, które uważam za fałsz, gdybyś mi nie była czyniła wyrzutów.

Wyszedł, zostawiając ją strwożoną i niespokojną.

III.

Na turnieju.

Nadszedł dzień pierwszego maja, przeznaczony na turniej; niebo cudowną jaśniało pogodą, a ziemia, w szmaragdową strojną zieloność, kąpała się w złotych blaskach słonecznych.

W zamku od rana wrzał ruch niezwykły, czyniono przygotowania do zapowiedzianej uroczystości. W około wielkiego dziedzińca wzniesiono galerye dla widzów, ozdobione herbami i flagami, szranki wysypano piaskiem, a naprzeciw komnat monarszych zbudowano dla królowej i dam jej dworu wspaniałą trybunę, wybitą złotogłowie i szkarłatnym aksamitem, na którym haftowane były herby królewskie.

Skoro ukończono przygotowania, przez bramę normandzką wszedł tłum giermków, łuczników i rycerzy i uszykował się poza szrankami strzeżonemi przez podwójny szereg halabardzistów. Za nimi postępowali trębacze na koniach, następnie heroldzi, dworzanie i służba zamkowa. Zkolei ukazał się książę Suffolk, mianowany sędzią gonitw i, objechawszy szranki uznał, że wszystko w porządku.

Tymczasem tłum się zwiększał, a służba czekając rozpoczęcia zabawy, gwarzyła z sobą swobodnie.

— Widok będzie wspaniały — zauważył Paddington — ręczę, że król będzie dokazywał cudów waleczności, ażeby się popisać przed pewną piękną panią.

— Mówisz o królowej? — zagadnął Shoreditch.

— Mówię o téj, która może być królową, o panie Joannie Seymour.

— Królową! — zawołał Shoreditch — czyż przypuszczasz, że nasz pan rozwiódłby się ze swoją małżonką?

— Dziwniejsze rzeczy się tu działy — znacząco rzekł Paddington — wspomnisz moje słowa, że królowa Anna po raz ostatni ukazuje się publicznie.

— Cicho! — szepnął Shoreditch — ten wysoki mnich nas podsłuchuje.

— A cóż mię to obchodzi? — czas pokaże, że mówiłem prawdę.

Spojrzał jednak nieufnie na mnicha, który nie spuszczał z nich oczu, płonących jak węgle; reszta

oblicza była na pół zasłonięta kapturem, z pod którego wymykała się czarna spleciona broda. Usłyszał słowa Paddingtona i, podchodząc do niego, rzekł zniżonym głosem:

— Nie lękaj się, ja cię nie zdradzę, ale mów ciszej, jeżeli ci życie miłe.

I oddalił się w przeciwną stronę.

— Kto to jest? — ciekawie zapytał Shore-ditch.

— Licho go wiel — mruknął tamten — wygląda na zbója.

Wesoły odgłos tręb zwiastował przybycie królowej; z uśmiechem zajęła miejsce na trybunie, a piękność jej podniesiona wspaniałością i bogactwem stroju takim dziś jaśniała blaskiem, że przyćmiła zupełnie wdzięki Joanny Seymour. Stała ona po prawej stronie swojej pani, ale na ślicznym jej obliczu malował się dziś niezwykły niepokój.

W szranki wjechało czterech rycarzy na pysznych rumakach: lord Rochford, sir Henryk Norris, hrabiowie Surrey i Essex. Zwolna objechali arenę, nisko skłoniwszy się przed królową. Znowu zabrzmiały trąby i na placu ukazał się sam król w towarzystwie margrabiego Dorset, sir Tomasza Wyatt i lorda Clifford. Miał na sobie cudnej roboty zbroję, wysadzaną złotem, hełm z białym piórem i złoty łańcuch orderu Podwiązki; rząd na jego wierzchołku był sadzony perłami i drogimi kamieniami, czaprak ze szkarłatnego aksamitu haftowany złotem. Orszak jego składał się ze stu dworzan, ubranych w białe aksamitne szaty.

Objechał podobnie jak inni arenę i, skłoniwszy się przed Joanną Seymour, stanął u stóp Okrągłej Wieży. Na pierwszy dźwięk trąb, król i lord Rochford wzięli kopie z rąk swoich giermków i stanęli gotowi do walki, czekając na znak księcia Suffolk, że gonitwy mogą się rozpocząć. Niedługo potrzebowali czekać: trąby zabrzmiały po raz drugi i trzeci, a książę Suffolk zawołał, że zapaśnikom wolno już się potykać.

Król i lord Rochford puścili się pędem i skrzyżowali kopie; lord zachwiał się na siodle, uznany więc został za pobitego. Następnie potykali się inni, Norris wysadził z siodła margrabiego Dorset, za co spotkał go ogólny poklask, który mniej jednak znaczył dla niego, niż słodki uśmiech królowej.

— Dzielnie się bijesz, Norris — rzekł Henryk, podjeżdżając do niego — spróbuj skruszyć ze mną kopię.

Młodzieniec skłonił się i oddalił się na sam kraniec placu, ażeby w pełnym biegu uderzyć na króla. Nagle zbliżył się do niego wysoki mnich i szepnął mu spiesznie:

— Jeżeli chcesz zwyciężyć, to mierz w czub królewskiego hełmu.

Obaj zapaśnicy wypuścili konie, godząc na siebie kopiami. Henryk tak gwałtownie uderzył na przeciwnika, że o mało nie wysadził go z siodła, ale Norris, idąc za radą mnicha, wymierzył potężny cios w sam czub jego hełmu i zrzucił mu go z głowy.

Ogłoszono młodzieńca zwycięzcą, ale nikt nie śmiał mu przyklasnąć, żeby nie obrazić króla.

Norris zsiadł z konia i, oddawszy go giermkowi, zbliżył się do trybuny, przy której stał już hrabia Surrey i sir Tomasz Wyatt, rozmawiając z paniami. Na widok młodzieńca Anna pochyliła się nieco i, uśmiechając się doń tkliwie, przypadkiem czy umyślnie upuściła haftowaną chustkę. Schylił się skwapliwie, żeby ją podnieść i spojrzeniem pełnym niewymownej miłości odpowiedział na uśmiech. Oboje nie wiedzieli, że w tej chwili oczy króla były na nich zwrócone.

Widział on ich uśmiechy i spojrzenia, widział jak Norris podnosił chustkę, niegdyś ofiarowaną Annie przez króla, i głucha wściekłość zawrzała w jego duszy. Z trudnością zdołał się pohamować, ale nie spuszczał z nich oczu, czekając co dalej nastąpi.

Norris, niepomny na niebezpieczeństwo grożące mu w tej chwili, nie oddał chustki, lecz z czułością do ust ją przycisnął.

— Jestem dziś zwycięzcą — rzekł — czy mogę ją zatrzymać w nagrodę?

Anna z uśmiechem skinęła głową.

— Nigdy miłszej i piękniejszej nie otrzymałem — szepnął, chowając chustkę.

Henryk zgrzytnął zębami.

— Do stu szatanów! — zaklął — to ta sama chustka, którą darowałem jej przed ślubem! Nie, dłużej nie mogę się wstrzymać; trzeba to raz skończyć... Héj! — krzyknął, podjeżdżając do księcia Suffolk — przerwać natychmiast turniej!

— Dlaczego, Miłościwy Panie? — zapytał zdu-

miony książe — hrabia Surrey i sir Tomasz Wyatt mają się właśnie potykać.

— Przerwać je natychmiast! — powtórzył król piorunującym głosem i pędem objechał szranki, wołając: — Gonitwy skończon! Możecie się rozejść!

Zamieszanie zapanowało wśród widzów, nikt nie wiedział co się stało. Książę Suffolk przedarł się aż do króla, który szepnął mu kilka słów na ucho, a potem przyzwał do siebie hrabiego Surrey, lorda Clifford i kilku innych panów. Kiedy wraz z nimi przejeżdżał obok trybuny, Anna zerwała się strwożona i drżącym głosem zawołała:

— Co to znaczy, Henryku? Co ja uczyniłam?

Król nie zwrócił nawet uwagi na jej słowa i przez normandzką bramę opuścił zamek wraz z orszakiem.

Nikt nie wiedział co zaszło, wszyscy jednak zrozumieli, że stało się coś strasznego i niepokój ogarnął tłum zebrany wokoło szranek. Nagle rozległ się krzyk rozdierający: królowa padła zemdlona i musiano ją zanieść do zamku.

Norris widząc to, zapomniał o wszelkiej roztropności i, przedarłszy się przez strażę, wpadł do komnat Anny. Otworzyła właśnie oczy i, spostrzegając młodzieńca, uśmiechnęła się do niego z czułością. Na to nadszedł książę Suffolk, a za nim kapitan Bouchier z oddziałem halabardzistów, którzy zatrzymali się w przedpokoju.

— Mam przykrą wieść zwiastować pani — rzekł książę — jesteś uwięziona.

— Za co? — krzyknęła przerażona Anna.

— Za wiarołomstwo względem króla—surowo odparł Suffolk.

— Ależ jam niewinna, przysięgam w obliczu Boga! — zawołała.

— Mam nadzieję, że zdołasz się pani usprawiedliwić — rzekł książę — sir Henryku Norris, aresztuję cię.

— Ach! jestem zgubiona! — krzyknęła Anna, zapominając się.

— Nie zważaj pani na te kłamliwe oskarżenia i nie trać ducha — upomniał ją Norris — na rusztowaniu będę jeszcze głosił twoją niewinność.

— Twoja nieroztropność, sir Henryku, stała się przyczyną tego nieszczęścia — zimno zauważył książę.

— Wiem o tém i zasługuję na najsroższą karę — odrzekł młodzieniec — ale przysięgam, że królowa jest zupełnie niewinna. Ja tylko powinienem być ukaranym.

— Słyszałeś go, książę? — zawołała Anna — czy zaświadczysz o tém, skoro odwołam się do ciebie?

— Owszem — rzekł Suffolk — król chce wymierzyć ścisłą sprawiedliwość.

— Sprawiedliwości któż może się spodziewać od Henryka VIII! — z goryczą zaśmiała się Anna.

— Błagam cię, pani, licz się ze słowami—rzekł Norris, klękając—a teraz chciéj przebaczyć, że przez moje szaleństwo ściągnąłem na ciebie nieszczęście.

— Nie mam do ciebie żalu, Henryku—smutnie odrzekła Anna—to los mści się na mnie za krzywdy

wyrządzone królowej Katarzynie. Karząca jej ręka dosięga mię z poza grobu.

— Kapitanie Bouchier — rzekł Suffolk — zaprowadzisz sir Henryka Norris do więzienia, zkąd będzie przeniesiony do Tower.

— Żegnam cię, Henryku! — zawołała Anna — nigdy już nie spotkamy się na tym świecie. Klątwa Katarzyny spoczywa na mojej głowie, ale Bóg jest sprawiedliwy i pomści moją krzywdę. Joanna Seymour niedługo cieszyć się będzie koroną, którą mi wydarła.

— Nieroztropne to słowa, pani — przestrzegł Suffolk.

— Zapanuj nad swoim żalem i boleścią, Miłościwa Pani — zawołał Norris — pomnij, że choć jesteś otoczona wrogami, niewinność twoja zwycięży.

Na znak księcia Suffolk kobiety jej dworu przeniosły tonącą we łzach królowę do dalszych komnat, sir Henryka Norris zaś odprowadzono do więzienia.

IV.

P o k u s a.

Przez kilka godzin lękano się czy Anna nie dostała obłąkania: to biegła po pokoju w szale rozpacz, to mówiła słowa bez związku, to łkała

spazmatycznie, a boleść jój była tak rozdzierającą, że wszystkim łzy wyciskała. Pod wieczór dopiero uspokoiła się i zażądała, żeby ją zostawiono samą. Wtedy padła na kolana i zaczęła modlić się żarliwie.

— Zgrzeszyłam!—wołała, bijąc się w piersi— ale pozwól mi, o Panie, krwią zmyć moje winy. Przyznaję w pokorze, że sprawiedliwa czeka mię kara. Przebac mi, o Katarzyno, jesteś aż nadto pomszczoną. Niema w całym królestwie drugiej tak nieszczęśliwej jak ja kobiety: odepchnięta, wzgardzona; czuję, że czeka mię każn hańbiąca. Tyś cierpiała wiele, ale nie doznawałaś tych wyrzutów sumienia, które mię dręczą. Ach! gdybym wiedziała co mię czeka, byłabym się oparła pokusom, nie byłabym wierzyła miłosnym przysięgom tego zdrajcy. Teraz już zapóźno!... Zawiniłam i muszę odpokutować. Oby moje łzy, mój żal, moja krew wyjednaly mi przebaczenie u Najwyższego Sędzi, przed którym wkrótce stanę!

Godzinę może przebyła na modlitwie, przeplatanęj łzami, kiedy jedna z dam oznajmiła jój przybycie księcia Suffolk, oraz lordów Audley i Cromwell.

— Przychodzimy panią uprzedzić, że jutro rano zostaniesz przeniesiona do Tower— rzekł Suffolk;— taką jest wola króla.

— Poddaję się jój, jak zwykle, ale przysięgam, zem niewinna — odrzekła — byłam mu zawsze wierną i kochającą małżonką i nie mam sobie nic do wyrzucenia. Dręczona zazdrością, do której

słuszne dawał mi powody, czyniłam mu wprawdzie wyrzuty, ale pochodziło to jedynie z miłości. W każdym razie błagam go o przebaczenie za to.

— Powtórzmy te słowa królowi — poważnie rzekł Suffolk — ale musimy panią uprzedzić, że zarzuty przeciw niej są bardzo ciężkie. Król ma dowody winy.

— Nie może mieć żadnych dowodów! — żywo odparła Anna — nie wiem nawet, o co mię oskarżają.

— O wiarołomstwo i godzenie na życie króla — surdowo rzekł Suffolk.

— To fałsz i kłamstwo! — krzyknęła Anna — żaden uczciwy człowiek nie śmiałyby takiej wymówić potwarzy.

— Czas to okaże — odparł — a teraz, skoro spełniliśmy nasze zlecenie, pozwól nam pani się oddalić.

— Czy nie będę mogła zobaczyć króla? — zapytała Anna, przelekniona grozą swego położenia.

— Najjaśniejszy Pan wyjechał i nie wróci dziś do zamku — odrzekł Suffolk.

— To nieprawda, on tu jest! — zawołała — pozwólcie mi go zobaczyć. Rzucę mu się do nóg, przekonam o swojej niewinności; poruszę jego serce.

— Przysięgam pani, że król jest w Hampton-Court — oświadczył Suffolk.

— A więc zawieźcie mię tam pod strażą, — z rozpaczą błagała Anna — jeżeli mi się nie uda, wrócę tu bez oporu.

— Gdybym nawet uległ pani prośbom, żadnego

nie osiągnęłabyś skutku, bo król nie zechciałby cię widzieć — odrzekł Suffolk.

— Mięj litość nademną! — zawołała, padając na kolana—byłam zawsze dobrą dla ciebie. Uczyni mi tę łaskę i zaprowadź do króla; jestem pewna, że uzyskam przebaczenie.

— Naraziłbym moję głowę — odrzekł nieubłagany książę — wstań pani, proszę cię.

— Ach! jesteś okrutniejszym od króla—z goryczą rzekła Anna, powstając — a teraz moi panowie, skoro odmawiacie mojej prośbie, nie będę was dłużej zatrzymywać. Kiedy mam być gotowa, żeby wam towarzyszyć do Tower?

— Na godzinę przed świtem łódź będzie oczekiwać na panią — rzekł Suffolk.

— Będę gotowa—rzekła z godnością—a teraz żegnam panów.

Skłonili się i wyszli, ona zaś udała się na modlitwę do swego oratoryum. Płacząc, rozmyślała właśnie nad losem jaki ją czekał, kiedy wtém z poza gobelinowego obicia wysunęła jakaś ciemna wysoka postać. Pomimo mroku poznała Herna i z trudnością stłumiła okrzyk trwogi.

— Ależ, pani! — rzekł — przyszedłem cię ocalić.

Anna zerwała się z kolan i uradowana klasnęła w ręce.

— Ciszéj, żeby kto nie usłyszał — mówił Herne — zaraz się dowiesz, jakie stawiam warunki.

— Warunki!—wyjąkała, cofając się—gdybym miała w zamian za wolność zaprzedać ci duszę, to wolę stokroć umrzeć.

— Będiesz żałowała tego. Jutro przewiozą cię do Tower, a tam już moja władza nie sięga.

— Czy zaprowadzisz mię do króla, do Hampton-Court? — spytała.

— Nie, toby się na nic nie zdało — odparł — jeżeli uciekniesz ze mną, nigdy już nie ukazesz się na świecie jako Anna Boleyn. Będiesz mieszkała w lesie razem ze mną i sir Henrykiem Norris, którego także uwolnię. Chodź.

— Nie chcę — rzekła — to co mi ofiarujesz gorszym jest od tego co mię czeka. Teraz jeszcze mogę ocalić moją duszę, jeżeli przyjmę twoje warunki, jestem zgubiona nazawsze.

Herne zaśmiał się pogardliwie.

— O swoją duszę lękać się nie potrzebujesz, nikt jój nie żąda — rzekł.

— Nie wierzę ci! — zawołała Anna — raz już uległam pokusie i teraz pokutuję za to.

— Żal ci korony — odparł Herne — ciągle jeszcze spodziewasz się zmiany w uczuciach króla. Pozbądź się tych złudzeń, z Tower pójdziesz prosto na rusztowanie.

— Niech i tak będzie. Odejdź!

— Norris powie, że go nie kochasz i będzie miał słusność.

— Nieprawda! — zawołała Anna — ja go kocham, ale cóż znaczy kilka lat niepewnego szczęścia wobec mąk wieczności?

— Ocalę cię mimo twój woli — syknął Herne, chwytając jój ramię — musisz iść ze mną.

— Nie chcę! — krzyknęła Anna, padając na

kolana. — Boże miłosierny, uwolnij mię z rąk szatana!

— Giń zatem! — rzekł Herne z wściekłością — i zniknął za kotarą.

Kiedy na krzyk królowej damy jej dworu wpadły do kaplicy, ujrzały ją leżącą na ziemi bez zmysłów.

Téj saméj nocy jakiś jeździec na rączym rumaku przejeżdżał przez park windsorski, kierując się w stronę Hampton Court. Nagle z bocznej alei wypadł drugi jeździec i skwapliwie zbliżył się do niego.

— Czy wszystkie moje rozkazy zostały spełnione? — zapytał.

— Nieinaczéj, Miłościwy Panie — odrzekł tamten — królowa jest uwięziona w swoich komnatach, a jutro przed świtem zostanie przewieziona do Tower. Sir Henryk Norris jest zamknięty w wieży.

— Wyjedźcie na godzinę przed świtem, lękam się bowiem, żeby rodzina nie próbowała jej odbić.

— Stanie się według rozkazu Waszój Królewskiej Mości — odrzekł Suffolk. — Biedna kobieta! żał mi jej serdecznie. Boleść jej najtwardsze mogłaby poruszyć serce. Błagała, żeby jej wolno było zobaczyć się z tobą, Najjaśniejszy Panie, ale powiedziałem jej, że to niepodobna, bo nie chciałbyś jej przyjąć.

— Dobrześ uczynił — rzekł Henryk — nigdy już jej nie zobaczę; zawieleby mię to kosztowało. Powiedz szczerze, co mówią o tém w zamku?

— Oburzają się na surowość i niesprawiedli-

wość Waszj Królewskiej Mości; ogólne jest zdanie, że dlatego tylko usuwasz Annę, ażeby módz zaślubić pannę Seymour.

— Tak? — krzyknął rozgniewany król — potrafię ja nakazać milczenie tym zuchwałym językom. Mów wszystkim, Suffolk, że ja oddawna podejrzewałem królowę o tajemne miłostki z sir Henrykiem Norris, ale dziś dopiero otrzymałem dowody zdrady. Możesz dodać, że postanowiłem uznać nasze małżeństwo za nieważne, a dziecko zrodzone z niego za nieprawę; tylko krew Anny może zmyć plamę na moim honorze.

— Czy Wasza Królewska Mość ma jeszcze co do rozkazania? — zapytał Suffolk.

— Trzeba przewieść sir Henryka Norris do Tower pod silną eskortą. Czy lord Rochford już tam jest?

— Już — odpowiedział książę; — czy mam towarzyszyć Waszj Królewskiej Mości? Już północ, a w lesie jest niezbyt bezpiecznie.

— Nie, to zbyt cenne, zostawiłem mój orszak w pobliżu, przy Datchet-Bridge. Żegnam cię, mój drogi bracie, pilnuj dobrze więźniów. Radbym, żeby Anna już była zamknięta w Tower.

Spiął konia i popędził w głąb lasu, książę zaś powrócił do zamku. Król zapuścił się w gęstwinię, ażeby krótszą drogą dostać się do swego orszaku; nagle z zarośli wypadł jeździec na karym rumaku; miał na głowie hełm z czaszki jeleniej i odzież ze skór dzikich zwierząt. Henryk poznał Herna i choć

odważny był jak lew, zadrżał jednak na widok ducha Myśliwca.

— Czego chcesz, szatanie? — krzyknął.

— Niebawem masz popełnić wielką zbrodnię— odrzekło widmo — powiedziałem, że wtedy zawsze ci się ukazę.

— To nie zbrodnia, lecz wymiar sprawiedliwości — bronił się król — Anna Boleyn na swój los zasłużyła.

— Nie sądz, że zdołasz wmówić we mnie to co zechcesz — odparł Herne, śmiejąc się urągliwie — nie masz żadnych dowodów przeciw niej i w głębi serca jesteś przekonany o jej niewinności. Skazujesz ją na śmierć, żeby zaślubić Joannę Seymour. Henryku angielski, zobaczmy się niedługo!

I zanim król zdążył odpowiedzieć, Herne zniknął w głębi lasu.

V.

Sygnal śmierci.

Dnia 16 maja Anna Boleyn stanęła przed sądem, złożonym z dwudziestu sześciu parów, którym przewodniczył książę Norfolk. Pomimo wymownej obrony nieszczęsna królowa została uznana winną wiarołomstwa i skazana na śmierć przez ścięcie lub spalenie, stosownie do woli króla. Nazajutrz wezwano ją do arcybiskupiego pałacu w Rambeth,

gdzie arcybiskup Cranmer uznał małżeństwo jój z królem za nieważne. Henryk postanowił, że miecz katowski położy koniec jój dniom i naznaczył egzekucyą na dzień 19 maja w piątek, o dwunastej w południe.

Pozostawiwszy księciu Suffolk wykonanie wyroku, król rozkazał, ażeby po jego spełnieniu dano mu znać o tém, za pomocą wystrzału z Białej Wieży z Tower; sygnał ten miano powtarzać w rozmaitych punktach aż do zamku Windsor. Przedtém jeszcze ofiarował swoją rękę Joannie Seymour, która liczyła dni i godziny do chwili, kiedy zostanie królową. We wtorek przed egzekucyą nieszczęsnej Anny, wyjechała do pałacu ojca we Wolf Hall, gdzie zaślubiny jój z królem miały się odbyć w sobotę bez żadnych uroczystości.

Na piątek król naznaczył wielkie polowanie w lasach Windsoru; od czwartku już czyniono do nich przygotowania. Wieczorem przebrał się w ubiór gwardzisty i, nasadziwszy na głowę wielki kapelusz, który mu całą twarz niemal zakrywał, udał się ukradkiem do gospody pod Podwiązką. Zastał tam liczne towarzystwo, rozprawiające przy piwie i miodzie o ostatnich wypadkach; między innymi było także dużo służby zamkowej, łuczników i halabardzistów.

— O znikomości rzeczy ludzkich!—wołał właśnie sam gospodarz, Bryan Bowntance, wznosząc ręce do góry—temu lat siedm niespełna ta piękna królowa odbywała wraz z królem uroczysty wjazd do zamku. Zdawało się, że jój życie będzie długie

i świetne, a tymczasem jutro już musi dać głowę pod topór.

— Jeżeli istotnie zdradziła króla, to powinna ją za to spotkać kara — zauważył Shoreditch — za taką rzecz tobym ściał własną żonę, gdybym mógł.

— Właśnie, gdybyś mógł! — odparł Paddington — ścinanie żon to przywilój królewski, nam biedakom tego nie wolno.

— Co do mnie, to dziwię się mocno, że królowi lepiej podoba się pani Joanna Seymour niż królowa Anna — wtrącił Cutbeard — królowa piękniejsza. A twoje jakie zdanie, przyjacielu?—dodał, zwracając się do króla.

— Wolę panią Joannę—odpowiedział Henryk.

— Podzielasz gust króla. Wspomnicie moje słowa, przyjaciele, że niejedną jeszcze nadobną królowę ujrzymy na tronie; nasz pan zna się na wdziękach niewieścich, a zarazem nam daje przykład, jak się obchodzić z żonami: skoro nam się która znudzi, czemprędzej trzeba ją powiesić albo rozwieść się z nią przynajmniej. Doprawdy, zaczynam żałować, że nie jestem żonaty; ha! ha! ha!

— Piję za zdrowie króla! — zawołał Shoreditch — życzę mu, żeby miał tyle żon, ile mu się podoba. A ty nie trącisz się z nami? — dodał, zwracając się do Henryka.

— Owszem — odrzekł — ale mnie się zdaje, że teraz król już poprzestanie na pani Joannie Seymour.

— Nie wątpię, że na teraz na nią poprzestanie — wtrącił Cutbeard — ale założyłbym się, że niezadługo Joanna mu się sprzykrzy, tak jak sprzykrzyła się Anna.

— Do kata! jak śmiesz to mówić, łotrze? — krzyknął rozjątrzony Henryk.

— Nie powiedziałem nic złego — odparł Cutbeard, błędąc — król może sobie zmieniać co rok żonę, jeżeli mu się podoba.

— Pozwólcie mi wnieść jeden toast, panowie! — zawołał wysoki nieznajomy mężczyzna, którego nikt przedtem nie zauważył — piję za zdrowie kata; oby mu się udała jutrzejsza robota!

— Chwytajcie go! — krzyknął król, zrywając się — to Herne!

— Drwię sobie z twoich pogroźek, Henryku! — zaśmiał się nieznajomy — zobaczymy się jutro.

I zanim obecni zdążyli ochłonąć ze zdumienia, Herne wyskoczył przez okno i zniknął.

Shoredith i Cutbeard struchleli poznawszy króla, ale on oświadczył, że nie bierze im za złe śmiałej ich mowy i zaraz opuścił gospodę.

Nazajutrz rano Henryk wraz z całym dworem wyjechał do lasu na łowy, ale choć co chwila spotykali zwierzynę, nie zważał na nią i jechał dalej chmurny i milczący. To posępne usposobienie udzieliło się wszystkim; nikt nie myślał o polowaniu, lecz o nieszczęśliwej królowej, która tego dnia miała zginąć na rusztowaniu.

Kiedy dojeżdżali do wzgórza zwanego Snow Hill, król odwrócił się do swego orszaku i, polecivszy

rozpocząć łowy, sam pozostał na miejscu. Zrozumiano, że chce być sam i wszyscy puścili się w las za jeleniem, którego właśnie wytropiono.

Henryk powoli wjechał na wzgórze, z kąd rozstaczał się widok nieporównanej piękności. Na błękitnym tle nieba żadną nieprzyćmioną chmurką, rysowały się wspaniałe wieżycy zamkowe; otaczające go lasy majową jaśniały zielenią, ciszę przerywał tylko świergot ptaków i szmer liści, lekkim poruszanych wietrzykiem. Wszystko w około oddychało szczęściem i spokojem, tylko w piersi człowieka, który posępnie okiem spoglądał na cudny świat Boży, wrzała burza dzikich uczuć i namiętności.

Zbliżało się już południe i coraz większa niecierpliwość ogarniała Henryka. Stał z okiem utkwionym w wieżę, z kąd miano dać sygnał śmierci i zdawało mu się, że widzi ponurą tragedya, jaka w tej chwili rozgrywała się na więziennym dziedzińcu w Tower.

— Wychodzi teraz z kaplicy Św. Piotra — szeptał przerywanym głosem, nie mogąc pohamować wzruszenia — oblicze jej nadziemską jaśnieje pięknoscia... los jej ogólną wzbudza litość... Towarzyszą jej Suffolk, Richmond, Cromwell i lord-Mayor. Żegnają się z kobietami swego dworu, ale choć wszyscy płaczą, ona łzy jednej nie uroni... Pewnym krokiem wchodzi na rusztowanie i po raz ostatni przemawia do obecnych. Jak słodko brzmi jej głos, którym niegdyś podbijała wszystkie serca!... Przebacz mi i błogosławi... czuję to, słyszę... Teraz zdejmują

z niéj szaty. obcinają włosy... Kat trzyma topór i próbuje, czy dobrze jest wyostrzony... Ona rozdaje pamiątki płaczącym w kółko niéj kobietom; klęka i modli się... Zbliża się straszna chwila, ale ona nie traci odwagi... Sama kładzie głowę na pieńku... kat podnosi topór... ha! wszystko skończone!

Z wierzchołka Okrągłej Wieży błysnął ogień, a potem zagrzmiał wystrzał armatni.

W téj saméj chwili z lasu wypadł jeździec na karym rumaku i cwałem pędził ku Henrykowi.

— To był sygnał śmierci Anny Boleyn! — zawołał, przesywając króla ognistym wzrokiem — zbrodnia została dokonana, teraz jesteś wolny. Pamiętaj, że krew niewinna wołać będzie o pomstę i niezwykłą plamą obryzga twoje imię!

KONIEC.





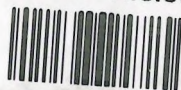
700. —

843124/88.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

201813

Biblioteka WSP Kielce



0069993